2cztery7/poe/kaliber 44/wojtas/sage francis/etnies

lipiec 07/115

ślizg

płyta cd gratis



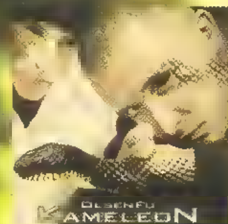


Backlip. Blabac photo.




drop-in





OlsenFu / KAMELEON
płyta w sklepach

foto: FABJAN


SPRING/SUMMER COLLECTION 2005
WWW.MASSDNM.COM

za trzy

borixon



Borixon – pochodzący z Kielc raper o wyjątkowo długim stażu, jeden z przykładów barwnej ewolucji, kontrowersyjna osobowość sceny związana swojego czasu ze Wzgórzem Ya-Pa-3. Ostatnio reprezentant stajni Cameya

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
fizyka, chemia, matematyka
trzy postacie – bohaterowie:
z dzieciństwa – Koziołek Matołek, Reksio, Bolek i Lolek
trzy antypatie – leszcze:
Ewa Drzyzga i jeszcze kilku jebanych kłamców
trzy napoje:
woda mineralna gazowana, zimna mirinda w puszce, kefir
trzy potrawy:
tradycyjna polska kuchnia, kebab – od czasu do czasu
trzy programy tv:
nie mam ulubionych
trzy płyty:
kolejne płyty LWWL
trzy filmy:
Forrest Gump, Sin City, Odkupienie
trzy książki:
nie mam ulubionych
trzy kolory:
biały, czarny, srebrny
trzy cyfry:
7, 9, milion dolarów
trzy imiona:
Madzia, Oliwka, Puma
trzy napisy na murach:
niech żyje mafia z Otrocza
trzy dziewczyny:
wszystkie, z którymi mieszkam, czyli mama, żona, córka i siostra
trzy miejsca:
mój własny fotel, Góry Świętokrzyskie, wnętrza samochodów
trzy zainteresowania:
nudzenie się, lenistwo, apetyt
trzy gadżety:
sygnet LWWL, telefon
trzy ulubione słowa:
Mietek, kutas, nie mam czasu
trzy sukcesy:
jeszcze przede mną
trzy porażki:
już za mną
trzy plany na przyszłość:
dom, drzewo, syn
trzy rzeczy ode mnie:
LWWL, LWWL, LWWL



W numerze 07/115

ZA TRZY: BORIXON 06
BAZAAR 08
GAME OVERLOAD 18
NOWE KOMIKSY 19
RECENZJE FILMOWE 20
RECENZJE PŁYT 21
JAMIROQUAI 25
COVER STORY: 2cztery7 26
COMMON 29
raport: OBCIACH 30
LEREK 32
SAGE FRANCIS 34
TOTAL HAŁAS 35
NOWA TWARZ: 38
WOJTAS 39
KALIBER 44 40
POE 42
HALIFAX 43
FILM: ROBERT RODRIGUEZ 44
KOMIKS: BRIAN AZZARELLO 45
JEŻ JERZY 46
GRAFFITI 50
BITWA O POLSKĘ 58
TOTAL CHAOS 60
AEON TOUR 64
ETNIES EUROPEAN OPEN 66
PAUL RODRIGUEZ 70
NOWA TWARZ: MODEST MYŚLIWSKI 71
SYNDROM TOUR 72
NOKIA CITY EVENT 76
KITEBOARDING 78
FREESTYLE MOTOCROSS 78

ŚLIZG POLECA: TRZY PŁYTY NA WAKACJE

(subiektywny wybór każdego z nas, bez pretensji do Wielkiego Plebiscytu)

01. KOWAL:

1. Red Hot Chili Peppers „Freaky Styley"
Stara płyta Peppersów, w pełni wyprodukowana i zrealizowana pod okiem legendarnego George'a Clintona. Lekkość, polot i niesamowita wibracja, a do tego rewelacyjny cover „If You Want Me To Stay" The Meters. Idealne na plażowy chillout.
2. Outkast – cokolwiek
Na wakacjach nie można tylko chilloutować, trzeba też wieczorami trochę poszaleć. Duo z Atlanty oferuje najlepsze muzyczne podkłady do takich szaleństw.
3. Dr. Dre „The Chronic"
Płyta, na której każdy kawałek jest megahitem. Do wczuwki, zabawy, a nawet odpoczynku. W LA wiecznie są wakacje i choć przekaz tego albumu to nie tylko łatwe tematy, czuje się gorący klimat miejsca, w którym powstawał. Jako dopełnienie można sobie do plecaka spakować „Doggystyle" Snoopa i „Dogg Food" Tha Dogg Pound.

02. FLINT:

Masta Ace „The Best of Masta Ace – Take a look around". Nowojorski megatalent jeszcze przed zgorzknieniem na leciutkich, słonecznych beatach.
Luniz „Lunitik Muzik". Bardzo kalifornijska, leniwa, impertynencka płyta. Plus najlepszy feat. Redmana, jaki słyszałem.
Lyrics Born „Later that day". Eklektyczny, nieprzewidywalnie barwny rapowo-śpiewany wypas z obozu Quannum.

03. GRABISZCZY

Przedstawiając moją propozycję trzech płyt na wakacje, z góry zastrzegam, że wybór poniższy jest absolutnie nieprzemyślany i spontaniczny:) 1. Blueprint „198B" (bo się ostatnio podniecam, prawdziwy oldskul); 2. The Blackalicious „Blazing Arrow" (bo mam z nią bardzo wakacyjne skojarzenia już od dwóch lat); 3. Jaylib „Champion Sound" (bo przy „The Heist" w słuchawkach najlepiej się buja po mieście). Tyle. Jo!:)

04. KUBANOS

Po pierwsze, Fugees „The Score", bo miło mi się kojarzy z pewnym wyjazdem na Mazury, a poza tym to fajna płyta. Po drugie, Korn „Take a Look in a Mirror", bo trochę mocniejszych brzmień nie zaszkodzi, a ta płyta jest najbardziej spośród dokonań kapeli Jonathana Davisa przebojowa. Po trzecie. Gorillaz „Gorillaz", ale „Demon Days" ją pewnie dogonią, bo Damon Albarn ma bardzo dobre pomysły na muzykę :)

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48 (prefix) 226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny:
Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk
(hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl),
Cessya (cess@slizg.com.pl),
Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Grabiszczy (grabiszczy@o2.pl)
Korekta: Krzysztof Grabowski

Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański
(szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki
Foto okładka: marszull.com
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Fala, Andrzej Cała, CNE, DJ Spox, Sebastian Rerak, Yarrek, Dobry Piotrek, Sebastian Imbierowicz, Kada, Red, Paweł Gadaczek
Marketing i reklama: Kasia Spaleny
(kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska
(marta.wieteska@slizg.com.pl)
Sekretariat: Monika Jurczak
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie:
ELANDERS



Adres redakcji:
Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48 (prefix) 22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl

GLOBALNE KOWALSTWO
Polski Rap: Prawdziwa Tragedia
Część Pierwsza: Licencje

ostatnimi czasy w Polsce okazuje się solidarność z gejami, albo i nie – zależy od opcji politycznej i poglądu na taki akurat sposób spędzania wolnego czasu. śmieszne jest to, że prawica zbija sobie kapitał polityczny na preferencjach seksualnych, zamiast olać sprawę i nie robić z naszego kraju pośmiewiska na cały świat, a przynajmniej Europę, której częścią jesteśmy. pomysł, by jacyś smutni stasiowie chodzili po ulicach i prezentowali swoje pomysły na zastosowanie pupy, nie podoba mi się zupełnie, bo ja na przykład nie manifestuję, że swój odwłok używam tylko do defekacji, ale będąc członkiem społeczności demokratycznej mam świadomość, że manifestować może każdy. bo na tym polega wolność słowa między innymi. no i uważam, że ludzie powinni być bardziej tolerancyjni. ja jednak dziś tolerancyjny nie będę. bo mam zwyczajnie dość.

nasz redakcyjny pomysł na raport o obciachu ma dwa dna. jedno, to humorystyczne spojrzenie na rzadkość kilku wykonawców. właściwie trzech, bo pojechaliśmy z 18L, Funky Filonem i trupą fortepianową Verba. miał być jeszcze kynolog Mieko, nawiedzony partner Patrycji Markowskiej Sycha oraz kilku dalszych reprezentantów, ale zwyczajnie zabrakło nam miejsca, bo Flint poczuł element misji i ruszył w miasto, by badać nastroje. jak już je zbadał, okazało się, że musimy ściąć do trzech, bo ludzie lubią ich najbardziej i powiedzieli na ich temat same fajne rzeczy. dużo fajnych rzeczy. do reszty też się dobierzemy, ale za jakiś czas. a co ze wspomnianym drugim dnem? ano to, że tak naprawdę, to wcale nie jest śmieszne. przynajmniej mnie przestało już bawić. zupełnie.

próbowałem się uspokoić naprędce wymyślonym mottem, że nachalna produkcja syfiastych hitów jest miarą komercjalizacji gatunku, a więc i jego popularności. tylko że wcale mnie to nie pocieszyło, bo co mi z tego, że hip-hop jest popularny, skoro hip-hopowcami w tej chwili określa się na przykład bohaterów naszego raportu? a może po prostu znów jesteśmy przed wszystkimi, bo u nas crossover gatunków przebiega tak szybko, że rap jest już popem, a pop rapem, no bo w końcu nawet córka wokalisty Perfectu potrzebuje rapera w kawałku, potrzebowała go przedtem Kukulska, a oprócz tego mamy również zespół Hop Kids, bandę bachorów, której jakiś producent uczynił straszną krzywdę, gdyż podejrzewam, że żadne normalne dziecko nie chce się z nimi bawić w jednej piaskownicy czy gdzieś tam. bo obciach nie zależy od wieku.

nie dziwię się, że wytwórnia UMC zamówiła sobie nowe 18L po fakcie opuszczenia jej szeregów przez to pierwsze. nie mogli ich nazwać 19L, choć pewnie by chcieli, ale nazwali ich Verba. a może sami się nazwali? podziwiam konsekwencję i mechanizmy działania UMC, bo to wszystko pełny profesjonalizm. żałosny, ale pełny – fabryka hitów i ostatnie rżenie dawnych raperów, albo pierwsze rżenie obecnych pseudoraperów. skąd to zdanie? a czy jeszcze ktoś ze środowiska rapowego będzie traktował poważnie zespół Ascetoholix (skądinąd, niegdyś uznawany przeze mnie za jeden z ciekawszych polskich rapzespołów) po rozmowie telefonicznej Donia z kimś tam w kawałku „Halo kochanie"? ja nie jestem wrogiem hitów, nawet tych produkowanych na siłę. ale są pewne granice. skąd moje oburzenie?

normalnie miałbym to wszystko gdzieś. nie mogę jednak spokojnie patrzeć na to, że komercyjne oszołomstwo, mające już zamiast spojówek numery seryjne banknotów, nadużywa nazwy „hip-hop". kultury, która pozwala na wiele, jest tolerancyjna, ale i ta tolerancja oraz otwartość mają pewne granice. przekroczeniem ich jest na przykład działalność Funky Filona, który jeżeli nie stara się zbić kapitału na kulturze hip-hop, to po co w takim razie używa w stosunku do siebie określeń „raper", a dla swojej muzyki „hip-hop"? patrząc na to, co ten człowiek zrobił do spółki z gwiazdą serialu „Klan", to nie jest to nawet śmieszne...

a zespół 18L? temat wyświechtany, wiem. właśnie wydali płytę, nawet całkiem sympatyczną, bo ta piosenaczka na Opole to bardzo miła twórczość. może bardziej pod kątem zwolenników Ivana i Delfina, ale miła. tylko czy nie można by w końcu powiedzieć sobie prawdy i przestać używać dwóch złożonych w jedno słów „hip-hop"? muzyka rozrywkowa z rapem jako środkiem ekspresji wokalnej, nawiązująca w warstwie tematycznej do tematów istotnych dla młodych ludzi, w tym tych, którzy czasami utożsamiają się z kulturą hip-hop – wiem, że długo. ale czy nie byłoby zdrowiej przypadkiem? również dla artystów z Płocka, którzy wyglądają na mocno zmęczonych ciągłą nagonką na siebie.

nikt nie ma prawa wystawiać licencji i certyfikatów na to, czy coś jest „hip-hopowe", czy też nie. przez długi czas tak myślałem i właśnie w ten sposób odpowiadałem ludziom, którzy często zarzucali, że prowadzona przeze mnie gazeta nie powinna publikować pewnych rzeczy, bo nie są „hip-hopowe". zawsze się z tego śmiałem, bo uważałem, że nikt nie ma prawa na zmonopolizowanie pewnych rzeczy. myślałem, że to chore.

dziś już tak nie myślę. wiadomo, że certyfikaty to tylko przenośnia, a wieśniaki (z całym moim szacunkiem dla polskiej wsi) zdarzają się wszędzie. dziś wiem także, że większość tych polskich buraczanych gwiazdorków jest przy okazji jeszcze niereformowalna i popada w coraz większą buraczaność. wszystko to w pogoni za niebotyczną kasą, jaką mogą zaoferować tygodniki dla pań, płacące ciężkie pieniądze za to, by do przepisów na ciasto oraz porad, jak dać sobie radę z chrapaniem męża-alkoholika, dokładają płytkę z radosnym „szalalala". pies tańczył z tygodnikami, nie mam nic przeciwko przepisom na ciasta, ale polski przepis na zrobienie rapowego hitu zaczyna się już robić po prostu ordynarny. że nie wspomnę o tym, iż również żałosny...

nie mam złudzeń, że kto się wróblem z przetrąconym ogonem urodził, kanarkiem nie umrze. pogodziłem się już z odnową polskiej muzycznej remizy, a nawet z tym, że nasz ubogi szołbiznes musi reaktywować trupy w stylu Kombi i Papa Dance, żeby jakoś związać koniec z końcem. wiem też, że Funky Filon z dnia na dzień nie stanie kimś na miarę... na jakąkolwiek miarę. i ludzie też nie staną się estetami i w Esce dalej będzie królował robiący publiczność szajs, a dziewczynkom łzy będą leciały przy miłosnych westchnieniach Lerka. i niech to wszystko sobie będzie, na zdrowie. tylko z daleka od hip-hopu.

może więc rzeczywiście należałoby wprowadzić jakieś licencje?

KOWALSKI

bazaar
poczytaj sobie



NAUKA ŚWIATA DYSKU II: GLOB
Terry Pratchett, Ian Stewart, Jack Cohen
PRÓSZYŃSKI I S-KA

W pierwszej części „Nauki Świata Dysku" magowie Niewidocznego Uniwersytetu przypadkowo wyhodowali Świat Kuli (czyli naszą Ziemię) i ze zdumieniem obserwowali zachodzące na niej przemiany. W części drugiej za pomocą magii Rincewind, Ridcully, Bibliotekarz i reszta szacownego grona NU przenoszą się na Kulę, by zapobiec interwencji elfów w rozwój ludzkiej cywilizacji. W książkach z tego cyklu fabuła jest tylko pretekstem, by przyjrzeć się – jak najbardziej poważnie – Ziemi. Rozdziały opowiadające o przygodach magów na Ziemi przeplatają się z rozdziałami, w których autorzy analizują nasz świat z naukowego punktu widzenia. Tym razem biorą na warsztat rozwój ludzkiej cywilizacji: od ewolucji, poprzez religię, osiągnięcia nauki aż po dzieła sztuki (Shakespeare odgrywa tu niebagatelną rolę). Nie jest to bynajmniej łatwa lektura, porusza w końcu tematy ściśle akademickie, ale całość napisana jest z werwą, bardzo przystępnie i dowcipnie. „Lubić naukę to tak, jak lubić tlen" – powiedział kiedyś w wywiadzie dla „Ślizgu" Terry Pratchett, sugerując, że bez znajomości podstaw zasad rządzących światem trudno się żyje. Tym większy plus dla niego, że te zasady fanom Świata Dysku stara się przybliżyć. A że dobrał do współpracy znakomitych fachowców, efekt może być tylko jeden: rewelacyjna, mądra książka, z której można dowiedzieć się wiele więcej niż z suchych i nudnych szkolnych podręczników. (jd)



ŻYWE SREBRO tom 1
Neal Stephenson
MAG

Neal Stephenson, znany do tej pory z książek obracających się w kręgach raczej cyberpunkowych (choćby wydana także u nas „Zamieć"), zdecydował się na dzieło monumentalne. „Cykl barokowy" to trzy księgi (a każda składająca się z trzech tomów), których akcja rozgrywa się na przestrzeni kilkudziesięciu lat (od lat 60. XVII wieku po początki wieku XVIII). Jej główni bohaterowie są fikcyjni, ale otacza ich szeroki krąg postaci historycznych. Od Isaaca Newtona po Benjamina Franklina (który, jeszcze jako mały chłopiec, pojawia się na początku książki). Głównym bohaterem „Żywego srebra" jest Daniel Waterhouse, którego poznajemy jako starszego mężczyznę, próbującego w Ameryce stworzyć podwaliny uczeni naukowej. Jednak musi porzucić swój projekt i powrócić do rodzinnej Anglii, tam bowiem czeka go – być może ostatnie w życiu – zadanie do wykonania. Podróż jest jednak tylko kanwą historii, dużo więcej dowiadujemy się o przeszłości Waterhouse'a dzięki serii retrospekcji, odkrywających zresztą nie tylko biografię bohatera, ale i zawiłe układy polityczno-społeczne panujące w XVII-wiecznej Anglii. Akcja rozwija się dość powoli, ale nie zapominajmy, że to dopiero początek wielkiej sagi. Całość zapowiada się fascynująco: „Żywe srebro" napisane jest znakomicie, z wielką erudycją, ale bez przynudzania. Jest w tej powieści wszystko: od elementów historii tolrzykowskich, po interesujące wykłady etyczne, filozoficzne i naukowe. A jednocześnie widać, że Stephenson uknuł wielką intrygę, ale jej wątki splatać będzie misternie, bez pośpiechu, wciągając czytelnika w niezwykłą i inteligentną zabawę. (jd)



PAW KRÓLOWEJ
Dorota Masłowska
LAMPA I ISKRA BOŻA

Dorota Masłowska zawiodła swych przeciwników wydając drugą książkę, która okazała się znacznie lepsza od debiutu. Jeśli spodziewacie się drugiej „Wojny polsko–ruskiej...", to raczej odsyłam do internetowych naśladowców, bo „Paw królowej" jest pod każdym względem inny. Nie oznacza to oczywiście, że autorka zrezygnowała z kontrowersji, bo już sama forma (rymy) albo Was z miejsca przekona, albo definitywnie zniechęci. Akcja dramatu rozgrywa się w miejscu popularnym wśród stołecznej bohemy, czyli na Pradze. Bohaterowie są lepiej zarysowani, a fabuła znacznie logiczniej skonstruowana, choć mamy też elementy absurdalne, jak wątek z dziurkami w grejpfrutach. Styl Masłowskiej nabrał wreszcie odpowiedniej lekkości, której czasem brakowało w „Wojnie...". no i wnioski są o wiele dojrzalsze. Autorka oczywiście nie zrezygnowała ze swojej najlepszej broni - poczucia humoru. Tym razem mamy jeszcze więcej groteski i cynizmu. Jeśli jednak treść literacka nie przypadnie wam do gustu, „Paw królowej" jest również bogato ilustrowany przez Macieja Sieńczyka (tego od komiksów w „Lampie"). ce.



FLINTESENSCJA
do hardcore'owców cz.1

Skorupki nasiąkają i to nie tylko za młodu. Spójrzcie, ilu ludzi nie da się wyleczyć z komunizmu czy wiernopoddańczego podejścia do religii. Czołówka naszych hardcore'owych raperów ciekawie się rozwinęła (bądź przynajmniej ciekawie rozwijała do pewnego momentu), ale mam wrażenie, jakby ich dawne stanowiska wciąż nie mogły wyjść z łbów słuchaczy. Jakby z czystym sumieniem kradło im się płytę Włodka, bo przecież mówił kiedyś, że nie dla sławy i nie dla pieniędzy. Takich opcji jest więcej. Sokół nawijał, że nie wie, czy będzie miał na zupkę chińską, więc małolaty z pasją patrzą mu na ręce i mściwie zacierają swoje licząc, ile poszło na Prosto i na klipy WWO. Mor W.A. mówiła o hermetyzmie, toteż jej późniejsze eksperymenty z nieco innym brzmieniem wielu „zamkniętych" określiło jako komerę. Wszystko to pokutuje. W swoim felietonie skoncentruję się na tym, co zawsze do hardcore'owego rapu mnie zniechęcało. I niekiedy niestety zniechęca dalej.

Serce, prawda, lojalność – to wszystko oczywiście ważne, choć to słowa wytrychy. Ale na początku są umiejętności. Spróbujcie przeczytać książkę gościa, który nie umie pisać. Spróbujcie i zastanówcie się, czy będziecie mu w stanie wybaczyć brak talentu w imię względnych zupełnie wartości. Czy jeżeli będzie nudny, ogólnikowy, nie będzie umiał oddać barw świata, to zmusicie się do czytania go tylko dlatego, że ma potrzebę pisania i jest fajnym ziomkiem? Polecam poczytać Gutierreza. To kubański pisarz, a przy okazji świnia i kombinator. Może dlatego, że przeżył biedę, o jakiej w Polsce się nie śniło. Mieszkał w hawańskim budynku o podziurawionej elewacji, której części odpadały w trakcie licznych sztormów. W miejscu, gdzie ludzie chodzą zarośnięci brudem, bo przez większość czasu nie ma wody, prąd bywa okazyjnie, a w mieszkaniach wyburza się ściany działowe, żeby przedzielić je kradzionymi cegłami i zrobić z nich jeszcze mniejsze klitki, w których tłoczyć się będą ludzie uciekający ze wsi przed głodem. Ale Gutierrez, poza hardcore'owym życiem i ekstremalnymi doświadczeniami, ma przede wszystkim warsztat i potencjał, żeby to przekazać, żeby kipiało akcją. Jest to szorstkie, brudne, proste, bywa, że prostackie, ale jednocześnie własne, na swój chory sposób bardzo inteligentne. (Gdyby zlikwidować to „bardzo" na końcu i dodać dużo zacietrzewionej nienawiści, to określenie pasowałoby do naczelnego rap-bohuna RP, ostatnio bliskiego poglądami Lidze Polskich Rodzin; cóż, dla jednego autorytetem jest Miłosz, dla innego Gołota – dla mnie i tak żaden z nich).

Tymczasem nasz hardcore'owy światek wydaje się ogarnięty wewnętrzną cenzurą, jakby miał nieustanną potrzebę pilnowania się, by przypadkiem nie pokazać swoich często szerokich horyzontów, jakby to, że czytają dobre książki („to oni czytają książki?", zapytała niedawno moja zdziwiona matka od lat katowana każdym polskim rapem, jaki się ukazywał i nie ukazywał) i oglądają dobre filmy, było grzechem śmiertelnym. Artyści będący świetnymi rozmówcami redukują się w swoich tekstach do deklamatorów truizmów i zaczynają poruszać w obrębie (optymistyczny szacunek) stu słów. Tak jakby chcieli, by ich teksty zrozumiał każdy ziomuś z podwórka obok, nawet jeśli 10 lat temu stwierdzili, że wytoczy wojnę swoim szarym komórkom i na tym froncie odnosił niezliczone zwycięstwa. Tak jakby robili wszystko, by nie wychylić się szczebel powyżej swoich kolegów po fachu i bali się krytyki, etykietki pseudofilozofa czy studenta. Nie chodzi o to, by być mądralą i na siłę epatować wiedzą i obyciem, bo to da się odczuć i pokazuje, że ktoś zdobył wiedzę, ale za cholerę nie potrafi z niej korzystać. Prawda, zdarza się nam na scenie trafiać na rap pretensjonalny, ale to chyba i tak lepsze niż kiszenie się w prymitywizmie, usilne zacieśnianie konwencji, która sama z siebie chętnie ucieka na boki, schlebianie publiczności, której udało się wmówić, że jest głupia. Ograniczenie nie jest powodem do dumy. Świat rządzi się prostymi prawami, ale prosty nie jest. I wciąż można gryźć go na milion ciekawych sposobów. Nie ma się co bać słowa „poezja". Ta utrwaliła się jako nadęte farmazony sprzed wielu dziesiątek lat idealne na klepanie podczas szkolnych akademii, ale już ponad osiemdziesiąt lat temu Skamandryci powiedzieli przecież „poezjo, na ulicę". Poezja potrafi być wielokrotnie bardziej bezkompromisowa, obrazoburcza i antysystemowa niż nasz rap. Poeta to nie rozmarzony masturbator z marsowym czołem stąpający po chmurkach, ale bystry, zwykle bystrzejszy od ogółu obserwator, który potrafi inteligentnie dopieprzyć, zalewając pałę pocierpi za miliony, a potem - jak pisał Bursa - zacznie uwierać go pęcherz jak każdego z nas. Nasz rap potrafi być i często jest poezją. I z tego trzeba być dumnym. Potrafi stać się narzędziem, które (potencjalnych) baranów pod piwnicą zmienia w Piwnicę pod Baranami. Co w tym złego?

W repertuarze moich ulubionych „hardcore'owych" chwytów jest też mityczne słowo „ulica". Ulica słucha tych, a tamtych nie. Ulica WIE. Ulica to, ulica tamto, ulica sramto. Jeden z tych wielkich, nic za sobą nieniosących wyrazów. Każdego beton kłuje w oczy i parzy w stopy, bo poezja jest poezją, ale proza życia wykańcza. Większość cwaniakuje, żeby wywalczyć parę złotych. Nie zawsze było można wyjechać na wakacje, rzadko kiedy było na firmowe ciuchy. Alkohol rozwalał związki rodziców w domach, alkohol cementował przyjaźnie i „przyjaźnie" na ławkach. W Polsce mieszkamy, życie co chwila pisze taki scenariusz. Ulica to rzesze zwykłych ludzi, a wśród nich dzieciaki mniej lub bardziej pokaleczone przez to wszystko. Bez lepszych, gorszych, mniej lub bardziej wtajemniczonych. Sprzedawanie prochów czy skatowanie czyjejś twarzy ma niby czynić bardziej „ulicznym"? Proszę... Dość mam tego, tak jak „ulicznych raperów", których główną ulicą stała się neostrada...

Tym razem kończymy bez pointy. Za miesiąc dalsza część rozważań.

Flint (CS)



KOLEKCJA SLG – Profil CD
epizod #04 SOKÓŁ

WWO przerwało długie miesiące medialnego milczenia – w tym miesiącu na Profil cd świeży i gorący wywiad z **Sokołem**. Udaliśmy się razem w krótki rekonesans po warszawskim Śródmieściu, a w międzyczasie rozmawialiśmy nie tylko o muzyce i polskiej scenie, ale i o rodzimej rzeczywistości, mentalności narodu, wadach i zaletach stolicy... Tematów było dużo. Nie zapomnieliśmy jak zwykle i o melanżu. Usiądźcie wygodnie i odpalcie płytę: przed Wami „Sokół Wojtek, pseudonim narrator".

Na naszej płycie także garść nielegali:
Książę 400 Rymów i Seryjny Mc to duet z prowadzonej przez HoldCuta stajni Cut-Orgia. Po ich utworze należy oczekiwać bezczelnych wersów pełnych inteligentnych skojarzeń, przechwałek, ułyskiwań na nędzę sceny. Co ciekawe, prawdziwie hip-hopowy beat jest zagospodarowany przez raperów o zupełnie odmiennym flow.

Mewa to dawna Mea, pochodząca z Mysłowic pierwsza lady PFK Kompany, konceptualistka orbitująca ponad chodnikami i znacznie przekraczającą wysokość 30 cm. Skorup jest gliwiczaninem znanym z płyty zespołu Eskapada, właścicielem wyróżniającego się głosu i flow, zaskakującym urozmaiceniem swoich nawijek. Ze zderzenia się indywidualności wyszedł numer „Gra muzyka", nowatorski pod względem treści i formy, ciekawy, „podszyty Jamajką", świeży, a nade wszystko bujający.

Emazet I Procent to eksperci w kwestii używek, więc skoro nagrywają o nich numer, można na nim polegać. Reprezentanci dwóch charakternych warszawskich dzielnic – Czerniakowa i Mokotowa – nagrali prawdziwy letni pijacki hit, który nie pozostawia kaca.

Kontynuując tendencję zapoczątkowaną w zeszłym numerze mamy też dla Was cały album (tym razem naprawdę tylko w mp3, bez bonusa). Lubińsko-świebodziński kwartet (ufi, jak to brzmi) **Puenta** nie jest pierwszej świeżości (2004), ale doskonale się broni. O zespole więcej dowiecie się z wywiadu, ja dodam tylko, że na „Rozdziale zamkniętym" nieprawdopodobnie cieszą bity Creona, który ma ten nowojorski brud, szmyt i wdzięk i będzie o nim głośno. Zwrotki trójki raperów są trafne, dobrze poskładane i dynamiczne i nie ma właściwie słabego numeru. Poniżej tracklista:

1. To nie chwili kwestia
2. Elan vital feat. Kasia Piotrowska
3. Eskapada feat. Szad (Trzeci Wymiar)
4. SKIT 1
5. Balans
6. Maski
7. Do tych co mówią feat. Mistrz Ya'an (ZDS)
8. SKIT 2
9. Ocaleni
10. Rap markety feat. Kaban (Agenda Squad)
11. Rap markety (remix)

letni przegląd t-shirtów

Upalna pora roku nadeszła, a jest to czas, w którym (o ile nie prezentujemy naszych cielesnych powabów) wystawiamy na światło dnia t-shirty. Czym jest t-shirt, pisać chyba nie musimy, a więc teraz w telegraficznym skrócie kilka propozycji na lato...





kapelusz & daszki MASS

Dostaliśmy ostatnio kolejne ciekawe nakrycia głowy. Tym razem jest to fajny kapelusz w czterech wersjach kolorystycznych, z małą kieszonką i efektowną gumowaną plakietką z logo. Elegancki produkt ochroni całą głowę przed letnim słońcem. W przypadku, gdy nie chcecie zakrywać się całkowicie, to czekają na Was różne modele daszków w dużym wyborze wzorniczym i kolorystycznym. Obydwa produkty skierowane są również do ładniejszej płci.



szorty MASS

Jeśli idzie lato, to również nadchodzą szorty: jeansowe, sportowe, bojówkowe. Prawie wszystkie modele długich spodni z kolekcji MASS Denim znalazły się również w wersji krótkiej. Nie sposób nie znaleć w tej ofercie czegoś, co Was zadowoli. Szorty na każdą okazję i w przeróżnej stylistyce pozwolą Wam odziać dolne części ciała tak, jak chcecie, również, gdy jest cieplej.







portfele MC

Wyruszacie na wakacje? No to zawsze potrzeba mieć przy sobie jakąś gotówkę. Do jej przechowywania niezbędny jest portfel i kieszeń. O kieszeń powinien zadbać producent Waszych spodni, natomiast portfelik... No, choćby taki, ze znanym już z innych produkcji MC jamajskim logo. Zmieszczą się pieniądze, karty płatnicze i inne drobiazgi, nie wspominając już o zdjęciu ukochanej / ukochanego / mamusi / ulubionego zwierzaka / gołej baby (niepotrzebne skreślić).



szorty STOPROCENT

Na upały jak znalazł. Wygodne, solidnie uszyte spodenki, na bocznych (bardzo pojemnych) kieszeniach fajne logówki, szorciki uszyte z dwóch kolorów jeansu. Na miasto, na wypad na zieloną trawkę :) Sprawdzą się w każdych warunkach.



MC

Różne kolory, fajne wzory i logówki, nowa oferta od MC powinna spodobać się każdemu. Koszulki wykonane z miękkiej bawełny są bardzo wygodne. Elo!



STORM SERIES I A.K.A. UNIT

Siostrzane firmy – Storm Series i A.K.A. Unit wypuściły całą serię nowych koszulek z różnymi ciekawymi grafikami i w fajnych kolorach. I jak by to powiedzieli w pewnej szkolnej lekturze: „koszulek ci u nas dostatek, ale i tymi dwoma jaramy się wyjątkowo":)



SYNCHRO

Koszulka dla zajawkowiczów związanych ze sztuką graffiti. Kolor maskujący pozwala ukryć się na kolejowym yardzie, a aplikacja z puszkami farby od razu pozwala rozpoznać, że swój człowiek musi nosić taki zajawkowy t-shirt. Polecamy.





Koszulka z masażem STORM SERIES

Całkowita nowość na naszym rynku – koszulka masująca plecy swojego właściciela. Niezły bajer, a jak to wygląda? Z przodu estetyczne logo Storm a po wewnętrznej stronie koszulki, na plecach znajdują się gumowe wypustki przez całą długość kręgosłupa, mające dawać właśnie efekt masażu. Brzmi nieźle, trzeba będzie spróbować...

BASTIEN
SALABANZI



etnies

ETNIES: CHECK OUT ETNIESSKATE.COM FOR THE LATEST TEAM AND PRODUCT UPDATES.



BASTIEN (BLACK+WHITE+GUM)

STAR WARS

a long time ago ... in a galaxy far, far away

Trzeci epizod Gwiezdnych Wojen na ekranach kin, recenzję znajdziecie na www.slizg.com.pl, a w naszym magazynie subiektywne oceny kilku gadżetów związanych z filmem...

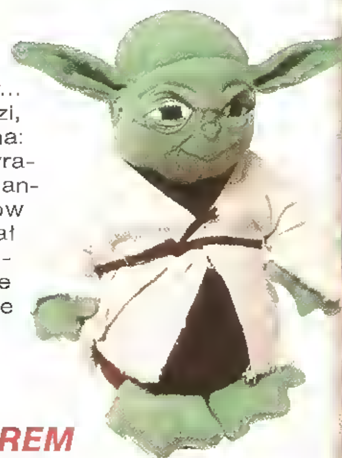
ul. Obi-Wana Kenobiego

ULICA OBI-WANA KENOBIEGO

Obi-Wan został patronem ulicy w Grabowcu koło Torunia. Serio. I chociaż nazwa ulicy nie jest gadżetem (ale tabliczka z nazwą już jest), to nie mogło jej tu zabraknąć. Nasza ocena: 10/10 – chciałbym mieć taki adres w dowodzie.

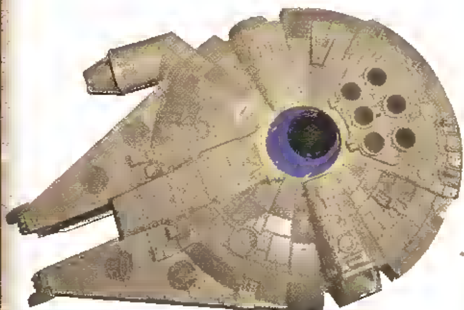
MASKA DARTHA VADERA

Maska Vadera z modulatorem głosu. Pomysł kapitalny, wyglądasz jak Vader (no, przynajmniej Twoja głowa tak wygląda), mówisz jak Vader, możesz się poczuć jak Vader. Jest tylko jeden problem, stąd nasza ocena: 8/10 – żebyś nie wiem jak się starał, Vaderem nie będziesz.



PLUSZOWY YODA

A może stworek yodopodobny... No, wiadomo, o kogo chodzi, potęga mocy jest niezmierzona: Yoda przecież nie żyje, a powraca do nas uformowany z gałganków. Poziom midichlorianów pluszowego Yody nie został jeszcze zbadany. Nasza ocena: 5/10 – gadżet z tych, które nikomu nie są potrzebne, ale fajnie je mieć.





KUBEK Z VADEREM

Jeśli chcesz, możesz napić się dowolnego napoju z plastikowego kubeczka ozdobionego podobizną Dartha Vadera. Imperialny przywódca wygląda, jakby się w owym napoju kąpał, a nie wiem, czy to nie zniechęca do picia. Nasza ocena: 3/10 – Vaderowi należy się w końcu trochę szacunku, nie powinno się nalewać do niego coli.

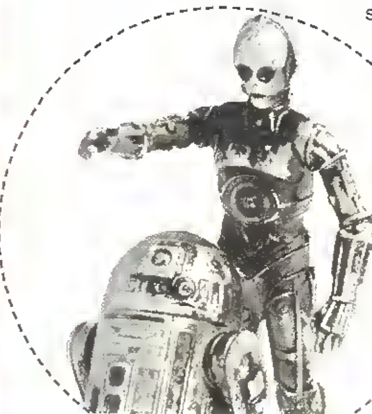
KONSOLA MILLENNIUM FALCON

Tak, to jest statek Hana Solo, Sokół Millennium. Tak, to również konsola do gier Dreamcast. Posiadanie konsoli jest fajne, ale konsola w kształcie gwiezdnowojennego okrętu, to przyjemność podwójna... A na dodatek to ręczna robota jednego z fanów, który przerobił model do składania na stację do grania. Nasza ocena: 9/10 – fajniej byłoby mieć tylko prawdziwego Sokoła Millennium.



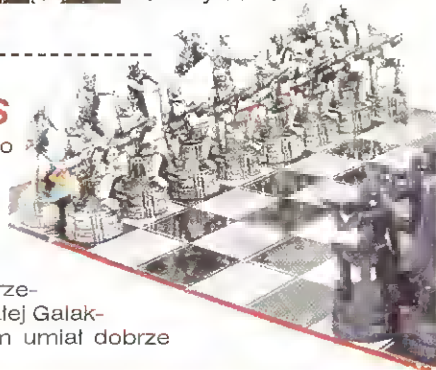
CHEWBACCA NA TWARZ

Gdyby nie było podpisane, że to Chewbacca, to bym pomyślał, że to Wilkołak z klasycznego horroru z Lonem Chaneyem. Chewbacca z gumy nie jest naszym faworytem. Nasza ocena: 1/10 – jeśli chcesz, żeby dziewczyna z Tobą zerwała, przyjdź w tej masce na rodzinny obiad.



SZACHY STAR WARS

Białe (a w zasadzie srebrne) to siły Republiki. Czarne – nie mogło być inaczej – Imperium. Rozgrywka znana od wieków wreszcie ujawniła swoją prawdziwą moc. Tu już nie chodzi o zaszachowanie przeciwnika, stawką w grze są losy całej Galaktyki. Nasza ocena: 9/10 – gdybym umiał dobrze grać w szachy, byłaby dziesiątka.





NASTAW FALE
bigos

– Joł, joł, joł! Witam Państwa serdecznie. Zapraszamy na wesoły program. Proszę usiąść wygodnie, rozluźnić się przed odbiornikiem. Można otworzyć chłodne piwko, czemu nie? Dzisiaj rozmawiamy na temat tego, co łączy kręćki na głowie, psucie płyt winylowych z charczeniem do mikrofonu. Naszym hasłem dnia jest hip-hop! Brawa!!! Co to jest hip-hop, pytacie Państwo? Jest tym, co robi po lekcjach wasz synek, tym, co sprawia, że wasza dziewięcioletnia córka wiesza nad łóżkiem plakaty wycięte ze „Ślizgu". To nie tylko muzyka, nie tylko styl życia, to także sposób na niezłą kasę. To przyszłość waszych dzieci! Naszym pierwszym gościem jest ulubiony przez wszystkie zgrzane małolatki w stringach, najprzystojniejszy i najbardziej charyzmatyczny z polskich raperów – idol dzieciaków i trendsetter w polskiej muzyce rozrywkowej – MEZO!!! Brawa! Powiedz nam Mezo, co u ciebie?

– Trochie ostatnio nie mam czasu. Zresztą stary... Tak jestem do przodu, że jak chwilę odpuszczę i tak mnie nikt nie dogoniał. Nim wejdę do studia, postanowiłem iść w ślady Mos Defa i spróbować w filmie.

– Też zagrasz kosmitę?

– Poniekąd. Trzeciego września odlecisz w kosmos oglądając pierwszy film z moim udziałem pod tytułem „Mezo – To, co w życiu ważne". Zrozumiesz wtedy i ty ziomie, i ty panienko, że niedaleko od Meza do męża. He, he. DVD trafi oczywiście do sklepów.

– Aha, to już wiemy, co jest w życiu ważne. W poście na forum czytamy, że film będzie zawierał wiele zabawnych zdarzeń. Jakież to zdarzenia?

– Najbardziej dowcipnym elementem materiału będzie zapis filmowy mojego wesela. Między innymi tańczący „kaczuchy" Doniu, rapująca Kasia Bujakiewicz, jak zwykle spostrzegawczy Liber, opowiadający dowcipy Duże Pe. Przygotowałem też coś specjalnie dla waszych widzów: oto jedzący Bigos DJ Spox!

– No, to niezłe jaja. Gratka dla naszych telewidzów. Ale czy oprócz tak pokładających ze śmiechu momentów jak jedzenie Bigosu (takiego z dużej litery), będą też momenty wzruszające?

– Tak. Sakramentalne „tak".

– Jak się czujesz po tym debiucie filmowym?

Cóż... Czuję się trochę jak... Jakby to nazwać... Jak kawałek materiału? Może trochę jak ściereczka...

– Jak szmata?

– Bingo! Wciąż mam lekkiego kaca. He, he.. Myślę, że to kac...

– Moralniak! A czy masz jakieś inne szokujące plany medialne?

Staram się od kilku tygodni o występ w „Mamy Cię". Wytwórnia podjęła negocjacje z Szymonem Majewskim. Byłem już nawet na rozmowie, czy nadaję się na wkręconego, bo badania marketingowe pokazują wyraźnie, że to właśnie wkręconego widzowie zapamiętują lepiej.

– Ale ty jesteś już znany!

– Spece z UMC sprawdzili i to. Zgodnie z ostatnim sondażem, mój przekaz nie trafia jeszcze do bezrobotnych kobiet po czterdziestce, rencistów około pięćdziesiątki i przedstawicieli klasy średniej robotniczej. Ślub na DVD załatwi przynajmniej target kur domowych o dochodach powyżej średniej krajowej.

– Proszę państwa to był Mężo – przepraszam – Mezo. Brawa! Do odważnych świat należy. Dzięki, że wpadłeś do programu. Tam są drzwi. Zastanawialiście się kiedyś, czy z dorosłymi można się dogadać? Przecież młodzież mówi innym slangiem, a tetryki innym. Dowiedzmy się tego od naszych kolejnych gości – telewizyjnych ekpertów od hip-hopu. Przed państwem Ewa Drzyzga i Zbigniew Hołdys. Powitajmy ich, robiąc hałas!!! Ewo, Zbigniewie, prowadziliście ostatnio razem program „Rozmowy w Toku", do którego zaprosiliście hip-hopowców.

– No i skejta!

– Skejta, poetę i dziewczynkę z domu dziecka, ale nie o tym bigosie będziemy rozmawiać. Ewo, powiedz nam, „zresetowałaś" się?

– „Skatowałam dyktę", ale dzieciaki nie skumały, co im zapodałam. Za to ja wreszcie zajarzyłam, o co kaman ze słowem „zajawka".

– Pomógł ci w tym Zbyszek Hołdys. Jaką, Zbyszku, podałeś definicję?

– No proste: to znaczy olśnienie. Że ktoś zajarzył, skumał, zrozumiał, olśniło go. Wtedy Ewa zajarzyła bazę.

– Tak, skumałam czaczę. Olśniło mnie, co to znaczy.

– Czyli, zgodnie z definicją, złapałaś zajawkę na zajawkę?

– Pewka. Czy to nie czadersko?

– Nieźle wymiatasz slangiem hip-hopowym Ewo. Odlotowo.

– „Kozak", nie?

– Równie kozacki jest nasz kolejny gość – reprezentant czarnoskórych w Sejmie i znawca młodzieżowej kultury – Andrzej Lepper. Andrzeju, powiedz, co możesz nam zaprezentować?

– Mogę wam tu zatańczyć „bretgensa" – taniec na głowie, jakby ktoś nie wiedział.

– Dziękujemy. O komentarz poprosimy panią psycholog, Dorotę Frontczak.

– Cożja mogę rzec. Kto chciałby mnie jeszcze słuchać? Takiej małej rodzyneczki w tym Bigosie? Hip-hop jest wszędzie. W Sejmie, w tokszole dla gospodyń domowych, w kinie, na DVD. Ale przez to też wszystko automatycznie ląduje w hip-hopie. Śluby, życie prywatne, reklamy, product placement, filmy o Zebrze z klasą, śmierć Terri Schiavo. Miesza się poetów z raperami, beatboxerów ze śpiewakami, kłamie, że narkotyków w hip-hopie nie ma (bo pewnie marihuana to nie narkotyk). Słowem: fałsz, kłamstwo i naciągactwo. Ledwo się to gówno kupy trzyma. Groch z kapustą. Bigos.

Fala

bazaar
rzeczy najgłupsze

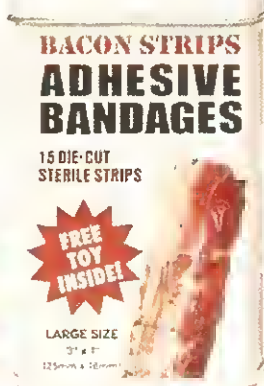


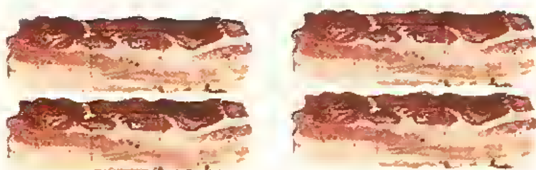
Czajnik hip-hop

Dla wszystkich, którzy chcą hip-hop poznać od kuchni, lubią być gorący i puszczać parę w gwizdek. Zabłyśnij na imprezie robiąc herbę za pomocą tego opływowego, raperskiego, bezprzewodowego naczynia!!! Czekamy teraz na suszarkę, zmywarkę i odkurzacz hip-hop.

Bekonowe plastry

Ludzka pomysłowość nie zna żadnych granic. To, co widzicie obok, to zwykłe plastry opatrunkowe. To znaczy zwykłe w działaniu: naklejasz plaster na skaleczenie itd. Wyglądają za to jak plasterki boczku, co jest tak dziwaczne, że nawet żaden komentarz nie przychodzi mi do głowy...







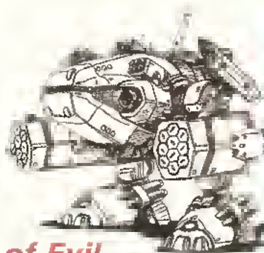
bJEŻcie nagrody!
Edycja 2

Uwaga, uwaga! Ogłaszamy wielki wakacyjny konkurs! Zapraszamy Was do przedstawienia swojej własnej wersji Jeża Jerzego. To znaczy: narysujcie Jurka – w dowolnej technice. Jeśli macie fantazję i możliwości, możecie postać Jeża wyrzeźbić, uszyć, no, po prostu wykonać, jak chcecie. Najlepsze prace zostaną pokazane na łamach „Ślizgu" i oficjalnej stronie internetowej Jeża www.jezjerzy.pl. I oczywiście będą nagrody!

Na zwycięzcę czeka wypasiony mp3 player, który dodatkowo załadujemy muzą!

Do zdobycia będą też płyty, koszulki, komiksy i wiele innych niespodzianek. Uwaga!!! Do swojej pracy będziecie też musieli dołączyć naszą ankietę, którą opublikujemy w następnym, sierpniowym numerze „Ślizgu". Tak więc nie spieszcie się, macie jeszcze sporo czasu, by zastanowić się nad swoim pomysłem i wykonać go jak najlepiej, by zwiekszyć swoje szanse podczas surowej oceny prac, której dokona redakcyjne jury. Przypominamy: prace wysyłajcie razem z ankietą, którą znajdziecie w następnym numerze naszego magazynu. Za miesiąc też podamy szczegóły dotyczące nagród, wysyłki Waszych prac i wszystkie inne wskazówki, które mogą Wam się przydać. Do dzieła!!!

game overload





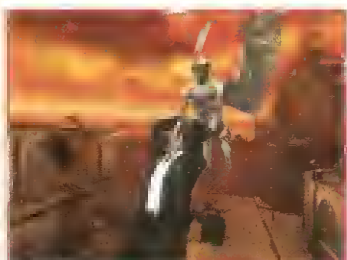
Doom 3: Resurrection of Evil
id Software

To było do przewidzenia. To było pewne jak w banku. Oczywiście to, że prędzej czy później pojawi się dodatek do Doom 3. Pewne było również to, że ów dodatek musi być choć odrobinę ciekawszy niż sama gra. I tak też się stało. W Resurrection of Evil ponownie lądujemy na Marsie (nie muszę chyba dodawać, że jako marine) w poszukiwaniu czegoś, co się zwie Artefakt – oryginalne, nie? Ale akurat oryginalność nigdy nie była mocną stroną Dooma i nikt też tego po nim nie oczekuje. Po stronie piekielnych stworów stoi znany już nam dobrze doktor Betruger, zaś po naszej stronie oczywiście inni marines i Elizabeth McNeil. Oraz shotgun. Tak! W końcu ktoś pomyślał i marine znów dostał do swych twardych łap tak cenioną przez wszystkich obrzynięta dwururkę! Z nowości (a właściwie „staroci", ale kto jeszcze pamięta pierwsze Doomy, oprócz ludzi w podeszłym wieku?) dostajemy jeszcze coś, co się zwie Biosuit, czyli ubranko pozwalające w miarę bezpiecznie przebywać w niezbyt przyjaznym środowisku. Sama rozgrywka jest jakby bardziej mroczna, przeciwnicy nie atakują tak bez sensu jak wcześniej. Co więcej? Ano by zagrać w dodatek, potrzebujemy właściwego Dooma 3.



Silent Hunter III
UbisoftO

Od razu przyznam, że nie zaliczam się do wielkich fanów przeróżnej maści symulatorów, a zwłaszcza takich, których akcja rozgrywa się zasadniczo pod wodą. I w dodatku muszę stanąć po stronie nie tych, co trzeba:) Otóż, jeśli ktoś nie wie, seria Silent Hunter to zabawa w dowódcę U-Boota (czyli niemieckiej łodzi podwodnej z drugiej wojny światowej), tyle że dość skomplikowana. Trzecia odsłona tej serii może nie przynosi zbyt wielkich zmian (choć pojawia się załoga, którą sami musimy rozlokować na statku – w końcu dowodzimy okrętem), ale po niezbyt ciepło przyjętym Silent Hunterze II, trójeczka jest miłym zaskoczeniem. Tradycyjnie możemy pograć w trybie kariery, jak też dowodzić okrętem w historycznych misjach. Wszystkim niezbyt wtajemniczonym polecam jednak rozpoczęcie gry od tutorialu, czyli Naval Academy. Gdy już zgłębicie tajniki dowodzenia U-Boota pozostaje Wam rozkoszować się klimatem (konkretnym:)) gry i naprawdę świetną grafiką.



Constatntine
Bits Studios

Tak, tak, kolejny komiksowy bohater, który najpierw zlądował na ekranach kinowych, teraz zaś rozgrzewa nasze procki i karty graficzne (no, chyba że mamy dobre chłodzenie). W filmowego bohatera wcielił się Keanu Reeves, w związku z tym w grze postać, którą kierujemy, jest dość udanie na nim wzorowana. Postać Constantine'a została powołana do życia przez wydawnictwo DC/Vertigo. A jest on nikim więcej jak egzorcystą i współczesnym magiem walczącym z wszelkiego rodzaju złem środkami nie zawsze zasługującymi na określenie „święte". Takie życie, czasem nie da się pokonać złego tylko za pomocą modlitwy:) Film nie wszędzie zebrał dobre recenzje (by nie powiedzieć, że wręcz kiepskie, ale o gustach się nie dyskutuje), gra zaś też rewelacyjna nie jest. Ale daleko jej od tego, by nazwać ją słabą. Ot, rzetelna – a nawet bardzo rzetelna – gra akcji, w której możemy porozwalać potworki z piekła rodem nie tylko za pomocą giwer, ale także czarów (tu mi się przypomina trochę już chyba zapomniana giera „Clive Barker's Undying", niesamowite połączenie horroru i akcji w konwencji tpp – tam też można było jednocześnie korzystać z broni jak i czarów. No i ta grafika...). W Constantine na grafę też narzekać nie możemy, zwłaszcza, że oglądamy świat podwójnie: ten normalny i ten zapełniony istotami nadnaturalnymi. Jedyny zarzut to nadmierna liniowość rozgrywki, ale z drugiej strony nie jest to ani przygodówka, ani erpeg. Jeśli więc szukasz odrobiny akcji i odrobiny strachu – spróbuj śmiało tej gry.



The House of the Dead III
WOW Entertainment/SEGA

Ta gra zupełnie nie ma fabuły, jest prosta jak budowa cepa i krótka. Tak naprawdę możesz iść tylko do przodu i strzelać, ale nie za bardzo możesz robić uniki, cofać się, eksplorować ciekawe miejsca na mapie. Czyli gra spełnia wszystkie warunki, by być kompletnym dnem. A jednak nie. The House of the Dead III należy do dość specyficznej kategorii gier, które czasem określa się jako "celowniki". A dlaczego? Ponieważ na ekranie monitora pojawia się ów celownik, a twoim jedynym zadaniem jest eliminowanie wskazanego celu, w tym wypadku wszelkiej maści zombie. Oczywiście jakaś fabuła jest w tej grze, ale akurat ona liczy się najmniej. W THOTD III najważniejsze jest strzelanie. I to akurat nie zawodzi! THOTD III to konwersja z konsoli, tym razem całkiem udana. Brakuje co prawda pistoletu, który moglibyśmy trzymać w ręku, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma - czyli myche i klawiaturę. I choć pecetowcy musieli czekać dwa lata na wersję blaszakową, to nie ma tego złego, gdy skończymy trójkę, odblokowuje się The House of the Dead II. Słabo?

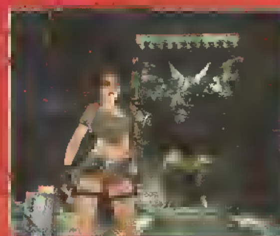
gad

newsy



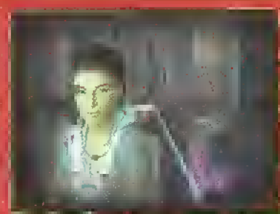
The Witcher from Poland

Czy naz a Witcher jest Wam znana? No, jak to? Nie czytaliście żadnej powieści ani opowiadania z nim ... apiszę nie Witcher, a ... o jasne, rawda. Co ja będę więcej mówił. Ci, którzy uwielbiają twórczość Sapkowskiego, z pewnością sięgną po tę grę, zaś ci, którzy niespecjalnie przepadają... niech sobie obejrzą screeny! Wiedźmin ma być rasowym erpegiem osadzonym w świecie wykreowanym przez Andrzeja Sapkowskiego (inaczej być nie może...), z grafiką taką, że sorry, nie chce mi się wierzyć, że to polska produkcja! Za grę odpowiedzialny jest CD Projekt Red, więcej zaś o samym Wiedźmi nie dowiecie się na stronie www.thewitcher.com.



Powrót pani Croft

Tak, tak, nasza seksowna pani archeolog powraca. Od świeżona (jej kształty teraz będą bardziej hmm... ludzkie) z nowymi, bardziej płynnymi ruchami, ara ma ba dziej przypo nać ję z pierwszych części niż z Angel of Darkness. Przynajmniej Jak widzi to Eidos, producent gry oraz twórcy, Crystal Dynamics. Siódma część cyklu ma nosić tytuł Tomb Raider: Legend.



Następstwa

a ... atyt ... łowany pierwsz dodatek do Half-Life 2 – dodatek, o którym już wspominaliśmy na łamach SLG. Teraz jednak możemy powiedzieć coś więcej! Otóż HL 2: Aftermath powinien pojawić się w lecie. Akcja rozgrywać się będzie zaraz po zakończeniu historii z HL 2. Ponownie wcielimy się w postać Gordona Freemana, a pomagać nam będzie... tak, Alex Vance.



Znów zatrzęsie

to ... ż n edłu go. Na tegorocznym QuakeConie zostanie zaprezentowana grywalna – podobno – wersja Quake'a 4! Fabuła ma nawiązywać do drugiej części Quake'a (czy ktoś jeszcze pamięta? To był odaj 1998 rok...), gdy to grupa marines (a któżby inny, nazwa id Software zobowiązuje:)) została wysłana na planetę Stroggów, by tam trochę posprzątać. W czwóreczce podobno już nie grupka, ale konkretna armia ma wyruszyć naprzeciw swym wrogom. Chyba więc naprawdę zapowiada się trzęsienie.

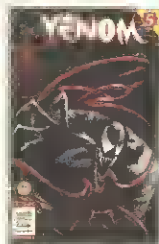


SS II

Nie, ten skrót nie ma nic wspólnego z nazistami a z... Serious Samem, który jeszcze w tym roku ma zagościć na monitorach naszych blaszaków! Na razie ...domo tyle, że robi go – ... iście – Croteam i że graficz nie ma być wprost rewelacyjnie. Nie wiem jak Wy, ale ja już się ślinię na myśl o Serious Sam II.

komiks recenzje





VENOM #1
scenariusz: Daniel Way
rysunki: Francisco Herrera
MANDRAGORA

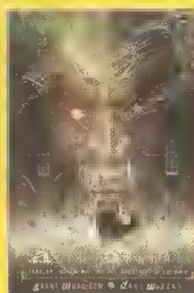
Venoma (i jego wyrodnego „syna" Carnage'a) zawsze uważałem za najciekawszych przeciwników Spider-Mana. Zwłaszcza pierwszego z nich, wyrzuconego z „Daily Bugle" dziennikarza Eddie'ego Brocka, który stał się nosicielem żywego kostiumu (zwanego czasami symbiotem) odrzuconego przez Spider-Mana. Marvelowska seria „Venom", której pierwszy odcinek właśnie się u nas ukazał, nie opowiada jednak o Brocku, a o niejakiej Patricii Robertson, na której drodze znalazł się symbiot, a właściwie jego klon... Nie uprzedzajmy jednak faktów, bowiem pierwszy odcinek „Venoma" obywa się bez Venoma – nie licząc, rzecz jasna, ilustracji na okładce. Zaczyna się jednak mocnym uderzeniem, kilkoma scenami na Antarktydzie, przywodzącymi na myśl choćby film „Coś" Johna Carpentera. W zrujnowanej stacji arktycznej Patricia odnajduje zwłoki całej załogi i tylko jedną ocalałą osobę. Wyraźnie niechętne interwencji wojsko zrzuca całą winę na niedźwiedzie polarne, ale Patricia (i oczywiście czytelnicy) czuje, że za masakrą kryje się coś o wiele bardziej niebezpiecznego. Start serii jest niezły, wprowadzenie obiecujące, ilustracje Herrery przyzwoite (przypominają rysunki ze „Spectacular Spider-Man"). Zobaczymy, co będzie dalej. (jd)



KAJTEK I KOKO W LONDYNIE
scenariusz i rysunki: Janusz Christa
EGMONT

Kolejny w cyklu „Mistrzowie polskiego komiksu" zbiór prac Christy, pierwotnie drukowanych w „Wieczorze Wybrzeża". Dwie długie opowieści – „Zwariowana wyspa" i „Londyński kryminał" były już kiedyś publikowane w formie albumowej, natomiast uzupełniające je paski z cyklu „Kajtek i Koko na wakacjach" (swoją drogą tytuł mylący, bo Koko pojawia się tylko w jednej z tych krótkich historyjek) nie były wcześniej drukowane w żadnym zbiorze. No, co tu dużo mówić, kto jak kto, ale Christa zasłużył na miano klasyka w stu procentach. Zabawne pomysły pozwalają autorowi na swobodne poruszanie się w rozmaitych zakresach gatunkowych („Zwariowana wyspa" to komiks z pogranicza sf i opowieści przygodowej, zaś „Londyński kryminał" to historia sensacyjna, jak sam tytuł wskazuje), a dopieszczona kreska budzi niekłamany podziw. A że niektóre pomysły i rozwiązania wydadzą się Wam naiwne? Pamiętajcie, że te komiksy powstały blisko 40 lat temu, a i tak zestarzały się w stopniu minimalnym. W dalszym ciągu to znakomita lektura. (jd)

wydarzenie



BATMAN. AZYL ARKHAM
scenariusz: Grant Morrison
rysunki: Dave McKean
EGMONT

„Jedyny [komiks], z którym miałem problemy, to historia z Batmanem, bo nie jestem jego fanem. Ale z Grantem Morrisonem współpracowało mi się znakomicie. Chciał napisać znaną historię zupełnie od nowa. Tyle, że ja nie mogłem ścierpieć niektórych elementów, na przykład kolesia wkładającego na siebie głupi kostium. Pozbyliśmy się więc tego i postanowiliśmy uczynić z Batmana symbol: niemal religijny, archetypiczny. Istota ludzka w połączeniu ze zwierzęciem – to raczej rodzaj jakiejś nadprzyrodzonej siły. To już nie człowiek. Joker natomiast jest metaforą stanu psychicznego. Dlatego cała historia ma wymiar symboliczny". Ten fragment wywiadu, jakiego Dave McKean udzielił kiedyś „Ślizgowi", mógłby wystarczyć za esencję tego, co trzeba o „Azylu Arkham" wiedzieć. Ale to na tyle ważny tytuł, że trzeba mu się przyjrzeć nieco bliżej.

Obecność McKeana w Polsce ograniczała się do tej pory przede wszystkim do jego współpracy z Neilem Gaimanem. Możemy podziwiać okładki „Sandmana", ilustracje do „Koraliny" i „Wilków w ścianach". I to w zasadzie – nie licząc kilkunastu okładek płyt, które rysownik zaprojektował – wszystko. Teraz do naszych rąk trafia wreszcie pełnometrażowy album z ilustracjami Brytyjczyka. I to album znakomity. Batman, jak żaden inny bohater komiksowy, nadaje się do przedstawiania najmroczniejszych zakamarków ludzkiej duszy. To samo zresztą dotyczy jego przeciwników. W wykonaniu Morrisona i McKeana Mroczny Rycerz nie jest po prostu wysportowanym facetem w kostiumie nietoperza. Jest uosobieniem siły i obsesji zemsty, ukrywanej pod pozorem prób zapanowania na chaosem, a jednocześnie niebezpiecznie bliskiej zachowaniom pensjonariuszy zakładu dla obłąkanych Arkhama. Podobnie arcywrogowie Batmana, od Jokera począwszy, na Killer Croku kończąc, są tu personifikacją niszczycielskich żywiołów, zwłaszcza tych ukrytych głęboko w meandrach umysłu. W wielu komiksach, których akcja toczy się w Arkham, scenarzyści zadawali pytanie, jak cienka linia dzieli szaleństwo od normalności. Morrison stawia jednak inną tezę: tu wszyscy są szaleni, od założyciela szpitala, Amadeusza Arkhama, po Batmana. Szaleństwo tkwi w istocie człowieczeństwa...

Morrison nasycił swój komiks rozlicznymi nawiązaniami, które można analizować i badać naprawdę długo. Tu nie mamy na to miejsca, więc podrzucę Wam kilka (mniej lub bardziej oczywistych) tropów. Po lekturze „Azylu Arkham" warto sięgnąć m.in. po „Alicję w krainie czarów" Lewisa Carrolla, dzieła Carla Junga, a także badacza jego dorobku (i przy okazji wielkiego znawcy mitologii), Josepha Campbella (to dla najbardziej ambitnych), opracowania dotyczące misteriów i tarota. A zapewniam, że nie wyczerpie to wszystkich możliwości interpretacyjnych komiksu. A przy całym swoim erudycyjnym bogactwie komiks jest przede wszystkim świetną, choć ponurą lekturą, znakomicie zilustrowaną (McKean perfekcyjnie łączy rozmaite techniki graficzne) i pięknie wydaną. Mrok w czystej postaci, a przy tym prawdziwe komiksowe arcydzieło. (jd)

komiks na DVD



LUCKY LUKE
reż. Philippe Haim
MONOLITH

Polski tytuł może być nieco mylący. Oryginalny – „Les Daltons" – jasno wskazuje, kto tak naprawdę jest bohaterem ekranizacji komiksu Goscinnego i Morrisa, tym bardziej, że samotny kowboj pojawia się tu w zaledwie kilku scenach. Bracia Daltonowie, przestępcy – nieudacznicy, przynoszą wstyd swojej matce (marzącej o wychowaniu gromadki bandytów z prawdziwego zdarzenia). Joe, Averell, Jack i William postanawiają uciec z więzienia, podwędzić meksykańskiemu desperado legendarny magiczny kapelusz, chroniący właściciela przed śmiercią i wreszcie zrobić wielki skok na niezdobyty bank w Gulch City. Obserwowani uważnie przez Lucky Luke'a bracia zaczynają wcielać swój plan w życie.

No, nie można powiedzieć, żeby to był udany film. Z pełnego humoru, igrającego westernowymi stereotypami komiksu zostało naprawdę niewiele. „Lucky Luke" jest niestety filmem nieznośnie efekciarskim, przekombinowanym („matriksowe" efekty specjalne, ożywiony cień Lucky Luke'a i w ogóle co to za pomysł z magicznym kapeluszem?) i przerysowanym, jakby chciał być bardziej komiksowy niż pierwowzór. Jeśli dorzucimy do tego niewybredny humor i tragiczne aktorstwo (z wyjątkiem zaskakująco stonowanego Tila Schweigera w roli Luke'a), to otrzymamy miks doprawdy ciężkostrawny. Ale Haimowi oddać trzeba sprawiedliwość: kilka scen zaaranżował udanie, paru bohaterów wygląda niczym żywcem wyjętych z komiksu, niezłe są momentami zdjęcia i dobrze dobrana muzyka (zapożyczona głównie z westernów Sergio Leone, ale i np. z „Blues Brothers"). To jednak kropla w morzu potrzeb. A może niepotrzebnie się czepiam? Tak na dobrą sprawę ośmio– lub dziesięciolatków „Lucky Luke" powinien rozbawić wystarczająco. Najwyraźniej dla takiej grupy docelowej Haim chciał ten film nakręcić. Ale po co mieszać w to wszystko Morrisa i Goscinnego? Tego nie wiem. (jd)



SKARGA UTRACONYCH ZIEM. MORIGANY
scenariusz: Jean Dufaux
ilustracje: Phillippe Delaby
EGMONT

Kontynuacja celtyckiej sagi fantasy Jeana Dufaux, której cztery części, ilustrowane przez Grzegorza Rosińskiego, kilka lat temu ukazały się w Polsce. Tym razem Dufaux powrócił do czasów chronologicznie wcześniejszych od historii opowiedzianej w poprzednich tomach. Pozbawiony też został rysunkowego wsparcia Rosińskiego, a następcą Polaka został Phillippe Delaby, który kreśli misternie, ale nie wybija się ponad poprawność (gwoli prawdy, ilustracje Rosińskiego też nie zachwycały). Scenariuszowo nowa odsłona „Skargi..." przedstawia się bez zarzutu. Fabuła, choć prosta, podana jest z suspensem i nie przeszkadza fakt, że Dufaux znowu posiłkował się kilkoma wyświechtanymi scenopisarskimi chwytami. „Morigany" są zgrabnie skonstruowanym kryminałem w baśniowym, staroirlandzkim kostiumie. Zachwycone powinny być zwłaszcza niektóre feministki, którym z pewnością do gustu przypadną postaci tytułowych Morigan – „męskożernych" wiedźm. Swoją drogą, czyżby Dufaux zdradzał w ten sposób jakieś osobiste fobie? /*SBTN*/



STAR WARS. REPUBLIKA #1
scenariusz: Randy Stradley
rysunki: Brandon Badeaux
MANDRAGORA

Komiksowe imperium Gwiezdnych Wojen jest rozległe. Pewnie większe nawet niż wpływy senatora Palpatine'a. Z całej obrazkowej produkcji spod szyldu Star Wars trafia do nas ułamek, ale dobre i to. „Republika" to cykl przedstawiający rozmaite epizody z wszelkich zakątków Galaktyki, od jakiegoś czasu (polski #1 to amerykański #67) zajmujący się wydarzeniami wojny klonów. Czyli po prostu „wypełniacz" między drugim a trzecim epizodem filmowej sagi. Nic specjalnego, ale dla fanów i tak prawdziwa gratka. (jd)

recenzje filmowe



SIN CITY



reż. Robert Rodriguez, Frank Miller
SPI

Przypuszczam, że nie da się zrealizować idealnej adaptacji książki czy komiksu. Wielu próbowało. Nazwiska pechowców wciąż wywołują szydercze uśmiechy albo grymasy zniesmaczenia. Po prostu, nie da się. Można się za to zbliżyć i trudno byłoby zbliżyć się bardziej, niż uczynił to Robert Rodriguez. „Sin City" nie jest filmem do obejrzenia podczas sobotniej randki, tak samo jak „Sin City" Millera nie jest komiksem, który można by drukować w odcinkach w „Wysokich Obcasach". Nad historią nie ma się co rozwodzić. Kto zna komiks, ten wie, kto nie zna, niech przeczyta. Zaś film sam w sobie jest zdecydowanie dziełem unikalowym. Większość scen naprawdę wygląda jak oryginalne kadry z komiksu, a co wytrawniejsi fani będą nawet w stanie przywołać konkretne plansze z pamięci. Ot, taka zabawa pod tytułem „znajdź pięć szczegółów różniących tę scenę od strony trzydziestej czwartej...". Do tego absolutnie powalająca obsada (choć wydaje mi się, iż Bronisław Cieślak wyszedłby taniej niż Rourke, a różnica w wyglądzie niewielka i dodatkowa oszczędność na charakteryzacji...), wizualny majstersztyk, naprawdę i dziewczyny jeszcze lepsze (bo mniej kanciaste) niż te spod kreski Millera. Jedyne, co trochę razi, to dialogi i narracja. Po pierwsze, miejscami nieco sztuczne, a po drugie, słowa w filmie uległy znacznemu zagęszczeniu w stosunku do oryginału. Odrobinę brak tej lakoniczności, która komiksowi dodaje naprawdę wytrawnego posmaczku. No i – co w przypadku dzieła tak dopracowanego jest błędem niewybaczalnym – soundtrack (poza kilkoma fragmentami) jest kompletnie nijaki. Cóż, to jedyny element filmu, którego nie dało się skopiować z komiksu... [C]

LEMONY SNICKET: SERIA NIEFORTUNNYCH ZDARZEŃ



reż. Brad Silberling
UNIVERSAL

„Seria niefortunnych zdarzeń" to liczący obecnie 11 tomów cykl książek, które – z braku lepszego określenia – można nazwać horrorami dla dzieci. Pisane przez autora ukrywającego się pod pseudonimem Lemony Snicket powieści szybko zdobyły ogromną (dodajmy: zasłużoną) popularność, więc ekranizacja była tylko kwestią czasu. Film zbiera wątki z pierwszych trzech książeczek cyklu, wprowadzając widzów w mroczne początki rzeczywiście dość niefortunnego życia sierot Baudelaire. Wioletka, Klaus i Słoneczko, po tragicznej śmierci rodziców w pożarze domu, trafiają pod opiekę swego wuja, ekscentrycznego aktora, Hrabiego Olafa. Bardzo szybko przekonają się, że Olafowi chodzi przede wszystkim o ogromny spadek po rodzicach Baudelaire'ów, a dzieci stoją mu na przeszkodzie. Hrabia nie cofnie się przed niczym, żeby zgładzić rodzeństwo i położyć łapy na ich majątku... Historia niby standardowa, ale Lemony Snicket w swoich powieściach pokazał ją w nowatorski sposób. Twórcom filmu na szczęście udało się atmosferę książek przenieść na ekran. Film zaludniony jest barwnymi, dziwacznymi postaciami. Swoje do wyjątkowo ponurego jak na film dla dzieci klimatu wnoszą dekoracje i świetnie wykorzystane efekty specjalne. Sprawdzili się także aktorzy: od grającego jak zwykle na granicy dobrego smaku Carreya (Hrabia Olaf) po młodziutką Emily Browning (Wioletka Baudelaire). W sumie wyszło dobre, rozrywkowe kino, bliskie dokonaniom Tima Burtona, a jednocześnie bardzo świeże. (jd)

MARTWE PTAKI



reż. Alex Turner
UNIVERSAL

Zaskakująco udany horror, niespecjalnie odkrywczy, ale klimatyczny, a to przy ostatnim wysypie filmów grozy już spore osiągnięcie. Rzecz dzieje się w Stanach Zjednoczonych, krótko po zakończeniu wojny secesyjnej. Banda niedobitków Południa snuje się po małych miasteczkach, dokonując brutalnych napadów na banki. Ich dobra passa kończy się, gdy ścigani przez wojsko trafiają do opustoszałego domu, gdzie postanawiają przeczekać noc i wylizać się z ran. Jak łatwo się domyślić, nie był to specjalnie dobry pomysł, a uciekinierzy szybko zaczną odkrywać, że ponure domostwo skrywa jeszcze bardziej ponure sekrety. Film eksploatuje klasyczne motywy horrorów, szczególnie te typowe dla produkcji amerykańskich (nawiedzony dom na kukurydzianym polu... Czego oni, do cholery, chcą od kukurydzy?). Alex Turner potrafi jednak budować napięcie nie nadużywając ogranych efektów. Niemal nieznani aktorzy (najbardziej zagorzali kinomani rozpoznają zapewne Henry'ego Thomasa i Isaiaha Washingtona) również poradzili sobie nieźle. W sumie więc przyzwoity to film, choć widzowie generalnie horrorom niechętni pewnie jego zalet nie docenią. (jd)

GET BACKERS MISJA 1 + 2

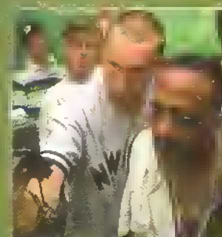


ANIME VIRTUAL

Get Backers to (póki co) duet zajmujący się odzyskiwaniem szeroko rozumianych zaginionych przedmiotów. Mido Ban, potężny iluzjonista o żelaznym uścisku, współpracuje w tym celu z Amano Ginjim, „księciem błyskawicy", ex-przywódcą czołowego gangu w niebezpiecznym Mugen Jo. Na przeszkodzie staje im niełatwa przeszłość obu, trudne charaktery, notoryczny brak hajsu, ale przede wszystkim galeria postaci o takich mocach, że wielu vipów z universum Marvela i DC mogłoby wylewać krokodyle łzy na swoje obcisłe kostiumy. Dziesięć dwudziestoparominutowych odcinków sympatycznego anime to gratka dla fanów opowieści superbohaterskich, bo pojedynki wypadają znakomicie. Scenariusze z odcinka na odcinek są coraz lepsze, by pod koniec osiągnąć zadowalający poziom. Trudno zrozumieć to, że bardzo dobra, dynamiczna, realistyczna animacja, przy okazji przedstawiania irytacji czy zakłopotania postaci sięga po chwyty z infantylnych kreskówek i killerzy wyglądają nagle jak Pokemony. Nic nie usprawiedliwia tłumaczenia – gorszego nie widziałem w życiu. Literówki, błędy ortograficzne, pozbawione sensu - pewno zbyt dosłownie tłumaczone, kwestie, i notoryczne mylenie rodzajów (faceci mówią jak panienki i na odwrót). Jeżeli człowiek jest to w stanie wytrzymać i przebrnie przez dwa pierwsze odcinki, to czeka go miła rozrywka. (flint)

newsy

No to mamy wakacje. Sympatycznie. Wszystkim czytelnikom SLG życzę jak najbardziej udanych letnich miesięcy. Ale muszę zaznaczyć jedną bardzo ważną rzecz – nie zapominajcie o lekturze Waszego ulubionego miesięcznika (i nie piszę tu o „Playboyu"), nawet kiedy będziecie byczyć się na śródziemnomorskich plażach lub hasać po szczytach Alp. To niedopuszczalne zaniedbanie byłoby, zatem pilnujcie się, moi drodzy, i kupujcie „Ślizg", dając zarobić nam, Waszym drogim redaktorom. Jo! dla wszystkich.



Oczekując na debiutancki krążek **Masseya** (ma ukazać się w październiku nakładem warszawskiego labela RAP-IN) w skate shopach oraz w necie znaleźć będzie można na początku wakacji drugą część jego koszykarsko-hiphopowego mixtape'u. „Massey Mixtape vol. 2" to filmik przedstawiający najlepsze koncerty oraz akcje z meczów z udziałem rapera. Ciekawostką jest, że produkcję tę zapowiadać będą takie sławy, jak Raekwon, Prodigy (na zdjęciu z Masseyem), The Beatnuts oraz Lil Dap.

NEWS

Wrzesień to najbardziej prawdopodobna data powrotu na scenę **Płomienia 81**. Duet Pezet-Onar ostatni raz wydał wspólną płytę w 2000 roku, od tamtej pory raperzy działali na własną rękę. Album wstępnie zatytułowany jest „Historie z sąsiedztwa", a wydany zostanie przez nowy label Dobre Ziomy we współpracy z Konkret Promo.

NEWS

A w międzyczasie koniecznie zapoznajcie się z płytą zajebistego zespołu **Hop Kids** pod tym samym tytułem. Jest już w sklepach, więc nic nie stoi na przeszkodzie. Artyści na niej „tworzą nowy styl, prezentują przebojowe piosenki." Moim zdaniem, to jest to, czego brakowało do tej pory w polskim hip-hopie, zatem każdy, kto nie zaopatrzy się w owo wydawnictwo narazi się na mą pogardę. A tak na poważnie, to buahahahahaha, co to ma być w ogóle?!

NEWS

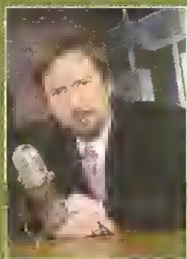
Już ponad trzy miesiące minęły od podpisania przez **BlaBla** kontraktu z EMI Music Polska i mamy wreszcie trochę szczegółów dotyczących płyty. Ma być zatytułowana „W pracowni słowa i dźwięku", gościnnie na pewno pojawi się na niej Gres. Album wchodzi w ostatnie fazy produkcji, więc premiera coraz bliżej.



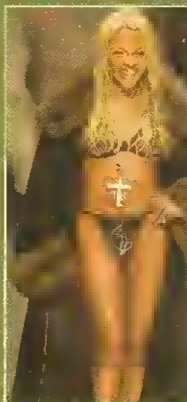
Gift Of Gab oraz Chief Xcel, czyli duet **Blackalicious** szykuje się do wydania nowego krążka. Płyta pod tytułem „The Craft" ukazać ma się pod koniec września. To już trzy lata, od kiedy duet po raz ostatni wypuścił wspólny album. Gościnnie pojawią się na krążku m.in. Floetry, George Clinton, Life Savas czy Lyrics Born. Album ukaże się nakładem labela Anti, który przynależy do Epitaph Records.



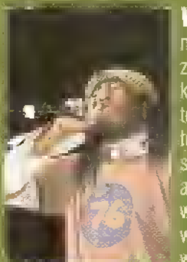
Do wydania nowej płyty przymierza się również **Royce Da 5'9**. Album „Independent's Day" będzie można zakupić od 28 czerwca, a ukaże się on nakładem wytwórni Make It Count Records. Gościnnie na wydawnictwie pojawią się między innymi Cee-Lo i La The Darkman, a także cały zastęp undergroundowych emcees. Ponadto, słyszy się, iż następnym projektem Royce'a ma być kolaboracja z producentem Nottzem.



Brzmi to jak jakieś jaja i gdybym nie widział tego wyraźnie czarno na białym (czy też biało na czerwonym, nie pamiętam dokładnie), to bym nie uwierzył. Otóż, do nagrania hip-hopowego albumu szykuje się... komik **Tom Green**. Nie jest to dla niego nowość, gdyż w 1992 roku debiutował z kanadyjskim składem Organized Rhyme. „Pora by być szczerym ze społeczeństwem, z przyjaciółmi, z rodziną i przede wszystkim z samym sobą. Jestem raperem." No to czekamy do jesieni, kiedy płyciwo o nieznanym jeszcze tytule pojawi się w sklepach.



A teraz newsik będący ukłonem w stronę Kubanosa, gdyż tematyka jego jest wybitnie komiksowa :) Mianowicie, Marvel we współpracy z Atlantic Records wydał komiks zatytułowany **„The Heist"**, w którym bohaterowie walczą o odzyskanie diamentu należącego do niejakiego Check Writera (czyli „Wypisywacza Czeków" w dosłownym tłumaczeniu). Po drodze przeżywają oni liczne przygody, które zmuszają ich do wykorzystywania specjalnych zdolności. A teraz gwóźdź programu: bowiem tymi bohaterami są... Fat Joe, Twista, T.I., Fabolous, Trick Daddy oraz Lil' Kim (na zdjęciu). Ja szczególnie ciekawe jestem, jak obezwładnia swych wrogów ta ostatnia :)



Will.I.Am z Black Eyed Peas ma plan, by przenieść się na jakiś z USA do Australii i zająć się wyszukiwaniem oraz promowaniem tamtejszych raperów. Planuje nawet założyć tam swój label, gdyż stwierdził, że zdecydowanie za mało australijskich artystów hip-hopowych ma podpisane kontrakty płytowe. Fajno. Ciekawe, kiedy ktoś wpadnie na pomysł promowania polski[...] o hip-hopu w świecie.



Kokane ma podobno dołączyć do **G-Unit**. Weteran z zachodniego wybrzeża ogłosił, że już niedługo oficjalnie stanie się członkiem ekipy 50 Centa. W tej chwili artysta już współpracuje z Tonym Yayo i Young Buckiem, innymi raperami z G-Unit. Również M.O.P. mają zamiar związać się z tym labelem, po tym jak odeszli od Damona Dasha i odrzucili ofertę kontraktu od Jaya-Z. Na dokładkę Fifty stwierdził, że z chęcią przyciągnąłby do siebie także Mobb Deep. Takie tam ploteczki, wiecie :)



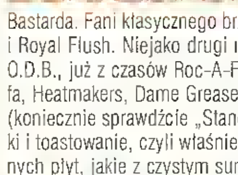
Wiadomości z działalności **Outkastu**. Andre 3000 ostatnio coraz bardziej angażuje się w film. Po kilku zagranych rolach planuje teraz robić filmy z przesłaniem dla młodych widzów. Oprócz aktorstwa raper ma być współproducentem najbliższego obrazu ze swoim udziałem. Big Boi koncentruje się tymczasem na sferze muzycznej – właśnie przypieczętował otwarcie własnego labela Purple Ribbon. Pierwszym artystą, którego materiał zostanie wydany przez wytwórnię, będzie Killer Mike (płyta „Ghetto Extraordinary" w sierpniu). A najważniejszą wieścią jest, że dust już pracuje nad nową płytą. Ali G. powiedziałby „wicked!"

recenzje
muzyczne



OL' DIRTY BASTARD
OSIRUS: THE OFFICIAL MIXTAPE
SURE SHOT/ ISOUND

Ciekawe, że pierwszy z pośmiertnych krążków Osirusa stoi na o niebo wyższym poziomie niż ostatnie z nagrań, jakie firmował swoim nazwiskiem jeszcze przed tragiczną śmiercią – „Nigga Please" i „The Trials and Tribulations of Russell Jones". Mamy tu zarówno doskonałą produkcję DJ'a Premiera „Pop Shots (Wu-Tang)", kilka nagrań autorstwa Chopsa z Mountain Brothers, a nawet 2 skity, w których Rahzel bierze na warsztat legendarne klasyki Bastarda. Fani klasycznego brzmienia Klanu z przyjemnością wysłuchają tracków nagranych z Baby Shamem i Royal Flush. Niejako drugi rozdział tego miksu stanowią kawałki przygotowywane z myślą o nowej płycie O.D.B., już z czasów Roc-A-Fella, gdy rymował pod pseudonimem Dirt Mc Girt. Prym wiodą tu bity K-Defa, Heatmakers, Dame Grease'a – wyraźnie mainstreamowe zacięcie i Osirus w naprawdę konkretnej formie (koniecznie sprawdźcie „Stand Up" z Ghostface'em). Dobre rymy, jedyne w swoim rodzaju flow, szalone ryki i toastowanie, czyli właśnie taki Ol' Dirty jakiego pamiętamy z najlepszych lat. Jedna z niewielu pośmiertnych płyt, jakie z czystym sumieniem można polecić. Calak



LEREK
BO BEZ CIEBIE
CAMEY RECORDS

Debiutancka epka Lerka to 6 utworów (+remiksy) w większości lekkich i łatwych, w sam raz na lato. Nie należy oceniać tej płyty w kategoriach hip-hopu, bo swoją estetyką i klimatem „Bo bez ciebie" zbliżone jest zdecydowanie do standardów miałkiej polskiej muzyki rozrywkowej. W dużej mierze dzięki takiej a nie innej aranżacji podkładów (tu na tle producentów ze stajni Cameya wyróżnia się Mes). Tematyka oscyluje wokół kobiet i miłości, ale mamy także szalony utwór libacyjny z Nowatorem oraz wspominający niechlubną przeszłość wokalisty „Nie mogę wrócić". Jeśli podobało się Wam to, co robił Lerek dotąd, spodoba się Wam także jego debiutancka solówka. Dla tanek specjalny bonus – prezentacja multimedialna zawierająca klip oraz galerię zdjęć. Ce.



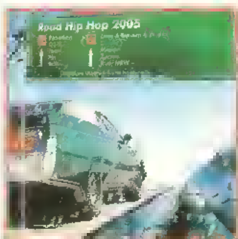
THE WHITE STRIPES
GET BEHIND ME SATAN
XL RECORDINGS

Tytułowa inwokacja do Głównego Złego Gościa została chyba wysłuchana, bo White Stripes udało się pokazać rogi. Z myślą o swojej piątej płycie, rodzeństwo White'ów przygotowało zestaw utworów, których stylistyczny rozrzut obejmuje pulsujące funky i soul („My Doorbell"), country i blue grass („Little Ghost"), blues („Take, Take, Take"), a nawet hippisowską balladę, którą mógłby zapewne napisać skacowany John Lennon zamknięty w piwnicy („Forever For Her"). Wszystko to zostało oczywiście przełożone na charakterystyczną, rozimprowizowaną (żadna z piosenek nie była w pełni ukończona przed wizytą w studiu!), lajtstrajpsowską modłę. Zaznaczyć trzeba, że zdecydowana większość utworów została wykonana akustycznie, a za podstawowe instrumentarium posłużyły Białym Paskom perkusja i pianino, czasami zastępowane gitarą akustyczną. Po elektryczne wiosło Jack White sięgnął tylko w trzech numerach – kapitalnym kakotonicznym „Red Rain" brzmiącym jak stare nagrania MC5, hendrixowskim, blues rockowym „Instinct Blues" i konserwatywnym „Blue Orchid". Dodatkowe instrumenty, takie jak przeszkadzajki, dzwonki i inne popierdółki nie wpłynęły na surowość brzmienia albumu, a jest ono bardzo siermiężno-garażowe. Wciąż sporo jest w muzyce White Stripes brudu, minimalizmu i kontrolowanego chaosu, ale też tym właśnie duo zjednało sobie pokaźną liczbę fanów. Na sam koniec Paski zachowały knajpianą kompozycję na pianino, „I'm Lonely (But I Ain't That Lonely Yet)", która po zmianie wokalu z wysokiego i czystego (bo takim dysponuje Jack White) na znacznie bardziej charczący i przepity, mogłaby znaleźć się na którejś z płyt Toma Waitsa. Wprawdzie fanem twórczości Meg i Jacka White'ów byłem jak dotąd umiarkowanym, ale świetne piosenki zawsze doceniam. A świetnych piosenek na „Get Behind Me Satan" nie brakuje. /*SBTN*/



ROAD HIP HOP 2005
SYNDYKAT DŹWIĘKU

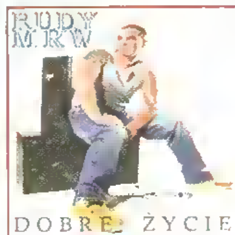
Pierwszych sześć utworów i cieszę się, że udało się zrobić fajną składankę, że ludzie w podziemiu umieją zrobić przyzwoite beaty, a vipów stać na progres, niezłą zwrotkę, dobry refren i przyzwoite flow. Gdyby RHH2005 było epką, chętnie bym jej słuchał. Niestety, okazało się, że niewiele poza tą szóstką trzyma poziom, a dwupłytowe wydawnictwo jest udane tylko w 25%. A może to i tak nieźle jak na słaby dla rapu okres? Pastwić mi się nie chce, więc raczej pozachęcam: Warto posłuchać zwrotki Erosa, bo ma optimum formy (kozak wejście na drugim „U Ciebie w mieście"), mocne wersy i trzyma w napięciu. Wilk złapał we flow lekkość i służą mu niepoważne tematy. BRX i Skazani na Sukcezz zdecydowanie na plus, refren Fenomenów zostaje w pamięci na długie dnie, Liroy zdumiewa ewolucją, a Chada jak zwykle szczerością z pogranicza ekshibicjonizmu. Tyle z najjaśniejszych punktów pierwszego krążka. I dobrze, bo na drugim, tym „nielegalnym", trudno doszukać się pozytywów. Jękliwa WdoWa, Emazet (choć słaby ten utwór), Deklamacja, Rademenes i Liga Be – to można sobie sprawdzić. I jeszcze Juranda, który płynie po dobrym beacie i ma tę zaletę, że w odróżnieniu od reszty „undergroundowców" nie nawija po polsku. Przed całą resztą czujcie się ostrzeżeni – cieszę się, że grzebię trochę w podziemiu, bo przynajmniej wiem, że tak rozpaczliwie nie wygląda. (flint)





LEMAR
TIME TO GROW
SONY BMG

Drugi album jednego z laureatów brytyjskiego „Idola", nazywającego siebie ciut na wyrost „soulmanem", sprawia zdecydowanie korzystniejsze wrażenie od debiutu. 12 dobrze wyprodukowanych i czysto zaśpiewanych kompozycji z pogranicza popu i r&b zgrabnie komponuje się w jedną całość, sympatycznie wpadającą w ucho. Zapewne płyta bardziej spodoba się dziewczynom, Lemar bowiem w tekstach porusza głównie temat miłości i czyni to w sposób dojrzały, z pozycji dżentelmena umiejącego w pełni docenić zalety swej partnerki. Zwraca uwagę oparcie muzyki o żywe instrumenty, brzmi to profesjonalnie i jest do cna dopracowane. Drugim Prince'em czy D'Angelo na pewno Lemar się nie stanie, ale „Time To Grow" to 45 minut bardzo miłej muzyki, takiej w sam raz na kolację przy świecach chociażby. Calak



RUDY MRW
DOBRE ŻYCIE
SYNDYKAT DŹWIĘKU

To mogłaby być dobra płyta na lato, bo nowocześnie brzmi i sporo wersów to punchlines. Z tym, że o ile Rudy umie napisać punchline, to kiedy go wykonuje, gorąca linijka stygnie w okamgnieniu. Jakby określić „flow"... Agresywne, pozbawione rytmu stękanie na wydechu? Tak, a do tego w wersach pełno głoski, której raper nie wymawia. Coś jeszcze? Miks wokalu leży. Często trudno zrozumieć, co mc chce powiedzieć. I co z tego, że w bitach dominują plastiki, kiedy pozbawione są wyczucia, kopa, powodują znużenie. Zdarzy się coś dobrego Kamelowi, eMOCe daje radę (tylko bas słaby!), ale i tak słychać różnicę klas w porównaniu z Szyhą czy Kociołkiem, który niby zrobił bit na szybko, ale za to i tak najlepszy na albumie. Już chyba ostatnie solo Tedego pokazało, że rookies nie powinni się uczyć na oficjalnych wydawnictwach. Niektóre tracki to niewyobrażalny dramat. Przy „Tak często" i „Z.Ł.O.M." Doniu brzmi jak hardcore, ba, nawet Verba brzmi jak hardcore. Gwoździem do trumny są wokalistki pozbawione wstydu i litości dla słuchaczy. Ich hańbę zmywa WdoWa jadąca ostro i - niestety tradycyjnie już - ze zbytnią emfazą.

Wiem, że Rudy MRW ma niezmordowanych i upartych sympatyków, którzy hołubią go już od featu na „Platynowym Sombrero". To płyta dla nich i tylko dla nich, bo dla wszystkich innych będzie słaba. Przyznać trzeba, że „Chlamy" z Procentem i Pihem, to jedyny w pełni udany utwór. Gospodarz albumu pokombinował z flow, dobrym pomysłem są krótsze wejścia. To wskazówka na przyszłość. A o teraźniejszości zapomnijmy. (flint)



FAITH EVANS
THE FIRST LADY
CAPITOL / POMATON EMI

Najpierw trochę historii dla ignorantów: Faith wyszła za Notoriousa B.I.G. w 1995 roku. Po niecałych dwóch latach, kiedy na świat przyszedł ich syn, rozstali się, bo Biggie wolał Lil'Kim. Kogo wolała Faith trudno orzec – plotkowano o jej romansie z Tupakiem. W 1997, gdy i Faith i Biggie mieli po 25 lat, Notorious został zastrzelony. Była żona króla East Coastu wyśpiewała wtedy „I'll be missing you", który przyniósł jej fame and fortune. Czy tęskniła faktycznie? Kto to wie. Grunt, że kilka miesięcy po śmierci Notoriousa na świat przyszło kolejne dziecko i nie ma ono na nazwisko Wallace. Wtedy też wyszła jej płyta „Keep the Faith", dwa lata później „Faithfully", a teraz, po kolejnych czterech latach – „The first lady". Reklama mówi: „album wdowy po Notoriousie" i „w tym głosie słychać cierpienie". Zważywszy, że jest już trzecim albumem po śmierci Biggiego, od której minęło osiem lat – hasło dziwi, bo po co się legendą wycierać? Zwłaszcza, że nie trzeba – płyta broni się sama, choć nie jest „albumem, dla którego urodziła się Faith"... Mam nadzieję. Skręca mnie zaczynanie każdego kolejnego albumu od: „It's me again", „I'm back" i innych tekstów sugerujących, że artysta ledwie z życiem uszedł. Dlatego singlem byłam przerażona. Niepotrzebnie, bo to jeden z gorszych numerów. Kawałki jak „Goin' Out", „Mesmerized" czy „Ever Wonder" z Mario Winansem bujają od pierwszych dźwięków. The Neptunes, mimo zmęczenia materiału pokazują klasę, choć mam wrażenie jakby w „Goin' Out" śpiewała Kelis. Mogę się doszukiwać i innych podobieństw, ale Faith mnie uprzedza i wymienia zarówno Arethę Franklin jak i Jill Scott jako swoje inspiracje. Może trochę zbyt wyraźne, ale zajebisty efekt uświęca środki. Faith włożyła w album wiele wysiłku i to słychać. Z nietypowych aranżacji wokalu i trudniejszych niż dotąd podkładów wyszła obronną ręką. Chcę więcej! Fala



TWEET
IT'S ME AGAIN
ATLANTIC / WARNER

Nie skomentuję tytułu albumu (patrz recenzja Faith), więc zacznę inaczej. Zestarzała nam się pani Tweet. To już nie sexy podlotek, co został podstępnie zdradzony przez chłopaka i znajduje przyjemność w dotykaniu siebie przed lustrem. To dojrzała kobieta i matka. Widać to i na fotkach, i w muzyce, która jest o wiele bogatsza i czerpiąca z innych inspiracji niż tylko analogowy keyboard. Sporo tu muzycznych wycieczek i żywego grania. Choć intro na „dzień dobry" sugeruje smęcący ton debiutanckiego „Southern hummingbird", dalej muza się rozkręca i osiąga kulminacje w mega mistrzowskim cheerleaderskim kawałku „Sports, Sex and Food". Trzeba sobie powiedzieć, że mentorka Tweet, Missy, nieźle na płycie poszalała i jako producent, i jako raperka. Mam tylko czasem wątpliwości, czy projekt ten nie powinien się nazywać „Tweet i Missy", bo pani Elliot słyszalna jest w każdej sekundzie. Tweet śpiewa anielsko i delikatnie, ale przez bardziej zróżnicowane podkłady, jej kwilenie nie nudzi. Szokuje featuring z Tashawną – dwunastoletnią córką Tweet. Trudno poznać, która jest która, bo obie mają podobnie podniebne rejestry, a małolata śpiewa kozacko. Innych featuringów brak. Przy tym płyta ma siedemnaście kawałków, więc skoro całą przeżyłam za jednym podejściem, to znaczy, że jest dobra. Niedowiarkom, że Tweet potrafi ryknąć pełnym płucem, polecam hidden track „When I Need a Man" – kawał solidnego kla-



„The Day After" to tytuł nowej płyty ***Twisty***. Krążek ma pojawić się w sklepach we wrześniu. Wśród producentów będą wszyscy topowi dziś beatmakerzy: Scott Storch, Timbaland, Kanye West i The Neptunes. Pierwszy singiel ukaże się w lipcu i ma nosić tytuł „Girl Tonight". „Kamikaze", czyli [illegible]edna płyta Twisty, sprzedała się w ponad dwóch milionach egzemplarzy.



Od kilku dni w sprzedaży powinien być już nowy album ***Afu Ry*** (głupio to wygląda, ale tylko tak można napisać ksywkę tego rapera w dopełniaczu, czy się to komuś podoba, czy nie...) „State of the Arts". Płyta wydana jest przez należący do rapera label Life Force Records. Gościnnie pojawiają się na ni[illegible] między innymi Royce Da 5'9, Masta Killa oraz Gentleman. Afu pracuje ponadto nad nowym materiałem Perverted Monks.



Jin zdecydował się zawiesić mikrofon na kołku, o ile można w tym przypadku użyć sportowej metafory. Po wydaniu jednej płyty („The Rest Is History") raper nie będzie już więcej widywany w studiu. Ogłosił to w specjalnym oświadczeniu, nagrał pożegnalny kawałek „I quit" i zamierza spełniać się w innym „zawodzie". Powodzenia życzymy zatem.



Matka ***2Paca***, Afeni Shakur (obydwoje na zdjęciu), [illegible]tworzyła w miejscowości [illegible] Mountain niedaleko Atlanty Tupac Amaru Shakur Center for the Arts. Jest to centrum mające kształcić młodzież w dziedzinie sztuki. Fundusze na wybudowanie go pochodziły z Amaru Entertainment, również założonego przez Afeni. To pod szyldem tego wydawnictwa ukazały się wszystkie pośmiertne płyty rapera.



A[illegible]on skrytykował ostatnio gloryfikowanie przez raperów przemocy w swoich tekstach. Posunął się do stwierdzenia, że na przykład 50 Cent i The Game nie zasługują na hajs, jaki zgarniają właśnie ze względu na wartości, jakie przekazują w swojej muzyce (tudzież ich brak). „Kiedy zarabiasz miliony dolarów i wciąż promujesz przemoc, to nie zasługujesz na swój sukces. To jest ignorancja. Wszyscy chcą być twardzi. Chodzi o ego i to jest główny problem."



28 czerwca odbędzie się gala rozdania nagród ***BET Awards***. Najwięcej nomi[illegible]acji – cztery – zebrała Ciara (na zdjęciu). Po trzykroć nominowani są John Legend, Kanye West oraz [illegible] Dogg. Dwie nominacje zaś mają 50 Cent, The Game, T. I., Terror Squad [illegible] Jay-Z. Nagrody przyznawane są w czternastu kategoriach, w tym także dla najlepszych czarnoskórych aktorów oraz sportowców, gdzie mamy aż trzech nominowanych koszy-

karzy – Shaquille'a O'Neala, Lebrona Jamesa oraz Allena Iversona. No proszę, a najlepszym zawodnikiem NBA wybrano białego Steva Nasha:)



Wreszcie doczekaliśmy się pośmiertnego albumu ***Ol' Dirty Bastarda***. Data jego premiery to 21 czerwca. Na albumie [illegible]k ODB cała plejada: Neptunes, Macy Gray, Beanie Sigel, Raekwon, N. O. R. E., Lil' Fame, Clipse, Young Chris, Method Man, Joe Budden, Ghostface, Missy Elliott. Trochę ich dużo, byle nie okazało się, że zbyt wiele jest tych gościnnych występów. Tego samego dnia pojawić się powinno wydawnictwo zatytułowane „The Definitive Ol' Dirty Bastard Story", na którym obok największych hitów rapera znajdą się również wszystkie jego klipy.



Joe Budden zmienił datę wydania swojej płyty „The Growth" na 23 sierpnia, chcąc być pewnym, że wszystko zostanie dopięte na ostatni guzik. Pierwotnie krążek miał ujrzeć światło dzienne miesiąc wcześniej. Budden skrytykował przy tym Def Jam za wywieranie presji na swoich artystach i przyspieszanie wydawania płyt, dając za przykład ostatnie materiały Young Gunz i Memphis Bleeka. „Będą mieli mi to, co powiedziałem za złe, ale gówno mnie to obchodzi. Jebać 18 lipca." – podsumował nasz bohater.



Niemiłe zajście miało miejsce w Auburn podczas koncertu ***Snoop Dogga***. Fan, który wbił się na scenę i położył rękę na ramieniu rapera został dotkliwie pobity przez jego ochroniarzy oraz samego Snoopa i będących również na scenie The Game'a oraz Dowee'go. W necie powinien być jeszcze filmik z tego zajścia, który potwierdza wersję poszkodowanego. Snoop nie wypowiedział się na ten temat, a Dowee stwierdził, że... bronił swojego życia. Dziel ny ten Dowee, tylko kim on do cholery jest?;)



Juelz Santana wydaje 23 sierpnia album „What The Game's Been Missing". Płyta ukaże się nakładem Def Jamu, co nie było takie pewne, po tym, jak rozeszły się drogi Damona Dasha i Jaya-Z. Przypomnę przy okazji, że Cam'ron wybrał inną drogę i związał się z Asylum z grupy Warnera.



We wrześniu ukaże się trzecia płyta ***Cunninlynguists*** pod tytułem „A Piece Of Strange". Całością produkcji zajął się jeden z dwóch członków zespołu, Kno (na zdjęciu). Gościnnie pojawią się na krążku Cee-Lo oraz Immortal Technique. Kno pracuje także nad własnym producenckim albumem, na którym pojawić się mają między innymi Masta Ace, Jurassic 5, The Beatnuts oraz J-Live.

Grabiszczy

sycznego r'n'b z wykopem. Płytą „It's me again" Tweet naprawia wszystkie błędy debiutu zachowując przy tym jego zalety – minimalizm, nastrój i tak bardzo dla niej charakterystyczną zawadiacką nutę. Fala

DJ FORMAT
IF YOU CAN'T JOIN EM...BEAT 'EM
PIAS/ ISOUND



Trzecia płyta sygnowana przez DJ'a Formata w zasadzie nie odbiega zasadniczo od jego poprzednich produkcji. Słyszymy materiał co do joty przesiąknięty oldskulem, hip-hop w najbardziej klasycznym wydaniu z możliwych, oparty na funku, mocnej perkusji oraz – co dla fanów jego twórczości oczywiste – kapitalnych skreczach. Z 12 kompozycji, jakie znalazły się na krążku, trzy to instrumentale, a w pozostałych słyszymy rymy Abdominala i D-Sisive. Znalazła się też perełka w postaci kawałka „The Place" z udziałem Chali2Ny i Akila (obaj Jurassic 5) i nie trudno się dziwić, że jest to najlepszy numer na płycie. Zresztą o członkach J5 wspomniałem nieprzypadkowo. Wszyscy lubiący twórczość grup takich jak właśnie Jurajska Piątka czy Ugly Duckling z czystym sumieniem mogą sięgnąć po album Formata – to podobny rodzaj muzycznej wrażliwości, estetyki i energii. Calak

A DAY AT THE FAIR
THE ROCKING CHAIR YEARS
DRIVE THRU RECORDS



Czterech punkowców z New Jersey założyło zespół, a potem nagrało płytę. I wszystko byłoby OK, gdyby nie popełnili przy tym falstartu. A Day At The Fair gra sympatyczny, melodyjny punk rock w urozmaiconych tempach. Muzyka kipi energią, a kilka szlagwortów łatwo przylepia się do ucha. Nie zabrakło też obowiązkowej ballady ze smyczkami w tle („Monday Morning"). Szkoda tylko, że choć muzycy wiedzą, co chcą grać, to na same piosenki pomysłów trochę im nie dostaje. Gdyby każda z piosenek na „The Rocking Chair Years" była tak przebojowa jak nośny „The Blame Anxiety", to mielibyśmy do czynienia z prawdziwym wejściem smoka. A tak, niestety A Day At The Fair lokuje się gdzieś w drugiej lidze pop punka. No, ale szanse na awans są. Póki co, są na pewno lepsi od Blink 182, ale daleko w tyle za takimi mistrzami jak Alkaline Trio. Solidny produkt. Tylko lub aż: jak kto woli. /*SBTN*/

MINI-KONKURS: Mamy dla Was kilka samplerów Drive Thru Records, prezentujących najciekawsze nowe zespoły tego wydawnictwa. Aby zdobyć jedną z płytek, wystarczy napisać do nas pocztówkę lub maila i wymienić co najmniej dwa zespoły nagrywające dla Drive Thru. Proste? Pewnie. Czekamy więc na Wasze odpowiedzi pod adresem redakcji.

O.C.
STARCHILD
GRIT RECORDS/ KARTEL MUSIC



Cztery lata Omar Cradle kazał nam czekać na swój czwarty krążek, ale jak już zaatakował, to w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że 90% raperów na scenie może mu co najwyżej buty czyścić. Ta płyta po prostu wgniata w fotel, ukazują,c jak wiele hip-hop stracił poprzez przejście na to plastikowe, płaskie brzmienie. Od pierwszej sekundy – wszak intro do „Starchild" to diament najczystszej próby – do ostatniego taktu mamy do czynienia z doskonałymi, klasycznymi produkcjami i rymami oraz flow, do jakich O.C. nas przyzwyczaił na swych pierwszych, klasycznych przecież krążkach. Różni się przede wszystkim tematyka tekstów. Emce znany dotąd przede wszystkim z twardych, ulicznych opowieści tym razem uraczył nas wieloma historiami dotyczącymi swojego życia, wraca do lat młodości, przekazuje spostrzeżenia wynikające z obserwacji muzycznego biznesu. Choć za bity nie odpowiada ani nikt z D.I.T.C., ani wyjadacze pokroju Preemo czy Beatminerz, trudno przyczepić się do pracy jaką włożyli DJ Statik Selektah, Soul Supreme, Vanguard czy Locsmif. Jest energetycznie, dynamicznie, z odpowiednią dawką skreczy i klasycznego zacięcia. Aby Was dostatecznie przekonać, że warto po „Starchild" sięgnąć, dodam, że jedynym gościem na płycie jest Pharoahe Monch. Śpiewający... Calak

FANTOMAS
SUSPENDED ANIMATION
IPECAC

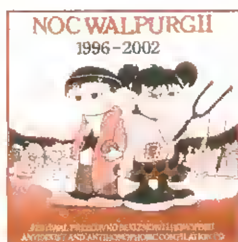


Mike Patton, niestrudzony poszukiwacz nowych dźwiękowych przestrzeni, firmuje swoim nazwiskiem niezliczoną ilość płyt. Udziela się gościnnie na albumach tak różnych wykonawców jak Bjork czy The Dillinger Escape Plan, reprezentujących przecież skrajne muzyczne bieguny. Swoje doświadczenia i pasje – czasami dość dziwaczne – splata w całość na kolejnych albumach. Ot, choćby na płytach Fantomasa. Patton, wspomagany m.in. przez perkusistę Slayera, Dave'a Lombardo, pokazuje tu, na co naprawdę go stać. Poprzednia, już trzecia, płyta Fantomasa „Delirium Corda" składała się z jednego, za to ponad siedemdziesięciominutowego utworu. Dla odmiany, najnowsza to aż trzydzieści kawałków, trwających z reguły około minuty, dwóch. Ich tytuły to... kolejne daty kwietnia 2005, zresztą limitowane wydanie albumu zaopatrzone było w ilustrowany kalendarz na ten właśnie miesiąc (przyznaję, zanim kupiłem płytę zdążył się zdezaktualizować). Piszę o tym tak szczegółowo, bowiem już podejście do choćby takich spraw może dać Wam niejakie pojęcie o tym, czego można się po „Suspended Animation" spodziewać. Po prostu: czystego szaleństwa. Muzyka zawarta na tym albumie, to wybuchowe połączenie metalowego jazgotu, dziwnych elektronicznych dźwięków, muzyki rodem z kreskówek, schizofrenicznych wokaliz Pattona i Bóg wie, czego jeszcze. Z pozoru chaotyczna, a jednak dokładnie przemyślana płyta. Zadziwiający, chwilami ciężkostrawny, ale fascynujący kolaż dźwiękowy. A że nie zawsze można zrozumieć, jaki w zasadzie jest cel muzycznych podróży Pattona? Nie przejmujcie się. Fantomas to muzyka dla pojebów. Za to naprawdę fajnie być jednym z nich. (jd)



THE MOVEMENT
REVOLUTIONARY SYMPATHIES
DESTINY / AGGROPOP

Czego można oczekiwać od trójki modsów z Danii, którzy jako źródła inspiracji wymieniają zarówno The Who, The Clash jak i Różę Luksemburg? Pierwsze typy: energetyczny power pop w punkowym wykonaniu, nieco klimatów wytwórni Motown oraz idealistyczne przekonania. No i wszystko by się zgadzało. Na „Revolutionary Sympathies" dominuje dynamiczny punkowy pop natchniony duchem The Jam. Przy takich kawałkach jak „Karl Marx", „More Products" czy „Something 'Bout Reality" skrojone na miarę garniturki powinny pękać w szwach, a od błyszczących półbutów odpadać podeszwy. Po dokooptowaniu kolegi grającego na organach Hammonda i koleżanki dośpiewującej chórki, Duńczycy zbliżają się także do tanecznego soulu w stylu swego ulubionego Style Council („Little Rain"), by potem – już samodzielnie – zgrabnie odpłynąć w swingujący avant pop („Me and You"). Do tego gorącego tygla trafił jeszcze cover zespołu Squeeze „Is That Love?" i sympatyczna piosenka „Watching All Trains Leave the Station", której zapewne nie powstydziłby się sam ex-lider The Jam i Style Council, Paul Weller. W tekstach trójka Duńczyków (i nie chodzi bynajmniej o gang Olsena) opisuje różne sytuacje obyczajowe, dzieli się obserwacjami społecznymi i obnosi się z tytułowymi „rewolucyjnymi sympatiami". Za kwintesencję przesłania The Movement posłużyć mogą wersy: „There's so much new products for all of us to discover / Like freedom, like culture, like taking care of each other". Nie sposób zresztą im nie wierzyć, gdy żarliwie deklarują, że rebelia jest ich sposobem na życie. „Revolutionary Sympathies" to drugi album Skandynawów zatascynowanych latami 60., stylem pop, skuterami i Karolem Marksem. Eleganckie garniturki i czerwona gwiazda? Chyba idealnie sprawdziliby się jako support dla The (International) Noise Conspiracy. /*SBTN*/



V/A
NOC WALPURGII 1996 - 2002
EMANCYPUNX / REFUSE REC.

Co dwa lata, ostatniego dnia kwietnia ma miejsce w Warszawie festiwal Noc Walpurgii. Ta cykliczna impreza, odbywająca się pod hasłami walki z seksizmem i homofobią, na dobre zapisała się do kalendarza undergroundowych eventów, każdorazowo gromadząc liczną publikę i zacny zestaw muzycznych wykonawców.

Zgodnie z charakterem festiwalu, udział w nim biorą zespoły z całego świata, zróżnicowane muzycznie, acz powiązane zaangażowaniem w problematykę feminizmu lub/oraz praw kobiet i mniejszości seksualnych. Niniejsza kompilacja jest swoistym dokumentem czterech odsłon Nocy Walpurgii, a zarazem przekrojem przez dźwięki, jakimi ona tętni. A rozpiętość stylistyczna jest tu ogromna. Od ostrego chaotycznego punka w wykonaniu szwajcarskich Re-Sisters, poprzez kapitalny, agresywny anarchopunk amerykańskiego Harum Scarum, psychobilly i tradycyjny melodyjny punk rock grane przez niemieckie grupy – odpowiednio: Lorena & The Bobbits i Scattergun, po różne odmiany hard core'u (belgijski Lile Cycle, fińska Diaspora, Highscore z Niemiec i Oil z Holandii). Polskę w tym zestawie reprezentują m.in. Post Regiment, nieodżałowany White Rabbit, Złodzieje Rowerów i żeński skład hip-hopowy, Duldung.

Jakość nagrań daleka jest od kryształowej, ale przymioty foniczne nie są w przypadku tej płyty najistotniejsze. Nie chcę tu szafować tanimi reklamowymi grepsami, ale po ten kompakt powinien sięgnąć każdy, kto interesuję się kulturą niezależną. Zwłaszcza, że Noc Walpurgii to w tym momencie wydarzenie europejskiej rangi. Słowa uznania należą się także organizatorom Nocy, którzy ideę festiwalu realizują z imponującą wytrwałością i profesjonalizmem, na przekór elektoratowi LPR-u, Młodzieży Wszechpolskiej, szerokokarkim użytkownikom odzieży ortalionowej i innym indywiduom odpowiedzialnym za wytwarzanie atmosfery społecznej inkwizycji wobec wszystkiego, co inne. /*SBTN*/



LAO CHE
POWSTANIE WARSZAWSKIE
ARS MUNDI

Koncept-album o powstaniu warszawskim? Dlaczego nie? Zespół Lao Che już swoją debiutancką płytą „Gusła" udowodnił, że świetnie czuje się w klimatach eksperymentalnych, łącząc elementy średniowiecznej muzyki słowiańskiej z metalem i psychodelią. „Powstanie warszawskie" jest siłą rzeczy utrzymane w innym klimacie, choć i tu zaskakujących, wręcz bezczelnych (ale w dobrym tego słowa znaczeniu) połączeń nie brakuje. Ciężkie brzmienia gitar mieszają się z tradycyjnymi melodiami kojarzonymi z wojenną stolicą (niekoniecznie pochodzącymi z tego okresu, mamy tu bowiem fragmenty muzyki z komedii „Giuseppe w Warszawie"), psychodeliczne brzmienia podane na przemian z rozwiązaniami charakterystycznymi raczej dla zespołów ze sceny metalowej. Także w tekstach miksują się cytaty z utworów Baczyńskiego i przemówień prezydenta Starzyńskiego z klasykami polskiego punk rocka. Trzeba naprawdę sporej wyobraźni, żeby z tak pozornie niedopasowanych elementów stworzyć fascynującą całość. Lao Che się ta trudna sztuka udała. To z pewnością jedna z najważniejszych płyt alternatywnej sceny w tym roku. A przy okazji solidna lekcja patriotyzmu, dalekiego od ksenofobicznych i nacjonalistycznych zapędów. (jd)



ASTEK
AKUSTYKA UST ASTEKA
UTX.PRV.PL

Mógłbym widzieć w dość wysokim głosie łodzianina z Ustinstrumentalix przekorę, w zaczepnym flow prowokację, podśmiewać się z tego, jak mówi, że lubi przeklinać na złość mamie albo nawija o swoim swetrze. Mógłbym próbować robić z niego ugrzecznionego syncia. Ale to bezcelowe z paru powodów. Na wstępie powiem, że robi dobre beaty. Esencjonalne, ale nie nowojorskie, nie oldschoolowe, tylko Astekowe. Nie znajdziecie tu tych co u wszystkich próbek perkusji, poczujecie za to, że ten koleś lubi dopieścić i wygładzić brzmienie. Zaraz potem dodam, że ma flow, któremu z tymi beatami po drodze, dopasowane, żywe i świeże. Wreszcie wywnioskuję, że teksty prezentują pełną gamę nastrojów, są niewymuszone, poskładane zgodnie z wymogami nowego rap pokolenia i dobrze oddają twórcę. Przypomnę sobie, że zaprosił Lilu, do której mam ostatnio słabość. Co mi z tego wyjdzie? Dobra, nielegalna epka. (flint)

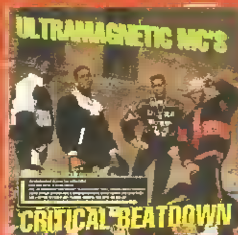
■ *SPROSTOWANIE*

W poprzednim numerze zamieściliśmy recenzję nowego albumu Beanie Sigela, ale zapomnieliśmy ją podpisać. Autorem tekstu jest Dill-O. Przepraszamy!

■ *ZA MIESIĄC M.IN. RECENZJE:*

Jay-Z „Fade To Black" DVD, Gorillaz „Demon Days", Nine Inch Nail „With Teeth", a także nowe płyty Włodiego, Krs-One'a, Jamala, The Game'a i wiele innych...

RED ALBUM Chapter 2



ULTRAMAGNETIC MC'S
CRITICAL BEATDOWN
NEXT PLATEAU 1988

Był rok 1988. Rakim, Big Daddy Kane i Kool G Rap trzymali stronę uliczną – mocne teksty, mocne bity, a tu nagle... pojawił się zespół czterech osób z Bronxu: Kool Keith, Ced Gee, Moe Luv i T. R. Love, a ich pierwsza płyta, „Critical Beatdown", została klasykiem.

Company Flow, Scaramanga, Digital Underground czy nawet Outkast – myślę, że każda z tych osób lub zespołów mocno się inspirowała Kool Keithem. Koleś, który przez lata mówi nam w swoich kawałkach, że jest aligatorem, że pije benzynę, że woli mieć saaba od lexusa, czy że pochodzi z innej planety... To, to moi drodzy fani Keitha, już na jego pierwszej płycie, chłopak mocno odleciał i radzę Wam to sprawdzić.

Producentem płyty jest Ced Gee, który uczył się robić bity u pana, który nazywał się Paul C. Był to biały beatmaker, który został zamordowany pod koniec lat 80. i który uczył też m.in. Large Professora jak zrobić bit i jak posługiwać się legendarnym już samplerem SP 12. A właśnie - jak sprawdzicie produkcje Large Professora, np. na płytach Nasa, to zobaczycie, że jest tam napisane „Produced by Large Professor for PAUL SEA Prod"... Uff, chciałem to powiedzieć i powiedziałem!!!

Bity jak na tamte czasy były nowatorskie, dużo scratchów (DJ Moe Luv, baby!!), dużo krótkich sampli, grube, głuche bassy, taki, no... prawdziwy rap, hahaha...

Wracając do Ceda Gee. Koleś nie miał głosu jak Chuck D, nie miał flow jak Rakim i nie miał punchów jak Big Daddy Kane, ale mocnych i inteligentnych tekstów mu na tej płycie nie brakuje. A Kool Keith to Kool Keith, nie chcę już o nim pisać, myślę, że jest Wam znany.

Dlaczego ta płyta jest klasykiem? Po prostu była „inna" na tamte czasy. Był to świeży powiew w rapie, a także narodziny jednego z najlepszych – Kool Keitha.

(Wiem, że napisałem tę „recenzję" trochę dziwnie, ale właśnie obejrzałem swój nowy klip, „Wczoraj", i się tak cieszę, że hej!)

RED

Next Chapter: Special Ed – Youngest In Charge, biaaaaaatch!!



jamiroquai

dżemirokez

W pierwszej chwili można odnieść wrażenie, że albo faceta trafił paraliż, albo właśnie stanął na nogach cudownie uzdrowiony przez nawiedzonego amerykańskiego pastora i nie za bardzo wie, co właściwie powienien z tym zrobić. Dopiero później, ale w miarę szybko, orientujemy się, że on tańczy. W tle funk. To nie jest tak, że Jay Kay reaktywował ten gatunek, ale faktem jest, że sukces Jamiroquaia w dużym stopniu pozwolił na nowo odkryć to wszystko, co w pulsacyjnych dźwiękach znajdujących swe korzenie w latach 60. i 70. najlepsze

tekst Kowal

Fajnie jest mieć mamę, która jest wokalistką jazzową. Tak przynajmniej mogłoby się wydawać. A wokalistka jazzowa, która ma własny program w telewizji? Wypas, jeżeli ktoś chce być „celebrity-potomstwem". Jason Kay, który urodził się w 1969 roku w okolicach Manchesteru, chyba jednak nie najlepiej znosił bycie synem słynnej mamy. Do tego stopnia, że w wieku 15 lat wyprowadził się z domu. Nie uciekł, tylko powiedział, że sobie idzie. I poszedł.

Daleko nie zaszedł. W domku wszystko było, a nawet w bogatej Anglii nie jest łatwo, gdy nie ma się ani pensa w kieszeni, a do tego perspektyw, by kieszenie napełnić. Narkotyki, mieszkanie w squatach, drobne przestępstwa, po kilka dni spędzanych w aresztach. No, nic nie wskazywało na to, że Jason będzie w przyszłości wyznaczał muzyczne trendy i rozbijał się po Wyspach Brytyjskich drogimi samochodami. Zmianę w jego życiu spowodowało tragiczne wydarzenie – podczas ulicznej bójki został dotkliwie pobity i pocięty nożem. Otarł się o śmierć, dłuższy czas spędził w szpitalu. Postanowił wrócić do domu.

Coś trzeba w życiu robić. W tym przypadku zadziałał przykład matki – JK postanowił zostać muzykiem, konkretnie wokalistą. Zanim jeszcze nagrał swoją pierwszą demotaśmę, a nawet zanim założył zespół, już miał dla niego nazwę. Iroquois to po angielsku nic innego, jak słynne indiańskie plemię Irokezów. Jason zawsze miał lot na indiańskie klimaty, a do plemiennej nazwy dodał tylko słowo „jam". Jamujący Irokez? Dlaczego nie? Jamiroquai. Na pewno chwytliwe i dobrze brzmiące.

JK komponował kolejne kawałki i nagrywał je z różnymi zespołami. Demówki wędrowały po kraju, a jedna z nich trafiła do legendarnej dziś, a niezwykle modnej na początku lat 90. wytwórni Acid Jazz. Wtedy w Anglii wszystko było acid – rave, rock, jazz. Rave'owa rewolucja (nie mylić z omyłami z Maydaya) konkretnie poskręcała Anglików, ale nie wszyscy z nich mieli lot na muzyczną psychodelię z klawiszami i rozregulowanymi gitarami. Do łask wracał funk, nie brakowało chętnych do zabawy przy tanecznym jazzie. Na tych klimatach bazowała właśnie wytwórnia Acid Jazz. Galliano, Night Trains, Mother Earth, Snowboy czy słynni The Brand New Heavies odkopywali brzmienie, które w plastikowych latach 80. zeszło do ograniczonego podziemia. A tych zespołów nie ograniczało nic. Mother Earth potrafili niesamowicie łączyć funk z rockową progresywną psychodelią lat 70., Galliano było niesamowitą funkową orkiestrą z rapem i rozbudowanymi elementami soulu, Night Trains podkręcali do tańca, Snowboy eksplorował rejony brzmień latynoskich, Brand New Heavies robili wielkie hity. W początkach działania tej ostatniej kapeli przewinął się zresztą JK, który miał być wokalistą zespołu. Brand New ostatecznie związali się z N'Dea Davenport, a Jason założył w końcu własny zespół.

No właśnie, Jamiroquai to przecież zespół, choć i tak wszyscy pokazują i mówią tylko o Jasonie. Zespół zawsze jest w tle. Ciężko się temu dziwić. Charyzmatyczny frontman komponuje i produkuje zdecydowaną większość utworów, on śpiewa, on tańczy... O Jamiroquaiu jako o zespole najgłośniej mówiło się, gdy w 1997 roku odchodził z niego Stuart Zender. Zender mocno zaangażował się w związek z jedną z dziewczyn z zespołu All Saints, a Jason uważał, że za mało czasu poświęca ma nagrywanie nowej płyty. Zespół zmienił więc basistę, a JK kazał wszystkie partie z udziałem Zendera nagrywać na nowo, bojąc się ewentualnych roszczeń eks-kolegi.

Wróćmy jednak do początków. Wspomniana już wytwórnia Acid Jazz w 1992 roku zdecydowała się na wydanie singla „When You Gonna Learn?" Modny temat ekologiczny plus kapitalna funkowa bombka. Sprawy potoczyły się szybko – Jay dostał propozycję podpisania niezwykle lukratywnej umowy z należącą do Sony Music wytwórnią S2. Rzadko zdarza się, by debiutantowi zaproponowano wydanie aż ośmiu (!) płyt w jednej wytwórni. Sony miała nosa, bo już pierwszy album, „Emergency On Planet Earth", był niesamowitym hitem. Jamiroquai podbił Anglię, a po chwili Europę. „Too Young To Die" i „Blow Your Mind" były niekwestionowanymi hitami roku 1993. Dwa lata później poprzeczka poszła jeszcze wyżej – „The Return Of The Space Cowboy" był jeszcze większym hitem, dodatkowo rozszerzając „wpływy" Jamiroquaia o rynek japoński. Zakochani w nowoczesnym jazzie i funku Japończycy po prostu zakochali się w Jayu i jego opętańczym tańcu.

W 1996 roku Jamiroquai przeprowadził operację o kryptonimie „Ameryka". Pozycja zespołu w Europie i Azji była mocna, ale Sony postanowiła nowoczesnym funkiem podbić również rynek za Oceanem. Udało się, choć tylko jeden raz – Traveling Without Moving był w Stanach wielkim hitem, osiągnął platynowy status, a zespół zagrał dużą trasę koncertową. Potem jednak ze składu ubył Zender, przedłużało się nagrywanie nowej płyty i choć przerwa wypełniona została megahitem „Deeper Underground" z soundtracku do filmu Godzilla, wydany w 1999 roku album Synkronized nie odniósł sukcesu w Stanach.

Ale w Europie wszystko było po staremu. Kolejne hity, kolejne teledyski i... skandale. Bo choć od tej strony Jason nie lubi być postrzegany, zdarza mu się, hmmm, wariować. Zabawa, kobiety, używki i szybkie samochody. Angielskie bulwarówki rozpisywały się o problemach Jaya z narkotykami i alkoholem, management dementował, ale artysta faktycznie nie wyglądał na przełomie stuleci najlepiej. A samochody? Kay uwielbia szybką jazdę, a samochody... kolekcjonuje. W jednym z wywiadów z rozbrajającą szczerością opowiadał, jak kiedyś, by poprawić sobie humor, wyszedł na zakupy po Londynie. Do domu wrócił z nowym Ferrari i Rolls-Roycem Phantomem. Ponad pół miliona funtów, by poczuć się lepiej? Cóż, dodajmy do tego, że w garażu kupionego przez niego w północnej Anglii pałacyku stoi kilka Lamborghini, kolejne Ferrari i parę innych, szybkich wózków.

W 2001 roku Jamiroquai wypuścił na rynek płytę „A Funk Odyssey". Album jak zwykle przyjęto dobrze, a zespół ruszył na wielkie tournee po świecie, odwiedzając również Polskę. I... cisza. Cztery lata przerwy między albumami to dużo. Jay mówił w wywiadach, że w końcu miał okazję nacieszyć się życiem, odpocząć, powydawać kolejne wielkie sumy na szybkie samochody. Podobno cały czas tworzył, choć nowa płyta „Dynamite" powstała w ciągu ostatnich dwóch lat. Zespół jeździł po całym świecie, szukał odpowiednich miejsc, by nagrywać nowe utwory, a Jay cały czas dopieszczał kolejne wersje kawałków. Trudno się dziwić – od potentatów oczekuje się wiele, a gdy pięć kolejnych albumów stało się hitami, szósty musi utrzymać poziom. „Cały czas muszę coś ludziom udowadniać" – mówi Jay. „Ale wciąż podoba mi się to, co robię. Kocham to, po prostu."

Przez te wszystkie lata zmienił się. Gdzieś za sobą zostawił ekologiczny bunt przeciw zindustrializowanemu światu, stylistykę indiańską zmienił na ciuchy modnych kreatorów. Facet dojrzewał, a wraz z nim dojrzewała jego muzyka i – przede wszystkim – słowa. Dalej potrafi zaskoczyć mocnym brzmieniem, nie ucieka od eksperymentów, ale wszystko to przetyka delikatnymi wstawkami, balladami, w których nie boi się śpiewać mocno osobistych tekstów. Czy „Dynamite" będzie prawdziwym dynamitem, a 35-letni Jay Kay dołoży do swojej kolekcji trofeów kolejne? Nikt w to chyba nie wątpi.



2cztery7

alfabet

Choć z oczywistych względów skład ten kojarzyć można w dużym stopniu z cyframi, to tym razem ani słowa o kombinacjach liczbowych. Obecnie koncentrujemy się bowiem na alfabecie. Przed Wami charakterystyka najważniejszych terminów określających zespół 2cztery7. Każda litera to jedno hasło, jeden element z życia Mesa, Pjusa i Stasiaka, o którym opowiadają sami zainteresowani. Panie i panowie, oto alfabet 2cztery7. Miłej lektury:)

tekst Grabiszczy
foto marszull.com

Alkohol:

Stasiak: Piłem wczoraj.
Pjus: Alkohol przez jakiś czas nie mógł nam towarzyszyć, jednak staramy się używać według potrzeb.
Mes: Jest to używka zespołu numer jeden.

Bezczelność:

Mes: Bezczelność na etapie początkowym twórczości każdego rapera powinna się pojawiać, czy jest to pastor Talib Kweli, czy O. G. Kurupt. Samymi życiowymi mądrościami mnie jako słuchacza ciężko byłoby zainteresować. Kawałek, który prezentuje rapera na początku, to powinna być bomba bezczelno-miażdżąca.
Pjus: Możesz zrobić kawałek bragadoccio, który będzie nudny, nie do zniesienia, a możesz strzelić trzy bezczelne punchline'y w kawałku, które będą zajebiste. Bezczelności w życiu też nie powinno zabraknąć.

Czeki:

Mes: 2cztery7 nie zostało wydane dla pieniędzy. Płytę zrobiliśmy w odpowiednim momencie i mniejsza o pieniądze i o to, czy teraz jest to najbardziej rozchwytywany gatunek hip-hopu, bo od dwóch czy trzech lat dobry hip-hop w ogóle nie jest rozchwytywany. Nie jest to płyta dla pieniędzy, więc czeki nie są w naszej hierarchii na czołowym miejscu.

Dissy:

Mes: Ja nigdy nie chciałem być battle mc, bo freestyle'owe bitwy, które odbyłem na początku swojego stażu w „zawodzie" wystarczyły mi zupełnie i nie było to rozwojowe. Potem zobaczyłem, że trzeba bronić się też w studiu i nagle okazało się, że jednak jestem tym battle mc. Nawet nie sądziłem, że wchodzenie do studia i robienie kawałka „napierdalacza" na inną osobę da mi tyle radości. Może to wydobyć z ra-

pera dużo dobrych cech, jeśli tylko jest krytyczny wobec siebie, jeśli przyłoży się do dissu, nie napisze go na kolanie.
Pjus: Dissy bardzo często idą w parze z tą wspomnianą wyżej bezczelnością. Czasami niektóre rzeczy trzeba po prostu powiedzieć. Jeżeli jest coś do powiedzenia twardo i pod kątem jakiejś konkretnej osoby, to nie można się powstrzymywać.

Embargo:

Mes: Embargo to świeża wytwórnia ze świeżymi pomysłami i liczyliśmy, że takie też będzie miała podejście do promowania hip-hopu. Zobaczymy, jak będzie z naszą promocją. Płyta Praktika powinna lecieć przynajmniej w warszawskich radiach typu PIN i Jazz – już nie mówię, że w całej Polsce – bo to jest jedna z najlepszych polskich płyt hip-hopowych, jakie wyszły, ale tak się nie dzieje. Nie jestem bezkrytycznym fanem swojej wytwórni, ale na razie złego słowa nie powiem – w końcu jesteśmy tam w najlepszym towarzystwie.
Pjus: Niemniej jednak jest to wytwórnia, która ma duże możliwości i po miesiącu od wydania płyty nie powiemy, że tych możliwości nie wykorzystała.
Stasiak: Poza tym mieszczą się w bardzo ładnym budynku, w którym można s[illegible] Omenę albo na przykład Magdę Molek, z którą ostatnio jechałem w windzie – pięknie pachniała. Zawsze, jak przychodzimy, to jest poczęstunek, można sobie sobie wziąć Colę i jakieś ciasteczka, fajnie, jestem zadowolony. Koszulki też nam dali ostatnio.

Funk:

Stasiak: To nie tylko samo brzmienie, ale wszystko, co jest związane z tą muzyką, czyli sposób bycia, to o czym mówisz, to w jaki sposób żyjesz. To znaczy zajawki muzyczne, to jest jedna strona tego. A druga strona jest taka, że pijemy, melanżujemy, jaramy się dupeczkami i o tym mówimy. Generalnie funk jest dokładnym przełożeniem zespołu 2cztery7, stąd też płyta „Funk-Dla Smaku".
Mes: Funk w naszym przypadku to konkretnie g-funk. W tytule mamy „funk", bo ludzie nie skumaliby tego, nie wiedzieliby, jak to czytać, „gieFank"? Nie chcielibyśmy utrudniać odbioru ludziom nie kojarzącym jeszcze w ogóle funkowej muzyki, których my akurat moglibyśmy w nią wprowadzić. Zresztą chodzi po prostu o brzmienie. Bardziej precyzyjnie określa nas g-funk, muzycznie jesteśmy g-funkowi.

Groupies:

Stasiak: Ja nie korzystam.
Mes: O tak, korzystałem z ich usług, choć ostatnio mam przerwę. Lloyd Banks, którego co prawda nienawidzę, miał jeden dobry punch w życiu, coś w stylu: „Of course I fuck groupies, your favourite rapper does too". Tak naprawdę instytucja groupies jest ciągle taka sama i wygląda podobnie, jak w czasach, kiedy rockmani mieli pierwsze dupy. Tylko za nami po prostu tyle nie jeżdżą, bo są biedne i jesteśmy w Polsce.
Pjus: Trzeba tu powiedzieć, że instytucja groupies funkcjonuje nie tylko w odniesieniu do koncertów, bo jest dużo pań, które interesują się tobą nie tylko po koncertach, ale na przykład mieszkają w tym samym mieście i na koncerty chodzić nie muszą, a wkładają się tak samo chętnie.

> Funk w naszym przypadku to konkretnie g-funk. W tytule mamy „funk", bo ludzie nie skumaliby tego, nie wiedzieliby, jak to czytać, „gieFank"? Nie chcielibyśmy utrudniać odbioru ludziom nie kojarzącym jeszcze w ogóle funkowej muzyki, których my akurat moglibyśmy w nią wprowadzić. Zresztą chodzi po prostu o brzmienie. Bardziej precyzyjnie określa nas g-funk, muzycznie jesteśmy g-funkowi

Hiphopolo:

Stasiak: Hiphopolo to słowo, którego wszyscy się teraz boją i coraz rzadziej używają, ale tak naprawdę należy nazywać wszystko po imieniu.
Mes: Dziennikarze podeszli do terminu hiphopolo w ten sposób – dopóki było to fajną zajawką, śmiesznym złożeniem słów hip-hop i disco-polo, to wielu zajarało się tym i napisało kilka dobrych artykułów np. w „Przekroju" czy w „Newsweeku". Zacząłem o tym rapować wtedy, kiedy jeszcze niewielu ludzi głosiło takie antyhiphopolowe poglądy, a potem okazało się, że wszystko rozwija się tak, jak mniej więcej przewidzieliśmy – że naprawdę mnóstwo zespołów zmierza ku takiemu ścierwu.
Stasiak: Gównu (śmiech).
Mes: Ku gównu. Niestety wielu dziennikarzy przestraszyło się terminu hiphopolo, chociaż on wcale nie stracił na aktualności, ten wrzód na dupie rapu ciągle rośnie.

Imprezy:

Stasiak: Właśnie dziś wróciłem z jednej:) Imprezy są nieodłączną częścią 2cztery7, nieodłączną częścią alkoholu, nieodłączną częścią funku. Uczęszczamy jak najbardziej na najlepsze z nich.
Pjus: Nie mamy takiejś tam opcji clubbingowej, że idziemy w jedną noc do pięciu klubów warszawskich, bo nie chcemy się bawić w zbyt gejowym towarzystwie, więc nie uderzamy w jakieś trendy miejsca. Bawimy się tam, gdzie są znajomi, gdzie fajnie się razem napić i bawić się do późnych godzin, kiedy wszyscy zaczynają chodzić na czworakach. Ja na przykład wolę chodzić na imprezy, kiedy chcę imprezować, a nie dlatego, że jest sama impreza.

Junoumi:

Mes: Pierwsza polska winylowa składanka tak naprawdę.
Stasiak: Tam ukazał się nasz pierwszy kawałek „Cały czas", a potem byliśmy na każdej z tych składanek. To zajebista opcja, bo nie każdy może się poszczycić tym, że jego debiutancki kawałek jest na winylu i można go sobie do woli cutować. Niektórzy nagrywają w chuj czasu, a jeszcze w życiu nie mieli winyli.
Pjus: W Polsce winyle nie funkcjonują, dlatego tym bardziej należy uhonorować osoby, które o tym pomyślały za krzewienie pewnej wiary winylowej, za pokazanie ludziom, że winyli też można czy powinno się czasem posłuchać.
Mes: Tak jak w przypadku Flexxipu, 2cztery7 ma taki fajny początek dyskografii, że ukazaliśmy się właśnie na winylu. Nie jest tak, że jesteśmy zespołem, który powstał i pół roku później szuka wytwórni. Minęło wiele lat, żeby w ogóle o tym zacząć myśleć i jest to droga, którą propagujemy.

Koncerty:

Stasiak: Koncerty, hmm…, czekamy!
Mes: Dzwońcie!!!
Stasiak: Koncerty w Polsce, to była bardzo fajna zajawka. Kiedyś było ich mnóstwo i były wszędzie. Jeździłem na koncerty z Pezetem, Onarem, Grammatikami czy Flexxipem, chociażby turystycznie, czasem im hypowałem, to była fajna rzecz. Teraz, jako że hip-hop wszedł „na salony", różne firmy zaczęły sponsorować koncerty, jakieś festyny i przez to rynek koncertów hip-hopowych w Polsce się zepsuł, bo teraz w swoim mieście masz co tydzień albo i częściej jakiś zespół i nie musisz za to płacić, bo jest to jakiś festyn lub inny spęd. Druga opcja jest taka, że kilka zespołów, które trudno nazwać hip-hopowymi, zaczęło jeździć pod szyldem „hip-hopu" i grać „hip-hopowe" koncerty za pieniądze, które nie powinny mieć miejsca, bo można sobie za nie kupić trzy zestawy w McDonaldzie i ewentualnie wrócić taksówką z dworca. Teraz, kiedy organizator dzwoni do poważnego zespołu, proponuje tę śmieszną stawkę i słyszy odmowę, więc znowu dzwoni do tego nazwijmy go „chujowego" zespołu i ma koncert „hip-hopowy" za drobne.

Listy przebojów:

Mes: Na płycie są kawałki, przy których my sami się bawimy, g-funkowe numery. A czy ludzie to skumają, to szczerze mówiąc, nie jest naszym najważniejszym priorytetem. Ci, którzy na półkach mają DPG i DJ'a Quika, teraz mają trochę polskiego basu, który przetestuje ich audio.
Pjus: Nasze założenia nie przekładają się na listy przebojów, tylko na nagrywanie dobrych kawałków, a czy będą one na listach prze[illegible], to już nie zależy do końca od nas.

Łajzy na ławkach

(hasło powstałe z połączenia „łajzy" z „ławką" po dyskusji w obrębie zespołu):
Mes: Hmm.. Ujmę to tak – wywodzę się ze środowisk niezamożnych i chodziłem do szkół z ludźmi, którzy większość czasu spędzali na ławkach. Przechlaliśmy razem sporo czasu w plenerze, bo nie było nas stać na pójście do klubu. Teraz pewna część z nich to właśnie „łajzy na ławkach" – tacy, którzy nigdy z tej ławki nie wstali, jarają tylko jointy za pieniądze, które udaje im się podebrać z torebki babci. To ludzie, którzy mnie zawiedli na wielu polach..
Pjus: Na ławkach siedzimy, ale nie przesiadujemy. Nie zostaliśmy łajzami, nie zasiedzieliśmy się.
Mes: Mając 22 czy 23 lata nie można być już darmozjadem.
Stasiak: Oczywiście można sobie na tej ławce przysiąść od czasu do czasu, ale trzeba też robić coś kreatywnego, coś co pozwoli się człowiekowi rozwijać.
Mes: I do tego namawiamy!

Muzyka:

Stasiak: Z muzyki korzystam, kiedy wstaję rano, kiedy śpię, bo nie mogę zasnąć, kiedy coś tam mi nie „brzęczy" w radiu.
Pjus: To ty nie traktujesz muzyki poważnie!
Stasiak: A jak mam ją traktować poważnie w nocy? Wtedy śpię i puszczam bąki. Nie wyobrażam sobie jazdy samochodem bez muzyki, a tak naprawdę, to nie wyobrażam sobie bez niej życia.
Mes: Jedyna rzecz, którą naprawdę dobrze umiem robić, to muzyka i pisanie tekstów. Jest to najważniejsze pojęcie w moim życiu, które jest tak szerokie, że musiałby być na to oddzielny wywiad z wielką literą „M", a tak mamy zaraz „N" i muszę się streszczać.
Pjus: Hip-hop to przede wszystkim muzyka, bo ja już nie mogę ścierpieć, że ktoś napisze 16 czy 8 wersów albo napisze książkę „Paw królowej" i wszyscy mówią, że to hip-hop. Hip-hop to nie tylko słowa, parę wersów wydukanych przez kogoś. Wiadomo, że muzyka może istnieć bez tekstów, ale sam tekst nigdy nie będzie muzyką.

Nagrywki:

Stasiak: My z Karolem (Pjusem – przyp. red.) mamy teraz pauzę. Piotrek cały czas nagrywa ponieważ pracuje nad płytą solową, ale jakoś muszę wkroczyć do S33 i trzasnąć jakąś szesnastkę, bo brakuje mi tego.
Pjus: Strasznie polubiłem naszą pracę w studiu, bo w momencie, kiedy musiałem pewne rzeczy odstawić i poświęcić się tylko płycie, to stanowiła ona kręgosłup mojego życia. A cała towarzysząca temu atmosfera to piękna rzecz.
Stasiak: Noon ma katalog w studiu, w którym znajdują się takie rzeczy, że kiedy on to wyda, to platynowa płyta po prostu. Ludzie dowiedzą się kilku ciekawych rzeczy. Pomyłki czy na przykład nasze pierdzenie.
Mes: Szczególnie warte wydania. Myślę, że w UMC by to przeszło.
Pjus: „Tylko ja i moje bąki" :)

Opary:

Mes: U mnie to tylko opary goudy, nie marihuany.

Pjus: U nas jedno i drugie. Każdy ma ulubione używki.

Stasiak: Co tu dużo mówić – to jest spoko opcja, tylko wszystko z umiarem. Wszystko jest dla ludzi, tylko trzeba mieć zdrowe podejście.

Mes: Nie kultywuję zajawki na jaranie jointów i nie do końca ją rozumiem. Dlatego kiedy patrzę na zioma uzależnionego od zielska i nie mogę się z nim dogadać, to staram się pamiętać, że w jego życiu jointy zajmują takie miejsce jak alkohol w moim. Jointy na każdego działają inaczej, a na mnie działają tak, że w ogóle ich nie jaram.

Pjus: A ja pozdrawiam palaczy chałwy!

Panie:

Stasiak: Panie to nieodłączna część naszego życia, tak jak muzyka, alkohol itd. Ja aktualnie mam swoją panią od trzech i pół roku, bardzo ją kocham i z mojej strony to wszystko.

Mes: Panie są najważniejsze i są największą moją inspiracją, ważniejszą niż wszystkie inne zjawiska na tym świecie. I jeszcze jedno. Słyszałem opinię, że nasz album jest bardzo szowinistyczny, z czym się zgodzę. Obrażone są jednak dziewczyny, które źle odbierają nasze wersy i w ogóle źle odbierają wiele rzeczy w życiu, a moje znajome, które są w porządku ze swoją kobiecością i mają klasę, śmieją się z tego razem z nami. Śmieją się z tych biednych, nieszanujących się dziewcząt. Bo tylko panna, która się nie szanuje, może poczuć się urażona naszymi tekstami.

Pjus: Mój stosunek określam tak – nie potrafię żyć z jedną kobietą, ale nie potrafię żyć bez kobiet.

Ruda:

Stasiak: Jeśli chodzi o rudą, to staram się jak najczęściej z nią rozmawiać, jak najczęściej z nią przebywać i lać ją w ryj. Razem z naszymi ludźmi przelewamy takie hektolitry tego trunku, że jeżeli ktoś z Polmosu Lublin to czyta, to ze zniecierpliwieniem czekamy na jakąś umowę sponsoringową.

Mes: Ruda jest też ulubionym trunkiem Jana Nowickiego, o czym dowiedzieliśmy się w czasie nagrywania i za to dla niego coś innego na „R", czyli respekt (trudne słowo).

Skoda

(po druzgocącym zwycięstwie nad szkołą, seksem i studiem i nieco mniej przekonującym nad proponowanym przez Stasiaka sraniem):

Stasiak: Skoda to jest mój samochód, który dostałem od dziadka i który, jak się okazało, bardzo ułatwił nam nagrywanie płyty. W tym czasie miałem okres, kiedy pracowałem i Skoda ułatwiła mi transport do studia po ciężkiej pracy. To kozacki samochód i oczywiście – tak jak wyżej – informacja do zainteresowanych, że chętnie wejdziemy w jakiś sponsoring. (śmiech)

Pjus: Skoda jest oldschoolową furą. Tak zwany Beżot, bo jest koloru beżowego...

Stasiak: ... pisane „Beugeot", oczywiście.

Pjus: Pelson, kiedy po wysłuchaniu płyty zobaczył naszą Skodę, powiedział: „To jest ta wasza Kalifornia? I za to was chłopaki właśnie lubię".

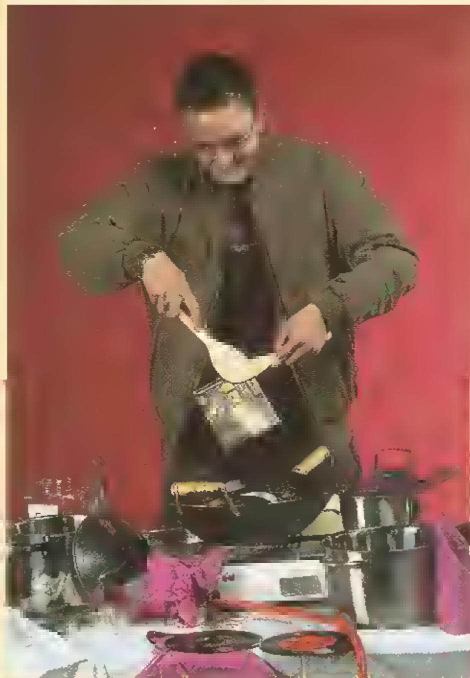
Mes: Ludzie, którzy robili „polski bauns" mówili, że mieli Cadillaki czy Mercedesy, albo że chcą je mieć, a my mówimy, że mamy Skodę i bardzo ją lubimy. Nie ma fikcji.

Telewizja:

Stasiak: Miałem przyjemność pracować swego czasu w 4fun TV. Razem z moim przyjacielem Wojtkiem mieliśmy kozacki program. Zawsze jak tylko jestem w domu, to kanały TVN24 oraz MTV Base muszą być włączone.

Pjus: Ja telewizji oglądam dużo, kiedy jestem głodny. Jadam dość późno, kiedy wracam do domu, a w kuchni mam telewizor, więc razem z szamą pochłaniam programy telewizyjne.

Mes: Nie mam kablówki z wyboru, więc nie przejmuję się tym. Tajemnica rotacji klipów natomiast wciąż pozostaje dla mnie niezgłębiona. Jeśli ją zgłębię, to ogłoszę grubość koperty potrzebnej na rotację A. Tak żeby wszystkie zespoły miały równe szanse.)







USA:

Mes: Stamtąd czerpiemy inspirację. Myślę, że zespołom, które tam były, otworzyły się oczy na różne ciekawe zajawki. Czytam i słucham opowieści Gibon Składu czy Vienia i Pelego z zaciekawieniem, bo kiedy ja byłem w Stanach, to byłem strasznym szczylem i nic rapowego z tego nie wyniosłem. Myślę, że dobrze jest się przekonać, jak oni to robią, nie negować wszystkiego, do czego tam dochodzono latami. Czy chodzi o poszukiwanie stricte polskiego brzmienia bitowego, czy też o robienie jakiegoś polskiego flow, bo jedyne rdzenne polskie flow, jakie przychodzi mi do głowy to flow z pierwszej płyty Kalibra, której słuchać nie mogę.

Pjus: Dodam, że nigdy nie popadłem w modny ton krytykowania Stanów Zjednoczonych. Nie mówię źle o Bushu, choć czasami się z niego śmieję, a szanować USA mogę choćby dlatego, że stamtąd wywodzi się ta muzyka i to najlepszej jakości.

Warszawa:

Pjus: Ja się akurat urodziłem we Wrocławiu, ale to też jest na „W", a w Warszawie mieszkam już ponad połowę swojego życia. Wrosłem w Warszawę i ona ukształtowała mnie w dużej mierze takim, jakim jestem. Wyjeżdżając, potrafię za tym miastem tęsknić.

Mes: Też wrosłem w to miasto, bo w nim... wyrosłem, więc i wrosnąć też musiałem. Ale mam wobec niego sprzeczne uczucia. Raczej do głowy przychodzą mi w pierwszej kolejności wady, ale... tak jest, kiedy ma się wobec czegoś lub kogoś silne emocje. WWA, miasto rapu, miasto przestępstw.

Stasiak: Warszawa to miasto, w którym urodziłem się i mieszkam. Kocham to miasto choć zdaję sobie sprawę, że na tle stolic europejskich jest ona mało wybitna. Ktoś musi się za to miasto wziąć i pozostaje tylko czekać na odpowiednią osobę... Tylko jak długo?

Pjus: Ja oddzielam te sprawy. Chodzi o klimat, który wynika z historii, z architektury i tym się jaram, nawet takim MDM-em czy Pałacem Kultury. Mam ulubione miejsca i strasznie lubię odkrywać „egzotyczne" zakamarki.

Zdrowie:

Pjus: U mnie ze zdrowiem nie jest najlepiej, może nigdy nie będzie. W ogóle zauważam, że nasza generacja to ludzie doświadczeni zdrowotnie. Z kim bym nie gadał, to każdy ma coś z kręgosłupem, sercem, nerkami, więc się specjalnie nie wyróżniam. Chyba jesteśmy dziećmi Czarnobyla, jakoś zmutowani zostaliśmy, kiedy mieliśmy po parę lat.

Mes: Ale co cię nie zabije, to cię wzmocni i jak widać jesteśmy z Karolem w rewelacyjnej formie. Niektórzy mieli przypuszczenia, kiedy trafiłem do szpitala, a tydzień czy dwa po mnie trafił tam Pjus, że albo Stasiak ma kupę szczęścia i nic mu się nie stanie, albo zaraz go jakaś cegła pierdolnie w łeb.

Stasiak: Mama Karola radziła mi, żebym złamał sobie nogę i wyczerpał limit pecha przypadającego na ten zespół:)

Podziękowania za pomoc w realizacji sesji: Arturek www.pizzazradosci.pl oraz www.akademiafotografii.pl

2 cztery 7

common

czas wyjść z cienia



Choć obecny jest na hip-hopowej scenie od niemal 15 lat, choć ceniony w wielu muzycznych środowiskach za ciekawe próby łączenia gatunków i swą otwartą głowę, Commona mało kto wymieni jako swą główną inspirację czy artystę, którego lubi najbardziej. Choć uczestniczył w jednym z najważniejszych beefów lat 90., nagrywał z takimi tuzami jak De La Soul, The Roots, The Beatnuts, Pete Rock i Pharoahe Monch, można spokojnie wysnuć tezę, iż pochodzący z południowej części Chicago raper mniej lub bardziej świadomie trzymał się z boku sceny. Nowym albumem podejmuje próbę wyjścia z cienia i podbicia nie tylko serc słuchaczy, ale również list przebojów. Jestem dziwnie spokojny, że mu się uda...

tekst Andrzej Cała

Lonnie Rashied Lynn na początku działał na scenie pod ksywą Common Sense. W rodzimym Chicago nie miał specjalnej konkurencji, bo choć to wielkie miasto, jakoś nie dorobiło się nazbyt wielu przedstawicieli na rapowej scenie. Emce od początku swej przygody z rapem związał się z producentem No I.D. oraz – o czym pewnie niewielu z Was wie – grupą The Beatnuts. To ci ludzie dostarczali mu produkcji, na których Lonnie swym miękkim, delikatnym, bardzo przyjemnym flow rymował o tym, co... niemal wszyscy inni twórcy związani z kręgiem Native Tongues. Jak bardzo bym go nie lubił, to trzeba szczerze przyznać, że przez pierwsze lata kariery nie wyróżniał się niczym specjalnie odkrywczym. Miał jednak w sobie to coś, dzięki czemu w 1992 r. „The Source" umieścił go w rubryce „Unsigned Hype" przedstawiającej ciekawych twórców bez podpisanego kontraktu. Okazało się to przepustką do zawarcia umowy z Relativity i wydania debiutanckiego krążka „Can I Borrow A Dollar?" To z pewnością niezły album, okraszony pamiętnymi singlami „Take It EZ", „Breaker 1/9" i „Soul by the Pound", ale uznać go za przełomowy nie sposób.

Wydane w 1994 r. „Resurrection" było już jednak krokiem naprzód. Common Sense zdecydowanie wyrobił się zarówno w kwestii tekstów, jak i wyczucia na mikrofonie, dostał też od No I.D. świetne jazzowe bity. Tylko co z tego, skoro wydawca płyty, Ruthless Records, zapomniał o tak istotnym czynniku jak promocja i materiał nie przebił się w jakikolwiek sposób na listach przebojów! Głośno o „Resurrection" zrobiło się dopiero, gdy Ice Cube zrozumiał przesłanie utworu „I Used to Love H.E.R.", manifestu skierowanego przeciw twórcom z Zachodniego Wybrzeża i rozpoczął beef z raperem pochodzącym z Chicago. Trwał on 2 lata, w czasie których Common wręcz zmiótł byłego „Czarnucha Z Charakterem" przede wszystkim za sprawą fenomenalnego nagrania „Bitch In You". Walka z Cube'em nie była jedyną frustrującą sytuacją, z jaką wówczas spotkał się nasz bohater. Proces wytoczyła mu nieznana w zasadzie nikomu grupa rockowa... Common Sense, oskarżając artystę o przywłaszczenie sobie ich nazwy. Sprawa zakończyła się polubownie – raper usunął drugą część swej ksywy i odtąd był już tylko Commonem. Konflikt z Cube'em został zażegnany z pomocą Louisa Farrakhana, duchowego przywódcy afro-amerykanów, bojącego się o to, iż może on doprowadzić do rozlewu krwi. Połowa lat 90. do dziś pamiętana jest przecież również z racji konfliktu na tle East Coast – West Coast, którego pośrednim, niezwykle tragicznym efektem była śmierć dwóch ikon rapu – 2Paca i Notoriousa B.I.G. Common i Cube postanowili jako jedni z pierwszych położyć kres temu wszystkiemu.

Common okazał się artystą przez duże A, niebojącym się wyzwań, drogi pod prąd, niedbającym o popularność. Wielu muzyków, którzy mieli okazję z nim współpracować, podkreśla, że Lonnie Lynn to człowiek o bardzo odważnych poglądach, inteligentny, świadomy, być może nadmiernie wrażliwy i uczuciowy

W 1997 r. na półki sklepowe trafił trzeci album Commona „One Day It'll All Make Sense". W dużej mierze za sprawą popularności nagranego z będącą wówczas na topie wokalistką The Fugess, Lauryn Hill, singla „Retrospect For Life", ale też bardzo pochlebnych recenzji i gościnnych udziałów m.in. The Roots, De La Soul, Q-Tipa i Eryki Badu, materiał firmowany przez artystę w końcu stał się sukcesem nie tylko artystycznym, lecz i marketingowym. To był okres przełomowy w jego życiu. Na świat przyszła córeczka rapera, Ofoye, przeprowadził się z rodzimego miasta na Brooklyn, zaś o podpisanie z nim umowy wydawniczej biło się kilka potężnych oficyn. Zdecydował się na MCA i już wiosną 1999 r. dostaliśmy „Like Water For Chocolate" – chyba najlepszą płytę w dyskografii Commona. Promowany wspaniałymi singlami „6th Sense" (produkcja samego Preemo) i „The Light" (nominacja do nagrody Grammy) album okazał się jednym z największych wydarzeń w hip-hopie AD 1999.

Po jej wydaniu Lonnie Lynn postanowił odpocząć trochę od muzyki i skupić się na życiu prywatnym. W osobie Eryki Badu odnalazł swą życiową partnerkę. Postanowił natomiast odrobinę odbić od rapu i przy okazji pracy nad swym piątym krążkiem „Electric Circus" poflirtował z nowymi brzmieniami, rockiem i neo-soulem. Zdziwił zarazem wielu fanów powierzając część produkcji duetowi The Neptunes. Ten niezwykły kolaż brzmień zaowocował albumem niezwykłym, ale przez dużą część odbiorców odrzuconym ze względu na swój eklektyzm. Common okazał się artystą przez duże A, niebojącym się wyzwań, drogi pod prąd, niedbającym o popularność. Wielu muzyków, którzy mieli okazję z nim współpracować, podkreśla, że Lonnie Lynn to człowiek o bardzo odważnych poglądach, inteligentny, świadomy, być może nadmiernie wrażliwy i uczuciowy.

Gdy będziecie trzymać ten numer „Ślizgu" w swych rękach, na półkach sklepowych błyszczeć już będzie okładka najnowszego dzieła Commona. Nie będę się w tym miejscu rozwodził nad albumem „Be", wszelkie pytania wyjaśni z pewnością recenzja. W Stanach album odebrano niezwykle entuzjastycznie, w ciągu tygodnia znalazł on niemal 200 tysięcy nabywców. Jak na artystę tak odległego od mainstreamowego nurtu wynik to wyśmienity. Czyżby w końcu i nad Commonem zaświeciła tak zasłużona przecież gwiazdka z napisem „sukces"?!



obciach

raport

Wakacje to muzyczny sezon ogórkowy, w którym ucho odruchowo zaczyna przyjmować byle co. Przy browarze, kiełbasce, na plaży czy dancingu tolerancja ludzka raptownie rośnie. Ale zdarzają się takie ogóry, których nie przełknęłaby nawet Marianna Rokita. Ku przestrodze naszych czytelników – specyficzny (anty) ranking

tekst: Lil Phil
foto: Cess (CS)

Funky Filon

Według jego własnej strony internetowej, „Funky Filon wystrzega się „blokowo – osiedłowych klimatów" w warstwie tekstowej, koncentrując się na połączeniu nowoczesnych „bitów" z bardzo filozoficznym przesłaniem". O „filozofii" była już mowa w multimedialnej prezentacji na jego debiutanckim albumie. Dlatego wychodząc w teren staraliśmy się znaleźć gościa, któremu nie będzie ona straszna, który sprosta jakże rozległym filonowym ambicjom.

Michał to indywidualność. Ma 26 lat. Na korepetycjach uczy młodzież języka polskiego. Uwielbia rock progresywny i twórczość Juliana Tuwima. Pokazaliśmy mu klip do utworu „Mała Chinka" i chętnie się wypowiedział: „Gdyby stworzyć specyfik będący syntezą prząśnego bimbru i słonecznej marihuany to coś mogłoby mieć rację bytu. Oczywiście pod warunkiem, że odbiorca spożyłby wcześniej pół litra takiej substancji. Bo ja na trzeźwo naprawdę nie wiem, jak mam to ugryźć. To nie chodzi o to, że mamy do czynienia z jakąś makabryczną porażką, bo w postmodernie wszystko jest dozwolone i nic już nie powinno dziwić. Chodzi o to, że tu nie wiadomo, o co chodzi. Może jestem zbyt mało inteligentny, ale ja naprawdę nie wiem, czy to jest żart, czy jakaś próba porwania się na poważny socjologiczny temat. Sądząc po minach, jakie strzela Kaja Paschalska – którą nawiasem mówiąc uważam wciąż za wizualnie interesującą kobietę, ale do jej wnętrza straciłem cały szacunek, jakim o dziwo ją darzyłem – jest to jakiś żart. Jeśli tak, to wyjątkowo okrutny i w okrutnie złym stylu. Mafia wietnamska powinna dorwać tego, co napisał ten utwór i kazać odszczekać wszystko pod stołem. Poza tym nie jestem specjalistą od hip-hopu, ale dziwię się, że Funky Filon ma jeszcze czelność używać środków wyrazu z hip-hopem związanych. Ja bym na jego miejscu cieszyl się, że jeszcze nie jeżdżę na wózku, bo ziomy w naszym kraju nie dość, że zapatrzeni tylko w swoje kółka wzajemnej adoracji, to jeszcze są dość radykalni".

Asia ma z kolei dwadzieścia lat. Pracuje wśród Azjatów w samym środku Warszawy, podając potrawy wietnamskie i chińskie w barze „Oriental". „To ma być piosenka?", pyta z niedowierzaniem, kiedy podsuwamy jej pod nos tekst szlagieru: „Dla mnie tekst jest dziwny. Nic nie wnosi, nic nie wynosi, a nawet ośmiesza obcokrajowców. Wynika z małej wiedzy o tej kulturze. Jeżeli tu jest napisane, że „są z Wietnamu", a potem śpiewają o Chince, to tak jakby mylił Rosjan z Polakami".

Cóż, dla odmiany zaglądamy na forum hip-hop. pl. Skibaz pisze: „Boże, jak od tego jebie zasranym sarkastycznym rasizmem.... Ja kurwa nie rozumiem takiego postępowania. Pewnie mu pan Wiesio zrobił baunsowy bit a ten kurwa frajer (albo Jacek Cygan) napisał tekst na siłę bo nie mieli tematu... Do tego kurwa pop gwiazdka, którą mu załatwiła wytwórnia...". Nitek zaś zadaje retoryczne pytania „Tak, to prawda, ze Chińczycy w Polsce pracują na stadionach, ale czy przez to są jacyś gorsi?? Ilu naszych rodaków zapierdala na miotłach w Niemczech czy USA, ilu pracuje w polu, ile wreszcie dziewczyn wyjeżdża dawać dupy za granicą??? Czy cieszyłoby Was uogólnienie Mały polaczku, duży cwaniaczku w twoich oczach widzę że puścisz się za 10 Euro?". Lary I zaś stwierdza: „Nie przejmowałbym się takim wypizdanym żółtym jajem jak filon". Są jednak dowody pokazujące, że uszy Michała, Asi i nasze są odporne na prawdziwy pozytywizm szlagierowego duetu: „Wreszcie coś prawdziwego, traktującego o przyziemnych rzeczach, klasycznego, a zarazem orientalnego", cieszy się palicrack. „(...) to przecież nie o to chodzi, żeby lubić ukraińców za pomarańczową rewolucję, a chińczyków nie lubić. Wg. mnie to kawał dobrej roboty" dorzuca WILCZUR.

Zatem, za bycie pierwszym bardem McDonald'sa, dj'em Maćka Molędy i samozwańczym „ojcem chrzestnym hiphopolo"; za unikalne wyczucie w poruszaniu poważnych tematów; za tłumaczenie, że „Letnie przesilenie" jest hip-hopowe, bo Outkast ma takie same werble; wreszcie za Kaję P., związaną z „Klanem" – tytułem niegdyś dla nas konkurencyjnym. Za to wszystko pierwsze miejsce w naszym specyficznym rankingu.

Verba

„Debiutancka płyta Verby wywołała wśród fanów polskiego hip hopu spore poruszenie. Od debiutu Jeden Osiem L nikt nie miał bowiem tak mocnego wejścia, jak duet z Piły" – wyrokuje „Popcorn", który od wielu lat zaskakuje nas kompetencją swoich redaktorów i nie mamy powodu, żeby nie wierzyć na słowo. „IGNAC. Dziękuje, że po koncercie poświęciłeś mi tyle uwagi:)) Czułam się wyjątkowa!! Jesteś cudowny! Mam nadzieję, że wkrótce znowu porozmawiamy" – pisze Anita na stronie UMC do jednego z członków zespołu. Rozczarowana nie jest również Gabrysia: „Myślałam, że będziecie kolejną tandetą taką jak Peja, ale myliłam się. Bardzo podoba mi się wasz nowy kawałek". Internet to jednak nie wszystko. Weryfikujemy więc w terenie.

Blanka jest miłą, otwartą blondynką, ubraną w różową bluzeczkę. Sprzedaje artykuły dla zwierząt. „Ja bardzo lubię takie zespoły! Tak jak koleżanka, moja przyjaciółka tutaj wie, że Verba to jest jeden z moich ulubionych zespołów. Dlatego, że podoba mi się to, o czym oni śpiewają, śpiewają z sensem. Mi się to podoba i mogę powiedzieć o tym wprost" – mówi odważnie. Odwagi starcza jej jeszcze, żeby odpowiedzieć, czy muzykę Verby uznaje za właściwą dla świata fauny. „Nie, chyba nie. Generalnie zwierzęta nie lubią głośnej muzyki. Nie lubią, jak się głośno mówi, głośno słucha telewizoru. Mimo że one się wyłączają, to nie." Kontrujemy, że przecież rośliny bardzo lubią muzykę i lepiej przy niej rosną. „Ale to chyba klasyczną", przytomnie ripostuje koleżanka Blanki. Tłumaczymy, że u Verby czy Jeden Osiem L jest dużo klasycznych motywów. partie fortepianowe. Blanka jest w tym temacie doskonale poinformowana: „Nie we wszystkich zespołach, ale tak, w jednym z tych zespołów rzeczywiście są". W końcu nie na darmo „Super Express" krzyczał przecież ze swojego rapowego dodatku, że „fortepian jest hip-hopowy". My zaś jesteśmy zaskoczeni – Verba bardziej nadaje się dla ludzi niż dla zwierząt. I dla roślin, ale raczej nie doniczkowych. Prędzej buraków.

Coś jednak musi w tym być. „Jesteście super składem przy waszej płycie odlatuje z chłopakiem w nieznane!!!" – pisze Sylwunia w księdze gości na stronie zespołu. „Moja przyjaciółka ma problem z chłopakiem i słuchając Waszych piosenek jeszcze bardziej się przygnębia, ale i tak Was uwielbia;] Czy na kolejnym krążku znajdzie się piosenka o tym, że zawsze trzeba mieć nadzieje, że miłość istnieje?" – pyta Martusia. Znowu więc wychodzimy w teren. Para kończyn – jedne włochate, drugie zaś obute w czerwone szpilki z czerwonymi podwiązkami w górnych partiach – udowadnia, że trafiliśmy do właściwego miejsca. Pani za ladą ma na imię Madzia, jest nieco zniszczona przez życie, ale wciąż ma diabełki w oczach i chęć, by uśmiechać się stojąc między rzędem kaset wideo i akcesoriów erotycznych. „Ojej, ja stara dupa jestem!!!" – odpowiada zakłopotana po pytaniu o wiek, w końcu przyznaje: „Trzydzieści pięć". Verbę zna. „Trudno nie znać. To hip-hop, prawda?". Gdzieś ze sklepu, zza kotary, wydobywa się głos: „Dajcie się wypowiedzieć dziewczętom", ale te okazują się... zbyt nieśmiałe. Pytamy, czy przy nagraniach Verby można się wzruszyć. „Pewnie, że można", mówi Madzia. „Choć ja to się raczej łatwo nie wzruszam".

Verba zajmuje wysoką drugą pozycję w naszym rankingu. Nie ma nic bardziej wzruszającego niż panowie, którzy są w stanie spartaczyć wypróbowany przez Jeden Osiem L patent na sukces i zrobić niesprzedającą się komercję. Za udowadnianie hip-hopowości fortepianu, za brak stylu, wyczucia i specyficzny wdzięk osobisty proponujemy miejsce w czołówce listy. Będziecie jeszcze wyżej, jeśli spełnicie życzenie fanki Justyny. Przyjedźcie „do Krosna albo Rymanowa".

Jeden Osiem L

„Zdarza się posłuchać, ale żeby posłuchać płyty z ich zespołem, to raczej nie. Raczej radio albo coś. Dla mnie właściwie Jeden Osiem L to kicz. Takie komercyjne, pod publikę robione. Jedna piosenka jest fajna i tam się ją słucha przez całe wakacje. A reszta? Nie słyszałam o reszcie. Może dlatego, że nie słyszałam płyty. To są zespoły dla takich, którzy mają 12 i 13 lat i dopiero wkręcają się w hip-hop. Małolatkom podoba się koleś z tego zespołu czy coś." – mówią nam złapane w trakcie przejażdżki rowerowej siedemnastolatki Ola i Magda. Sprawdzamy, jak to jest z tymi dwunastoletnimi fanami. Pomiędzy tubiankami truskawek i bukiecikami konwalii łapiemy Rafała, chłopaka właśnie w tym wieku. „Jeden Osiem L to jest dobre, ci od przeboju „Jak zapomnieć". Takie rymy fajne, takie ten...". Rafał ma wielu kolegów, którzy ich słuchają. Sam przyznaje, że rozmawia z nimi na ten temat. Zatem sprecyzowany przez nasze rowerzystki target okazuje się zupełnie słuszny. Ale są też wyjątki. Jarosław ma 28 lat. Siedzi w roboczym kombinezonie na murku przy windzie do metra. Patrzy tęsknie przed siebie. Inna sprawa, że gdzie indziej nie za bardzo może patrzeć, bo po lewej ma ścianę, a po prawej spory wóz dostawczy. „Słyszałem, ale generalnie słucham każdego rodzaju muzyki. Dobre zespoły, nowe, świeże, można ich posłuchać. Przyjemnie. Tyle mam do powiedzenia".

Przy hybrydzie pt. „Fryzjer/Solarium/Kosmetyka" łapiemy panią w średnim wieku, na oko koło czterdziestki. Siedzi przed szybą wystawową razem z koleżanką Marlenką, odpoczywając przed kolejnym klientem. „Teksty są bardzo mądre, trafiają do mnie jako kobiety dojrzałej" – mówi. Niemniej jednak nie jest w stanie zaakceptować strony muzycznej. Za to jej osiemnastoletnia córka akceptuje całość. Puszcza w domu, była nawet na koncercie. Matce natomiast nie należy się dziwić, już samo Jeden Osiem L przyznało w oświadczeniu, że to nie kilkanaście sekund wycięte z cudzego utworu, a znakomity, przejmujący tekst przyczynił się do sukcesu ich singla. Ma on zresztą kolejną cechę charakterystyczną dla ponadczasowej poezji: jest bardzo uniwersalny, sprawdza się we wszystkich przedziałach wiekowych i u osób o wszelkich preferencjach seksualnych (bo – jak to mówi sąd poznański – geje i nekrofile to właściwie to samo)... „Postanowiłem że całkowicie przestanę ukrywać swój homoseksualizm… Dziś w szkole w ogóle się nie ograniczałem…" – pisze Paweł na swoim blogu pawel16gay. blog. pl. „Nie lubię hip-hopu jednak jest jeden utwór hh który bardzo lubię, może to, dlatego że jestem teraz w takim dziwnym stanie.... Słucham go już drugą godzinę… Dziwne uczucie… gdy go słucham czuję że chciałbym pójść do Mariusza i wykrzyczeć do niego to co śpiewa (jeżeli można to nazwać śpiewem) ten ktoś kto to śpiewa… Ale to zdanie dziwnie brzmi… Ten utwór to „Jak zapomnieć" zespołu (czy jak to tam się u hiphopowców nazywa) Jeden Osiem L".

Za burzę rozpętaną wokół idei samplingu, klękające podroby, menadżera umiejącego „ruszyć głową" w specyficzny sposób, przejmujące zdjęcia Paczkosia podskakującego w płetwach i Łukasza z nagim torsem przywiązanego do uschłego drzewa na pustyni robione dla kobiecego tygodnika, za brawurową ucieczkę z labela, któremu wszystko zawdzięczali, próbę wypuszczenia „ironicznego" singla i gorące przyjęcie ze strony tubylców podczas pobytu w Egpicie. Za to wszystko trzecie miejsce w rankingu.

PS. Przy cytatach z sieci i przytaczając wypowiedzi ankietowanych, staraliśmy się zachować oryginalną składnię wypowiedzi.

Prawdziwe hity
(naucz się na pamięć i błyśnij w towarzystwie)

01. „Znam Chinkę cziku cziku linkę i jej matkę cziku [illegible]"

Wers dla alternatywnych [illegible] wia, haiku jest sztuką wa[illegible] Stana „zięcia Chin" [illegible] bnie w kompromitacj[illegible]

02. „Jesteś ze mną, czuję Ciebie, Twój lekki dotyk / który czaił się słodkim dreszczem rozkoszy"

Verba, „Pamiętasz"

Wersy dla romantyków, którym lepki majonez dnia spuszcza się na głowę szczególnie mocno.

03. „200 programów, z pluszu poduszka, parę gramów / I jak być dobrym chłopcem, kiedy wokół tylu chamów?"

Jeden Osiem L, „Jest tak"

Wersy dla wrażliwców – outsiderów, którym ściągano spodnie, gdy schylali się po worek z kapciami, a za czołowy przejaw walki z systemem uznają niekasowanie biletu w autobusach.

04. „Bardzo lubię pana policjanta / wysoki chłopak, mundurek, przy pasku pałka"

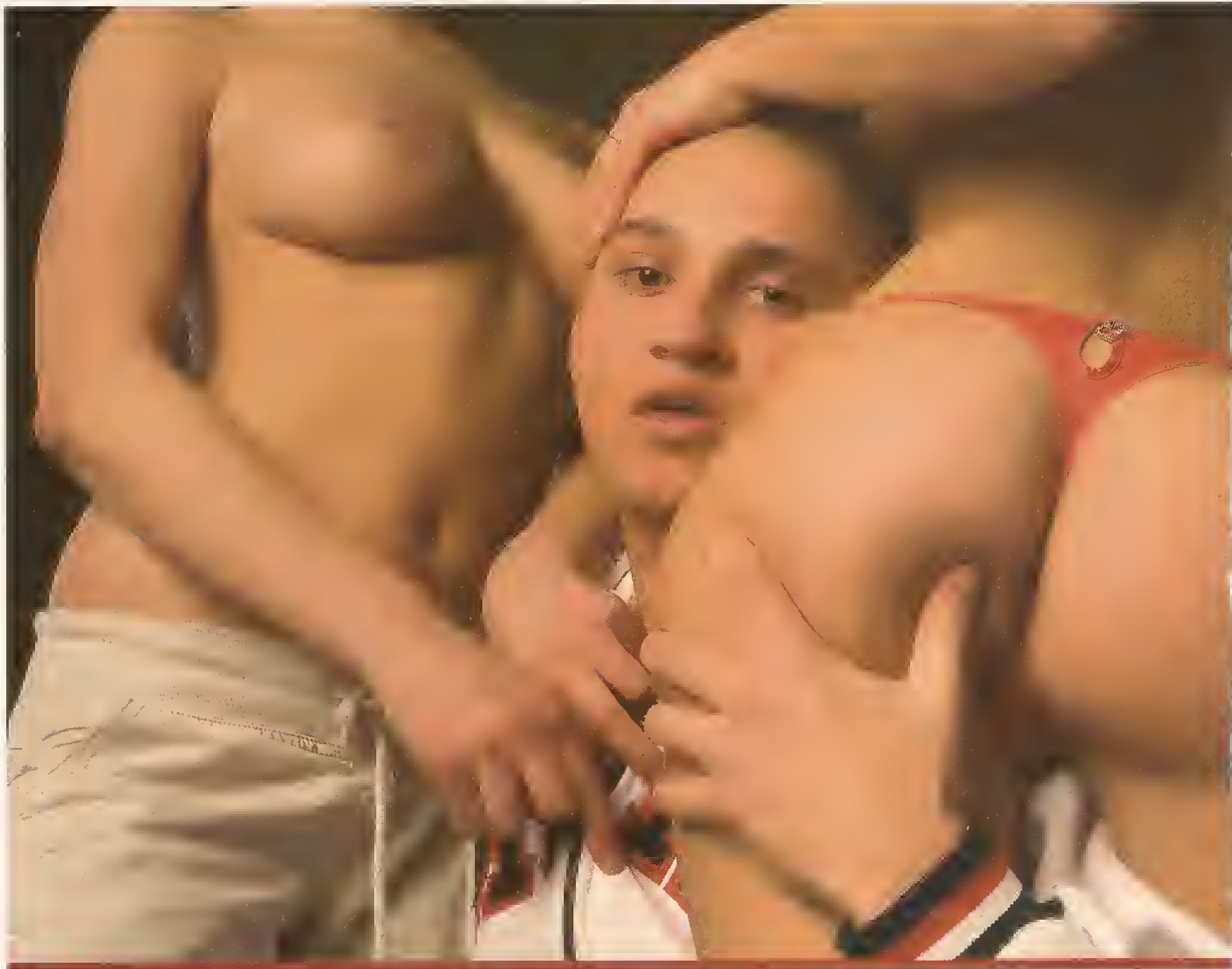
Mleko, „Kto Dogoni psa"

Wersy dla fanów braci Kaczyńskich, ale i dla tych, którzy cenią ironię na wczesnogimnazjalnym poziomie, bo tylko taką są w stanie zrozumieć.

05. „Oj spaliłem się nie raz, potem zgasł"

Sycha, „Cztery ściany"

Wers dla naukowców – piromanów, całymi dniami zgłębiających jakże zaskakujące prawa fizyki paląc... głupa.



Lerek
ler kelly?

Kariera Lerka zaczęła się zupełnie przypadkowo. Podwoził Pezeta do Ajrona, by ten nagrał swoją zwrotkę na winylowe wydawnictwo Junoumi. Panowie pomyśleli, że skoro w pobliżu jest gość, który na imprezach zawsze wyrywa się do śpiewania, to może wykona im refren. W ten sposób młody chłopak z warszawskiego Natolina oficjalnie zadebiutował... i to na wosku. Potem kariera potoczyła się lawinowo. Pezet, Mes i Onar zobaczyli w wokaliście-amatorze szansę na lokalnego Nate Dogga i... rozpoczęli eksploatację. Gutek rozpoczął modę na melodyjne męskie głosy w refrenach, Lerek zaś wpisał się w nią, a nawet ją rozwinął. Zaczął być widoczny w klipach, uzyskał zaproszenia od artystów spoza Warszawy (Tymi, Pih). Obecnie wydał epkę u Cameya. Nie wiadomo do końca jak ją klasyfikować, na pewno nie jest jednak hip-hopowa. Jedną z rzuconych pół-żartem pół-serio propozycji tytułu wywiadu był nawet „Gangsta Pop". A zresztą, przeczytajcie i posłuchajcie sami

tekst MamaCess (CS)
foto marszull.com

Dawno, dawno temu rozmawialiśmy sobie przy okazji zbliżającej się od dwóch lat premiery płyty Kalego. Powiedziałeś wtedy, że myślisz o solówce, ale w klimatach 2step. Skąd taka zmiana stylistyki?
Tak, było coś takiego. Wtedy jeszcze nie było projektu, tylko przymierzanie się. Nie było żadnego wydawcy, tylko chodzenie i myślenie. Później już się zaczęła współpraca z Cameyem i jak już wiedziałem, że będę to wydawał u niego, wciąż nie miałem żadnych kawałków. Tzn. była demówka, którą wcześniej słyszał, ale nic z niej nie zostało. Wszystko powstało od początku.
Camey znany jest z tego, że ma duży wpływ na materiał swoich podopiecznych...
Słuchaj, on niczego na mnie nie wymusił. Jedyną propozycją, która wyszła od niego był utwór z Nowatorem. Mnie to było bardzo na rękę, bo sam miałem taki projekt w głowie, a że się zdarzyło tak, że ja miałem bit, który Nowatorowi się całkowicie podobał, to zdecydowaliśmy się na współpracę. Zaśpiewałem Nowiemu przygotowany tekst, on wtedy zaczął pisać swój i mamy hita.
Od wielu raperów, z którymi współpracowałeś, docierają głosy, że na albumach ze stajni Cameya brzmisz zupełnie inaczej, niż na ich płytach.
Brzmię zupełnie inaczej, bo chcę zachować pewną stylistykę. Jeśli oni robią czysto hip--hopowy materiał, to też nie chcę wbijać się na niego z czymś z zupełnie innej beczki. Nagrywałem to, co chłopakom się podoba, czyli raczej niższe partie wokalne, a nie śpiewanie na wyższych rejestrach. To im odpowiada. Jak wchodzę nagle na wyższy rejestr, co mało kolesi u nas w Polsce robi, to inaczej na to patrzą. Ja jednak lubię śpiewać w wyższych partiach, może właśnie dlatego, że jest to rzadko spotykane.
Twoja płyta odbiega od hip-hopu, wręcz bym powiedziała, że jest to pop. Może czasem z elementami hip-hop/r'n'b.
Myślę, że na tej płycie zrobiliśmy coś zupełnie innego. Podczas nagrywania słuchałem

przeróżnych płyt, eksperymentowałem. Ale nie nazwałbym go stricte popowym. Używaliśmy harmonii, próbowałem współpracować z różnymi ludźmi z branży muzycznej.

Czyli solidnie się przygotowałeś. Na to potrzeba czasu, a zdaje się, że nie było go najwięcej...

Cały album nagraliśmy w półtora miesiąca, bo goniły nas terminy. Dystrybucja i wszystko inne było załatwione na konkretną datę. Potem i tak się trochę przesunęło z racji na śmierć Papieża. Jednak to wszystko powstało rzeczywiście dość szybko.

Szybko pojawiły się też komentarze. Nie boisz się zarzutów, że to, co robisz, jest hip-hopolowe?

Ja się nie próbuję jakoś na siłę wiązać z jakimkolwiek hh, bo nigdy nie byłem stricte hip-hopowy. Tyle, że wszystkie moje występy w refrenach albo śpiewane zwrotki są w kawałkach hip-hopowych. A tak, to jak w Stanach, łączę różne style, jakoś nie chcę konkretnie przyczepić do jednego. Tylko i wyłącznie poprzez wgląd na poprzednie czasy, kiedy to występowałem z raperami, ludzie mogą mnie w tę kategorię wczepiać.

Uciekasz mi od tematu. A słuchaczom ucieka z kolei różnica pomiędzy Lerkiem a, na przykład, Doniem, który pewnie tłumaczy się w podobny sposób, ale już szykanowany jest o wiele bardziej. Gdybyś mógł ją naświetlić.

Różnica między Doniem a Lerkiem? Doniu uważa się za rapera. Wydaje płyty nazywając je hip-hopowymi i podśpiewuje sobie w refrenach. A Lerek sobie śpiewa, nie rapuje, nie nazywał swojej epki hip-hopową, więc jest inaczej. Na swojej płycie przewinąłem bodajże osiem wersów i nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek to zrobię. Ale temat dla hejterów jest zawsze.

Na swojej płycie mówisz o miłości. To dość grząski grunt i łatwo zrobić kicz.

Nasz pierwszy kawałek, który powstał, „Bo bez Ciebie", jest stricte o uczuciu. To jest temat ponadczasowy, szczerze rozwinięty. W końcu pojawia się od samego początku poezji i będzie na pewno się przewijał wielokrotnie w przyszłości, trzeba jednak to ująć odpowiednio. Na przykład mój utwór nie opowiada o tym, jaki jestem, zresztą trochę mnie ludzie znają. Jest raczej dobrym zabiegiem marketingowym (śmiech).

Marketingowym... Pieniądze są więc rzeczą najważniejszą?

Najważniejszą na pewno nie. Ale nie ukrywam, że jakiekolwiek profity z muzyki mnie satysfakcjonują i dobrze by było, jak bym mógł się z tego utrzymywać. Chociaż w części.

Dużo mówisz o kobietach...

No tak, powiedziałbym, że to 70% mojego życia.

Jesteś uzależniony?

Wiesz, z nimi źle, bez nich jeszcze gorzej...

Aż tak źle?

Nie no, nie aż tak źle. Lubię obcować z płcią przeciwną.

Ale raczej jesteś w opcji długie związki oparte na przyjaźni, czy krótkie, burzliwe i namiętne?

Krótkie i burzliwe może nie. Chyba już z tego wyrosłem i cały czas się przyjaźnię z moimi byłymi dziewczynami. Mam z nimi dobry kontakt i dobre relacje, bo to jest chyba najważniejsze. A tak, to pożyjemy i zobaczymy, jak to dalej będzie.

Masz też za sobą bardziej mroczną przeszłość, nie będziemy tu mówić wprost, można usłyszeć co nieco na albumie...

Tak, kawałek czwarty o tym po części wspomina.

Skończyłeś z tym definitywnie?

Starałem się zamknąć ten rozdział w swoim życiu. Na pewno wiele mnie nauczył. Dużo doświadczyłem i wyciągnąłem wnioski z błędów. Ci ludzie, z którymi byłem wtedy bliżej... Cóż, jestem z nimi nadal w dobrej komitywie, ale po prostu nie zajmuję się pewnymi rzeczami, którymi się kiedyś zajmowałem. Może się z czegoś takiego wyrasta albo po prostu trzeba przejrzeć na oczy i wybrać sobie odpowiednią drogę w życiu.

Wspomniałeś, że zacząłeś ćwiczyć głos.

Ćwiczyłem trochę przed płytą. Wcześniej po prostu nigdy się nie uczyłem śpiewać. Nie znam nut ani innych głupot. Pomyślałem więc, że taka nauka troszkę się przyda, bo na razie jest spokój, ale podobno już pojawiają się terminy na następną płytę.

Ta płyta miała mało kawałków premierowych. Jakieś remiksy, utwory w dwóch wersjach...

Tak, w dwóch wersjach jest „Moja panienka". Radiowej i właściwej, tej, która powstała na samym początku, o tym, że moja panienka, to moja butelka. Wchodzę do klubu i cały kawałek jest śpiewany tak, że niektóre osoby w ogóle nie wyłapywały na początku, że to jest o tym, że piję wódkę na imprezach. Później, jak już powstał ten kawałek, spodobał się pani od promocji i Carneyowi. Stwierdzili, że to drugi singiel. Ja też byłem za tą opcją. Nowator również, bo może się pokazać przed swoją wychodzącą niedługo płytą. Poza tym idzie lato, więc jak dla mnie taki numer powinien pohuczeć. Jednak ze względu na tematykę, jaka została poruszona w kawałku, radia powiedziały, że to nie bardzo i że nie. Więc umówiliśmy się z Nowatorem na następny dzień i w ciągu 15 minut przemyśleliśmy zmianę tekstu, a właściwie kilku wyrazów zmieniających klimat numeru, pozwalających już singielek puścić. Klip kręcimy za tydzień.

To jest jakiś bezsens. Cała płyta Sidneya Polaka to oda do alkoholu i radia nie mają problemu. Kiedy Kayah z Bregoviciem robi pijacki utwór, też wszystko jest dobrze...

Słuchaj, dostali to ludzie z radia i wybierali. Powiedzieli, że może nie przejść, więc nie chcieliśmy umoczyć numeru tylko dlatego, że tematyką jest alkohol i dokonaliśmy zmian. A tych Bregowiczów, to ja nie znam (śmiech).

Ale z wydawcy jesteś zadowolony...

Dobrze jest, blisko, na czworaka po pijaku bym tam trafił. Szykuję u niego teraz pełny LP. Chcę trochę zaskoczyć ludzi. Myślę, że będzie dużo gościnnych występów osób znanych z kręgów hip-hopowych, przynajmniej takie są plany. Przyłożę się bardziej, zmienię klimat w bardziej podchodzący pod klasyczne r'n'b. Ale to wszystko jeszcze jest w zarysie i wykaruje się dopiero za parę miesięcy.

Sage francis

scena moim konfesjonałem

Od lat niestrudzenie powiewa flagą politycznego hip-hopu, wierny etyce undergroundu i idei „Do It Yourself". Wielki ikonoklasta sceny rapowej, utalentowany poeta, gorliwy straight edge'owiec. Jeden z głównych winowajców zamieszania pod kryptonimem „emo hop". Duchowy potomek Lawrence'a Ferlinghettiego, Lenny'ego Bruce'a i Iana MacKaye'a z mikrofonem w dłoni. Mistrz konfesyjnego rapu, Sage Francis we własnej osobie

rozmawiał Sebastian Rerak

Niektórzy mówią „Anticon", myśląc „Sage Francis". Jak dokładnie wyglądają Twoje relacje z Anticonem?

Anticon jest kolektywem artystów, z którymi jestem zaprzyjaźniony. Zapytali mnie, czy mogą wydać mój debiutancki album solowy, a ja się zgodziłem. W ten sposób moja pierwsza komercyjna płyta ukazała się nakładem Anticonu i dlatego jestem często z nim kojarzony. Potem wypuściłi jeszcze dwunastocalówkę „Makeshift Patriot". I na tym póki co kończą się nasze wzajemne profesjonalne relacje.

Twój najnowszy album zatytułowany jest „Healthy Distrust". Co jest obiektem „zdrowej nieufności" Sage'a Francisa?

Uważam, że powinniśmy okazywać zdrową nieufność i zdrowy sceptycyzm wobec wszystkich autorytetów, zwłaszcza w świecie, w którym jesteśmy bezustannie wykorzystywani przez ludzi nadużywających władzy. Przede wszystkim pokolenie „post-9/11" powinno to zrozumieć, nawet jeśli jest systematycznie przekonywane przez rząd i media, że posiadanie własnego zdania jest czymś złym. Posiadanie własnego zdania jest fundamentalne! Rozejrzyjcie się dookoła i zastanówcie, dlaczego pewne sprawy mają się tak, a nie inaczej. Czyją zasługą jest obecna pozycja wpływowych instytucji, jak dotykają one Was i jakości Waszego życia. Po prostu nie akceptujcie niczego, oceniając po pozorach. Zadajcie sobie pytanie, dlaczego media mówią pewne rzeczy i jakie ukryte pobudki mogą kryć się za tymi informacjami. Rząd, relacje, muzyka, religia, przyjaźń, szkolnictwo... Przyjrzyjcie się im długo i uważnie. Jest to niezwykle ważne, jeżeli planujemy przełamać schemat kłamstw i oszustw, w których wychowywane są masy. Prawda i rozsądek są po naszej stronie, ale musimy poświęcić mnóstwo pracy na wskrzeszenie świadomości pośród ludzi zbyt odrętwiałych, by to dostrzec.

Do udziału w utworze „Sea Lion" zaprosiłeś avant folkowego artystę, Willa Oldhama. Z kolei piosenkę „Jah Didn't Kill Johnny" zadedykowałeś pamięci króla muzyki country, Johnny'ego Casha. Czy uważasz hip-hop za pewnego rodzaju współczesną muzykę folk?

Zdecydowanie tak. Hip-hop może zostać użyty do opowiadania historii o zwykłych ludziach i rozsiewu przekazu pośród społeczności, które takiego przesłania potrzebują.

Po odrzuceniu ofert z kilku korporacyjnych wytwórni związałeś się z Epitaph. Czy jesteś zadowolony z tego wyboru?

Nawet bardziej niż zadowolony. Wprawdzie zawsze miałem nadzieję, że będę w stanie zajmować się wszystkim samodzielnie, ale doszedłem do miejsca, w którym wiedziałem, że moja kariera była ograniczana przez niemożność zajmowania się konkretnymi aspektami jego biznesu. Nie mogłem brać tego w swoje ręce w takim stopniu, w jakim mogą to robić przedsiębiorstwa takie jak Epitaph. Ludzie z firmy szanują mnie i moją muzykę, a to był decydujący czynnik w związaniu się z nimi.

Jak doszło do Twojego występu na ostatniej płycie Bad Religion?

Gitarzysta Mr Brett opowiedział mi o idei piosenki „Let Them Eat War". Na jej końcu było złamanie rytmu. Brett chciał, żebym pojawił się w tym fragmencie. Przysłał mi taśmę demo, a ja zaraz z marszu napisałem tekst. Bad Religion jest jednym z moich ulubionych zespołów, więc nawet pomimo tego, że moja partia trwa zaledwie dwadzieścia sekund, czuję się naprawdę zaszczycony występem w ich piosence. Zwłaszcza przez wzgląd, że dotyczy ona takiej kwestii. „Let Them Eat War" to utwór o tym, jak Ameryka niebieskich kołnierzyków została oszukana, by poprzeć wojnę prowadzoną w interesie bogatych. Niech jedzą wojnę? Nieee, niech zjedzą braci Bush.

Co sądzisz o „emo hop"? Czy jest to tylko wymysł dziennikarzy, czy coś więcej niż użytkowa kategoria?

To zdecydowanie nowy wymysł rozdmuchany przez media. Ale jest to zabawne, w pewien sposób to lubię. Nigdy nie wzruszały mnie takie głupawe etykietki. Nie mają w sobie żadnej siły.

Buck 65 powiedział kiedyś, że czasami potrafisz nie odzywać się całymi tygodniami. Na scenie tymczasem jesteś bardzo wylewny. Wygląda na to, że będąc introwertykiem, traktujesz scenę jako swój konfesjonał.

Świetnie to ująłeś. Scena na pewno jest dla mnie konfesjonałem. Kiedy jestem na scenie, wyrażam swoje uczucia zupełnie swobodnie i jest to bardzo wyzwalające. Na co dzień jestem zamknięty w sobie albo nie odzywam się z powodu ślubów milczenia.

Pozwolisz, że zadam Ci kilka pytań związanych z przebiegiem Twojej muzycznej kariery. Jak wspominasz czasy działalności Art Official Intelligence?

W czasach, gdy nie było zbyt wielu beatmakerów, grupa instrumentalistów zapytała mnie, czy chcę dołączyć do hip-hopowego składu. Nie byłem zbyt podekscytowany na myśl o graniu na żywych instrumentach, ale bardzo



pragnąłem w końcu zacząć tworzyć muzykę razem z innymi ludźmi. Miałem już wtedy setki utworów pozbawionych muzyki. Pokazałem reszcie moje teksty, a oni na szybkiego skomponowali materiał. Zaczęliśmy grać koncerty i nagrywać w wielkim pośpiechu. Doświadczyliśmy kilku zmian perkusistów i gitarzystów, ludzie zmieniali się w ciągu lat, ale nauka kooperacji z innymi ludźmi i pracy w studiu była bezcenna. A co najważniejsze, nauczyłem się organizować koncerty i zestawiać ze sobą wykonawców, podczas gdy większość raperów po prostu chwytało za mikrofon albo odgrywało kilka utworów prosto z winyli.

Czy Non Prophets to zamknięty rozdział, czy też planujesz jeszcze nagrać coś razem z Joe Beats?

Czas pokaże. Sądzę jednak, że ja i Joe popracujemy jeszcze kiedyś wspólnie. Joe zajmuje się teraz jakimiś swoimi projektami, ale z chęcią posłucham więcej muzyki jego autorstwa. Mam nadzieję, że nasz wspólny album doczeka się kontynuacji.

„Makeshift Patriot" stało się muzyczną ilustracją dla wielu obywatelskich protestów. Domyślam się, że musisz być dumny z tego utworu.

Jestem cholernie dumny z tej piosenki i sposobu, w jaki ją wydałem w czasie, kiedy to się stało (utwór został zrealizowany metodą DIY jako reakcja na wydarzenia 9/11 – przyp. aut.). Na każdym koncercie, kiedy wykonuję ten numer, publika wariuje. Jestem zadowolony, że byłem na stanowisku, by zrobić coś takiego we właściwym czasie. Nikt inny tego nie zrobił. Coś niesamowitego!

Ukończyłeś studia dziennikarskie. Czy zawdzięczasz im bardziej umiejętności pisarskie, czy krytyczny stosunek wobec mediów?

Podobała mi się nauka o etyce dziennikarskiej, która może (albo i nie) być zastosowana w moim pisaniu w zależności od tego, co akurat piszę i w jakim celu to robię. Przede wszystkim, studia dziennikarskie pomogły mi w wiwisekcji zjawisk zachodzących w społeczeństwie za sprawą wpływu korporacyjnych mediów. Ta wiedza pomaga mi być o kilka kroków do przodu w tej grze. Ludzie wydają się nie rozumieć, jak ważna jest niezależność mediów w każdej demokracji. Właśnie teraz wszyscy cierpimy z tego powodu. Wielu podejmuje niewłaściwe decyzje, opierając się na dezinformacjach, jakie niegodne zaufania źródła wpychają im w usta. Sieci stacji telewizyjnych i inne korporacyjne media są niegodne zaufania. Spójrzcie, do kogo one należą i pomyślcie, jak mogą wykrzywiać informacje, które przekazują.

Zadeklarowałeś wsparcie dla krajów zachodniej Europy za ich niesubordynację wobec USA. Czy z racji politycznego klimatu lepiej czujesz się koncertując w Europie?

Nigdy nie jadę do Europy mając to na względzie, nie ekscytują mnie takie sprawy. Cieszą mnie występy dla ludzi, którym podoba się moja muzyka, ale nigdy nie mogę być pewien, czy wszyscy podzielają moje poglądy. Nie jestem nawet pewien, czy ludzie w Europie rozumieją moją politykę, ale to nie jest aż tak ważne. Jeżdżę do Europy, aby się uczyć i bawić.

Czy zechcesz wyjaśnić ideę stojącą za trasą „Fuck Clear Channel", ponieważ niektóry ludzie spoza USA mogą odbierać tę nazwę jako jedynie obraźliwe hasło?

Clear Channel to konglomerat, potwór wyrosły z połączenia wielu korporacji. Należą do niego nie tylko kluby i rozgłośnie radiowe, ale także billboardy, przedsiębiorstwa promocyjne i stacje telewizyjne w całej Ameryce. To moloch odpowiedzialny za homogenizację naszej sceny muzycznej. Istnieją jeszcze inne przedsiębiorstwa takie jak Clear Channel, ale żadne z nich nie dotyka mojego przemysłu tak bardzo jak on. Stąd właśnie hasło „Fuck Clear Channel" przyświecające mojej ubiegłorocznej trasie.

Ogłosiłeś swego czasu, że planujesz założyć wyszukiwarkę internetową knowmore. org. Czy możesz zdradzić coś odnośnie tego projektu?

W celu poszerzenia konsumenckiej świadomości połączyłem swoje siły z moim przyjacielem Bernardem Dolanem, aby stworzyć wyszukiwarkę kontrolującą posunięcia korporacji. Hasło misyjne naszej inicjatywy brzmi: „Głosujesz za każdym razem, kiedy otwierasz portfel!". Ilekroć płacimy za jakiś korporacyjny produkt lub usługę, wysyłamy temu przedsiębiorstwu wiadomość: „Aprobuję wasz produkt i uznaję go za lepszy od innych. Aprobuję sposób, w jaki został wytworzony, sprzedany i dostarczony do mnie. Właśnie dlatego postanowiłem poprzeć waszą firmę i wszystkie wasze działania". W ten sposób oddajemy głos za każdym razem, kiedy coś nabywamy, niezależnie od tego, czy zdajemy sobie z tego sprawę. Sami określamy strategie i praktyki konsumenckie poprzez wybór jakiegoś produktu zamiast innego. Wielki biznes po prostu dostarcza nam to, o co prosimy. W obecnej rzeczywistości niedobór łatwo dostępnych informacji na temat działań korporacji utrudnia bycie przytomnym konsumentem.

W jednym z utworów Non Prophets wykorzystałeś sample głosu Lawrence'a Ferlinghettiego czytającego swój wiersz. To ciekawe, ponieważ zastanawiałem się nad Twoimi możliwymi inspiracjami poetyckimi i przyszło mi na myśl, że wpływ na Ciebie wywrzeć mogli właśnie bitnicy.

Czytałem trochę Ferlinghettiego, ale tak naprawdę nie jestem zbyt oczytany. Skłamałbym, gdybym powiedział, że jestem zainspirowany bitnikami. Nie znam zbyt dobrze ich dorobku, ale wciąż go poznaję.

Czy nadal planujesz wydanie płyty DVD?

Zamierzam wydać DVD pełne różnych nagrań pochodzących z całego mojego życia i kariery. Mam w zanadrzu mnóstwo zabawnego materiału i myślę, że może on dać niezłego kopa kilku ludziom. Zachowałem np. nagranie z konkursu, w którym uczestniczyłem jako czternastoletni rapujący dzieciak. I oczywiście mam też wideo z koncertu przed Wu-Tang, kiedy występowałem ubrany w samą tylko bieliznę, a publika rzucała we mnie butelkami z wodą. Całe mnóstwo szalonego gówna zostało uchwycone na taśmie. Mam nadzieję, że wydam to, póki jeszcze żyję.



PRO-DUKCJA #1
Kociołek

Pro-dukcja to nowy dział poświęcony ludziom, którzy w trudzie i znoju lepią bity dla pierwszej ligi, ale nie dane jest im błyszczeć w świetle reflektorów. Zaczynamy od Kociołka, wymykającego się szufladkom warszawiaka, autora podkładów dla m.in. Morwy, Grammatika, Pezeta, Fenomenu, Endefisu, Onara, Flexxipu, Procenta, Rudego MRW, 2cztery7.

Najchętniej słucham: Głosu mojej dziewczyny i nie wiem, no, jeśli chodzi o muzykę, to niech będzie, że najczęściej słucham ostatnio kawałka Billie Holiday „Speak Low (Bent Remix)" z płyty Verve Remixed. Lubię jeszcze np. Sebastiena Telliera kawałek „La ritournelle".

Mój styl w jednym zdaniu: Nie mam stylu, słucham różnej muzyki, inspirują mnie różne rzeczy i taka sama jest moja muzyka – różnorodna.

Najchętniej sampluję: Ostatnio przestałem samplować.

Beaty oparte na pętlach to dla mnie: Jak są fajne, to spoko, jak nie są fajne, to nie są spoko.

Beaty, z których jestem najbardziej dumny: „04 to już nie 95", „Od ostatniego spotkania" i „Jak to jest". Takie pierwsze, które przyszły mi do głowy. Plus te, co mam odłożone na dysku i nikt nie słyszał.

„Żywe instrumenty" w hip-hopie to: Kozacka sprawa. Tak samo jak sampling. I tak samo jak elektronika. Jak efekt końcowy jest przyjemny dla ucha, to wtedy mogę powiedzieć, że to zajebista opcja. Jak ktoś na siłę chce być oryginalny, to zazwyczaj kupa z tego wychodzi.

„Elektronika" w hip-hopie to: Fantastyczna opcja.

Moi trzej ukochani producenci to: Nie mam, zazwyczaj nie interesuje się, kurczę, tym, kto zrobił to, czego słucham aktualnie. Kiedyś się może interesowałem, ostatnio mi przeszło. A tak jakbym miał wymienić jednak kogoś, to niech to będzie Armand Van Helden za płytę „Sampleslaya".

Moi trzej znienawidzeni producenci to: Nie mam.

Hip-hop instrumentalny jest dla mnie: Nie wiem, nie słucham chyba. Ogólnie mało słucham hip-hopu, więc tym bardziej nie mam na ten temat zdania.

Najbardziej chciałbym współpracować z: Z Noonem i DJ'em Romkiem. Najlepsi fristajlowcy w Polsce.

O brzmieniu amerykańskiego mainstreamu hh mogę powiedzieć, że: Nie słucham, więc nie mam zdania. Jedyne, co mogę powiedzieć to to, że mógłbym mieć ten hajs, co ci mainstreamowcy. I jakby mi ktoś zaproponował współpracę z artystą mainstreamowym ze Stanów, to natychmiast bym natrzaskał komercyjnego gówna. Bo łatwa to sprawa.

O nowym brzmieniu hh angielskiego mogę powiedzieć, że: Jezus... Hmmmmm... Mogę tyle samo powiedzieć, co o brzmieniu plemiennego kolektywu z małej wioski gdzieś w Burkina Faso. Nie słucham i nie zamierzam.

Mając beaty Alchemista i Just Blaze'a wybieram: Just Blaze'a.

Mając beaty Pete Rocka i Premiera wybieram: Żadnego nie wybieram.

Mając beaty Hi-Teka i Kanye Westa wybieram: Hi-Teka. Kanye jest mega z dupy.

Nigdy nie zrobiłbym beatu dla: Akurat jestem już chyba na tyle dorosły, że w tym momencie to już jest kwestia tylko i wyłącznie pieniędzy... Aczkolwiek nie do końca. Mam paru faworytów w naszym pięknym kraju, których bym wystrzelił w kosmos, co można przełożyć na to, że nie zrobiłbym dla nich muzyki.

(flint)

PS. Tejot Brown – dzięki za konsultacje.



HOBBY:



Emil Blef

O jednym ze swoich zainteresowań, komiksie, mówi Emil Blef, raper z duetu Flexxip, który dzięki darowi lirycznej obserwacji, konceptom i osobowości dał radę dorównać partnerowi w bojach, Mesowi, co nie jest łatwe.

„Jak byłem mały, bardzo nie lubiłem czytać książek i wszystkie lektury to był dla mnie duży problem, jakieś „Kubusie Puchatki" i tak dalej. Słyszałem tylko: „Emil, marsz do pokoju, czytać lektury!". A komiks był dużo łatwiejszą formułą, były obrazki, ale i czytanie chmurek stanowiło wtedy przyjemność. Komiksy działały na moją wyobraźnię, lubiłem oglądać bohaterów... Pewno nie miałem jej wtedy tak rozwiniętej, żeby z samych literek rysować sobie w głowie bohatera, więc rysownik mnie wyręczał. Po latach wróciłem do czytania. Nie wiem, czy komiks jest formułą do przekazywania wielkich intelektualnych treści. Oczywiście warstwę z przekazem można ukryć w inny sposób, ale ja po takie rzeczy nie sięgam. Mnie przyciąga przede wszystkim rysunek. Są kreski, które mnie denerwują i odstraszają, a są takie, że dobrze mi się to czyta. Mam wrażenie, że w wypadku „intelektualnych" komisów rysunki odstają. Ważniejsza jest treść, a formę się odrąca.

Wróciłem do czytania, bo wróciły wydawnictwa – Superman, Batman... Kiedyś bardzo nie lubiłem X-menów, teraz jednak wróciłem, bardziej zacząłem rozumieć ideologię opartą na tym, że jedna grupa mutantów pragnie pozyskać dla siebie świat, druga zaś dogadać się z ludźmi. Czytam komiksy superbohaterskie, ale najbardziej lubię Punishera dlatego, że jest normalnym człowiekiem. Superman nie wie, na ile go stać. W przypadku Punishera znasz jego ograniczenia i bardziej odczuwasz napięcie, bo jeśli ma pięciu przeciwników, to sobie poradzi, ale z dwudziestoma może mieć problem. A Superman choćby to było stu super-wojowników czy jeden największy twardziel wszechświata i tak zawsze może wygrać. Poza tym nie wiem, czy to, że zakłada okulary i garnitur, zmieniłoby go na tyle, żeby ludzie przestali go poznawać. Trochę jest w tym naiwności, dlatego wybieram Punishera. I Thorgala.... Cały czas przed snem czytam Thorgale. Była w nich długa, pięcioletnia przerwa. Siostra przyniosła „Piętno wygnańców" i po przeczytaniu go, czując te pięć lat różnicy, w których nic się nie działo, mam zawsze trzy dni nostalgii i powrotu do dzieciństwa. Thorgale mnie relaksują, kiedy mam zły dzień, czytam przygody człowieka, który zawsze staje w obronie swoich bliskich, jest bardzo dobry i strzela z łuku jak mistrz.

Ostatnio, jadąc z Pelsonem na koncert pociągiem, gadaliśmy sobie na temat Klossa i tak dalej. W PRL-u było takich wydawnictw dużo, wprowadzano bardzo złe tytuły z wątkami patriotycznymi – o polskich śmigłowcach itd. Teraz wracają, mam nadzieję, że będzie ich więcej. Choć ja jestem raczej połowicznym kolekcjonerem. Mam wszystkie części Thorgala, z tymi które wychodziły w latach 80. Nie mam wersji najnowszych i bardzo mnie zdenerwowało to, że Thorgal został na nowo wydany. Kiedyś, jak ktoś czytał Thorgala, wiadomo było, z kim masz do czynienia. Teraz może kupić to każdy. A ja mam komiks, który musiał czytać mi ojciec, bo jeszcze nie umiałem czytać. Pierwszy, jaki wyszedł. Rozpada się, jest stary. to rarytas. Mam wszystkie Asterixy i Obelixy, początkowe części Punishera – kiedyś dowiadywałem się o wartość takich komiksów i jest żałosna, ale warto to mieć. Wybieram parę tytułów i dbam o to, żeby mieć serię".

tekst Flint (CS), foto Cess

HIP-HOP W PIGUŁCE

czyli o czym każdy słuchacz wiedzieć powinien...
Część 1 – zapomniani



Digable Planets

Jedna z pierwszych grup tak odważnie eksperymentujących z rapem, stawiająca w swej muzyce na świeżość, eklektyzm i hybrydę z jazzem, soulem oraz brzmieniami etnicznymi. Trio w składzie Ladybug, Butterfly i Doodlebug (dołączył do zespołu najpóźniej) zadebiutowało na przełomie 1992 i 1993 r. singlem „Rebirth of Slick (Cool Like Dat)", który błyskawicznie podbił listy przebojów i stał się wielkim przebojem przede wszystkim wśród młodzieży studenckiej. Wydany jesienią 1993 r. pierwszy pełny krążek zespołu „Reachin' (A New Refutation of Time and Space)" zachwycił i recenzentów i słuchaczy, którzy kupili go w bardzo dużym nakładzie. Pełne ciekawej tematyki, afro-centrycznych i społecznych przesłań teksty znamionowały ogromną wrażliwość i inteligencję twórców stojących w opozycji do trendów dominujących wówczas na rapowej scenie. Podtrzymaniem doskonałej passy Digable Planets było przyznanie triu nagrody Grammy za „Rebirth of Slick (Cool Like Dat)". Drugi album zespołu, „Blowout Comb", ukazał się rok po debiucie i ukazał słuchaczom ciut bardziej surowe, bliższe estetyce jazzowej brzmienie. Ukłonem w stronę hip-hopu były gościnne udziały Guru, Jeru The Damaja i Alu-Ry. Płyta, choć trudna w odbiorze, eklektyczna i wymagająca od odbiorców dużo uwagi, skupienia i wrażliwości, rozeszła się w setkach tysięcy egzemplarzy i zyskała nader entuzjastyczne recenzje. Do dziś dnia „Blowout Comb" uznaje się za jedną z najlepszych płyt łączących rap z jazzem. Niestety – na początku 1996 r., po długiej trasie koncertowej, w czasie której grupie towarzyszył jako dj sam King Britt, Digable Planets ogłosili zakończenie współpracy z racji braku porozumienia co do dalszej wizji twórczej. Wielką niespodzianką było ogłoszenie jesienią poprzedniego roku ponownego zejścia się tria, na razie zaowocowało to tylko koncertami, ale podobno grupa przymierza się do nagrania trzeciej płyty.

Dyskografia: „Reachin' (A New Refutation of Time and Space)"(1993, Pendulum), „Blowout Comb" (1994, Pendulum)



Da Bush Babees

Nagrywali z takimi tuzami jak De La Soul, Mos Def, Q-Tip, Ali Shaheed, Rahzel czy...Jermaine Dupri. Oryginalne brzmienie, unikalnie łączące klasyczny hip-hop z reggae, zawdzięczają swoim korzeniom. Żaden z trzech członków Bush Babees nie urodził się w Stanach. Y-Tee przyszedł na świat na Jamajce, Mister Man i Kaos pochodzą z Trynidadu. Zadebiutowali w 1994 płytą „Ambushed", na której znalazł się między innymi podziemny mega hit „We Run Things (It's Like Dat)". Uznanie fanów, innych artystów i dobre recenzje nie pozwoliły im jednak osiągnąć wymiernego sukcesu. To samo powtórzyło się przy drugim albumie, wydanym przez giganta Warner Brothers. Choć na „Gravity" znalazły się takie bangery jak „3MCs" czy „The Love Song" (niezapomniany gościnny udział nieznanego wówczas Mos Defa), płyta nie dotarła nawet do dwusetki Billboardu. Tym samym jeden z najlepszych albumów połowy lat 90. przepadł bez echa, a niebawem słuch o grupie zaginął. Tak – w rapie nie ma sprawiedliwości...

Dyskografia: „Ambushed" (1994, Reprise), „Gravity" (1996, Warner Brothers)



Camp Lo

Wydawałoby się, że wydanie tak genialnego debiutu jak „Uptown Saturday Night" (luty 1997) powinno zapewnić duetowi Camp Lo na zawsze miejsce w rapowej ekstraklasie. Tymczasem nic z tego. O raperach Geechie Suede i Sonnym Cheeba po raz pierwszy stało się głośno w 1996 r., po tym jak na ścieżce dźwiękowej do filmu „Great White Hype" znalazło się ich wspaniałe, czerpiące z soulu i jazzu nagranie „Coolie High". Była to przepustka do kontraktu z labelem Profile, w którym wydali wspomniany już debiutancki krążek. Pomocna dłoń m.in. Trugoya z De La Soul i mającego za sobą współpracę z Jayem-Z czy Bahamadią producenta Ski sprawiła, że okraszone jednym z najlepszych w historii hip-hopu singli („Luchini AKA This Is It") wydawnictwo dotarło do 27. miejsca Billboardu i zapisało się na stałe w annałach rapu. Nie wiedzieć czemu po wydaniu tego klasyka Camp Lo przez długie pięć lat milczeli, by powrócić dużo słabszą, w niczym nie przypominającą debiutu płytą „Let's Do It Again". Wydali album i znów zniknęli...

Dyskografia: „Uptown Saturday Night" (1997, Profile), „Let's Do It Again" (2002, Dymond Crook)



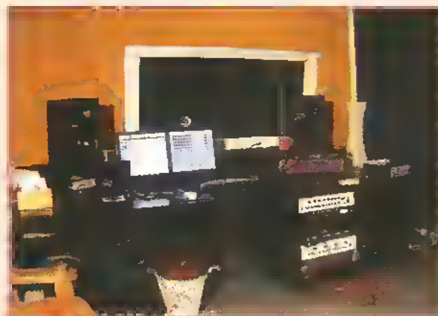
Craig Mack

Terminował na początku u boku EPMD, ale prawdziwe wejście na scenę hip-hopową zawdzięcza Puff Daddy'emu. Craig Mack to bowiem – obok Notoriousa B. I. G. – najlepszy emce, jakiego Sean Combs odnalazł i nakłonił do wstąpienia w szeregi Bad Boy Rec. Zadebiutował w 1992 r. w remiksie nagrania Mary J. Blige, a w 1994 wydał płytę „Project: Funk da World". Album cholernie równy, stojący na dobrym poziomie, zarówno pod względem rymów jak i muzyki, ale zapamiętany tylko z racji jednego kawałka. W zasadzie nie tyle jego oryginalnej albumowej wersji, co remiksowi będącemu jednym z najlepszych posse-cuts w historii rapu. Chodzi oczywiście o „Flava In Ya Ear", gdzie obok Craig Macka pojawili się Notorious B. I. G., Rampage, Busta Rhymes i LL Cool J. Wielki sukces tego numeru okazał się już na zawsze zmorą rapera, bo tak naprawdę mało kto pamięta, że zarówno wspomniane „Project: Funk da World", jak i wydane trzy lata później „Operation: Get Down", nad którym pieczę producenta wykonawczego sprawował sam Eric B., były bardzo udanymi materiałami. Nie wiadomo, czy Craig Mack był zmęczony, czuł się niedoceniony, czy też było mu przykro. Koniec końców pożegnał się z rapem na długie lata, wrócił na moment w 2002 r., odrzucił propozycję powrotu do Bad Boy i znów zniknął. Happy endu nie ma.

Dyskografia: „Project: Funk da World" (1994, Bad Boy), „Operation: Get Down" (1997, Street Life)

Andrzej Cała

PO STUDIACH: WJ



Historia:

„W 2002 r. chłopaki założyli Wielkie Joł i usilnie szukali miejscówki, gdzie by się można zaczepić. Tak naprawdę niesamowitym zrządzeniem losu udało się znaleźć fantastyczną lokację na ulicy Dominikańskiej 9, niedaleko słynnego muru przy kościele Dominikanów, chyba pierwszej legalnej ściany graffiti w Warszawie. To tu Tede sprzedawał pierwszą demówkę 3H – „WuWuA". A po latach znalazło się studio, które wydzierżawiliśmy po firmie Da Vinci. Wcześniej była tu firma zajmująca się np. castingiem do „Młodych Wilków". Ładnie się urządziliśmy, zmieniliśmy kolorystykę, przeznaczenie pomieszczeń i kręci się zdecydowanie ładniej. Są nawet zdjęcia, kiedy razem z Bartkiem Królikiem od Sistars malowaliśmy ściany. Wszystko było przygotowane, później montowano wygłuszenia wszędzie oprócz dużej sali, gdzie już były. Udźwiękowiano tam niegdyś filmy, np. „Operację Samum". Teraz studio służy nam i oby służyło jak najdłużej. Przede wszystkim to wymarzona lokacja – w centrum, ale jest ustronnie, ciężko do nas trafić, jesteśmy zasłonięci. To daje komfort i spokój" – opowiada Jakuza.



Sprzęt:

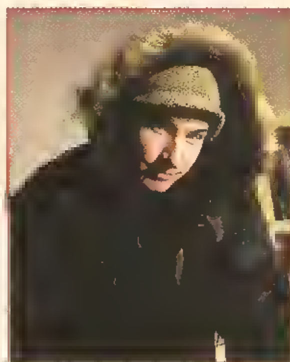
O kompletowany przez Ostasza, DJ'a Zero i Bartka Królikowskiego sprzęt pytamy realizatora dźwięku Młodego Grzecha. „Zaczniemy od początku, czyli od mikrofonów. Mamy dwa mikrofony pojemnościowe Rhode, jeden lampowy - NTV, drugi tranzystorowy - NT-1000. Dalej mikrofoniki do perkusji. Do stopy standardowo SM-57, są też takie do „overheadów", ale je zastępuję się pojemnościówkami, jak każdy, kto się interesuje, wie. Wjeżdżamy z mikrofonami do preampów. Sercem jest Millenia STT-1, zajebisty preamp z equalizerem parametrycznym, kompresor, De-seer. Korzystamy z pomocniczych preampów TL Audio 5051 Ivory 2, jest też preampik czterokanałowy TL Audio 5001 bez korekcji i słuchawkowy Samsone S-Phone. Wjeżdżamy z tym do Motu 828 MK2, czyli interface'u audio midi (jaram się). Z niego wjeżdżamy do komputera – to jest PC z Windowsem XP, ale nawet rzadko się zawiesza. Athlon 1,8 GHz, 512 MB ramu. Kończy się to wszystko na konwersji na Apogee AD 8000. Wychodzimy na monitory Mackie HR 824. Warto wspomnieć o sali prób, w której można nagrać niewielki chór gospel, jest komfortowo jeśli chodzi np. o wielośladowe ujęcia perkusji. Ale zasadniczo chwalimy się Apogee, Millenią i Rhodem NTV (na zdjęciu)."

Goście:

Oprócz wszystkich artystów Wielkiego Joł, co jest oczywiste, Jakuza wymienia listę osób nagrywających w studiu: „Fu, Monika Brodka (spot reklamowy do RMF), Wall-E, profesjonalni lektorzy, ekipa emitowanego na TVN „Mamy Cię". Udźwiękowialiśmy „12 ławek", był więc Ricodeh, Natural Dread Killaz. Z wizytą wpadł Guru, Lil Dap. Obecnie zamykana jest płyta WSZ i CNE, eksperymentuje Bauagan Mistrzów, dociera się Synergie. zespół acidjazzowy z Katowic. Płyta Tedego jest w trakcie tworzenia, w całości będzie na beatach Mateo".

tekst Flint, foto Cess

WAKACYJNE WSPOMINKI



Dizkret

Raper znany z działalności w ramach Starego Miasta, autor albumu „IQ" w duecie z Praktikiem, obecnie pracujący nad projektem Dizkret & The Headnods

Najmilej wspominam różnego rodzaju obozy, a także towarzyszące im miłości. Nie będę się tu ujawniał, bo w końcu jeszcze niewiele czasu minęło (jestem wciąż młodym człowiekiem), ale wszystko rozgrywało się na dyskotekach w stylu „Coco Jumbo". Leciały dobre hity jak „Music Instructor" czy „Mr. Vain". Ale wszystko rozgrywało się przy klasyku „Nothing Else Matters" Metalliki. Tam co odważniejsi prosili najfajniejsze niewiasty obozu do tańca. Ja przez 3 lata pod rząd wstydziłem się poprosić jedną z nich, ponieważ jestem raczej nieśmiałym typem poety.



Jakuza

Obecnie Public & Media Relations Manager w Wielkim Joł, znany też z działalności dziennikarskiej i np. sędziowania na WBW

Wakacje to fajny okres. Z jednej strony zajebisty upał i smażony asfalt w miejskim labiryncie, a z drugiej strony ciepłe i długie wieczory, piwko w parku, generalnie pełny luz. Lecz czym jest to bez muzyki? Ja mam na to swój sposób. Pamiętam jak nieraz wychodziłem do parku bródnowskiego z moim zajebistym oldschoolowym boomboxem marki UNITRA Condor na ramieniu. Człowieku, dziesięć baterii R20, takich grubych. Razem z bateriami waży osiem i pół kilograma. W głośnikach, oczywiście odtwarzane z kasety, stare dobre hity. Kool Moe Dee, Kurtis Blow, Grandmaster Flash. Kiedyś, gdy mijali mnie jacyś starsi ludzie, przypomnieli sobie stare czasy i skwitowali to stwierdzeniem „ojj, kiedyś się tak radia nosiło". Podobno muzyka łagodzi obyczaje.

Groh

Współzałożyciel pierwszej polskiej wytwórni wydającej jedynie płyty winylowe – JuNouMi Records

Dla mnie najlepsze wakacje to takie, kiedy zupełnie zapominasz o codziennych problemach, miejsce nie jest ważne, towarzystwo owszem. Cały rok czekam na takie chwile zapomnienia, których z roku na rok jest niestety mniej, ale cóż – młodość nie wieczność. Życzę udanych wakacji!

puenta

ocaleni z tłumu



Puenta to fuzja trzech mc z Lubina i Świebodzic oraz producent i DJ w jednym. Dynamiczny, szybki rap wymagający wielu przesłuchań, by wyłapać wszystkie jego smaczki i może nieco zbliżony w brzmieniu do Trzeciego Wymiaru, choć panowie protestują, zrzucając to na karb akcentowania w regionie i mówiąc, że przecież nie przyspieszają. Brudne, mocne, klasyczne, „czarne" beaty, opatrzone błyskotliwymi cutami. Na naszym cover cd macie w mp3 ich album „Rodział zamknięty", efekt półrocznej pracy. Poniżej przeczytacie zaś wywiad

pytał Flintstone (CS)

„Rozdział zamknięty" to nieco zaskakujący tytuł jak na płytę zespołu dopiero przebijającego się do świadomości publiczności. Który rozdział jest więc zamknięty?

Primo: Ja zamknąłem rozdział pewnej nieświadomości. Wiem już dzisiaj, że chcę robić muzykę, ale w sposób profesjonalny i do tego też potrzebowałem ludzi myślących podobnie!

Łasuch: Ta płyta jest dla nas zamknięciem pewnego rozdziału związanego z muzyką. Przez ostatni rok dużo się zmieniło w naszym podejściu i pojmowaniu pewnych kwestii. Rap nie jest już dla nas zabawą, odskocznią od szarej, przygnębiającej rzeczywistości – jest czymś więcej! „Rozdział Zamknięty" to album głównie poświęcony wątkom muzycznym. Wydaje mi się, że taka płyta była nam potrzebna, aby nabrać świadomości i profesjonalnego podejścia do tego, co robimy.

Ściecha: Zaczęliśmy się bardziej skupiać na tekstach, porównaniach, technice – robiąc płytę oscylującą mocno w tematyce dotyczącej samego hip-hopu. Jeżeli ktoś słuchał poprzednich produkcji, a później dostał do rąk Puentę, wie, jak zmieniło się oblicze nas jako mc. Przez parę wcześniejszych płyt brnęliśmy w bardziej refleksyjne brzmienia, prostsze, ale mające swój urok. Puenta jest końcem tamtych chłopaków, a zarazem ich początkiem na nowej drodze rapu.

Jestem ciekaw, jak powstawały kawałki na płytę. Mieliście wiele przeszkód – Łasuch jest ze Świebodzic, reszta zespołu z Lubina. Część z Was uczy się, ma dziewczyny, pewno i pracuje. Dodatkowo wiem, że Creon dysponuje bardzo skromnym sprzętem...

Creon: I tak jest dużo lepiej niż np. trzy lata temu. Wtedy tak naprawdę nie miałem nic poza zdezelowanym pecetem i sprzętem audio, którego świetność skończyła się parę lat przed tym, zanim zacząłem z niego korzystać. Dzięki wytrwałości i pomocy ludzi, którzy docenili moją pracę, dziś wygląda to dużo lepiej, ale mnie nie zaspokaja.

Primo: Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Łasuch wytrwale dojeżdżał, pracowaliśmy po kilka godzin dziennie, odcięci od świata, siedząc u mnie w piwnicy w studio. Nagrywając Puentę, oddawałem się tylko muzyce. Z poprzednią dziewczyną zerwałem, a szkoła jako tako mi służy, gdyż studiuję dziennikarstwo i nie sprawia mi problemu połączenie tych dwóch aspektów.

Skoro mowa o Creonie, odciska on piętno na bardzo wielu produkcjach z Waszych okolic. Coś jak Tabb w Poznaniu czy Kociołek w Warszawie. Pojawiał się na nielegalnych produkcjach, współpracował z Aro, choć to zdaje się już skończony epizod, współpracował z Trzecim Wymiarem. Mocno eksploatowany talent. Opowiedzcie, jak zwerbowaliście go do zespołu.

Łasuch: Jeżeli chodzi o Aro, to – jak sam trafnie to sformułowałeś – skończony epizod, rozdział zamknięty (śmiech), także bez komentarza!

Creon: Mnie nikt nie zwerbował do zespołu, z Primem i Ściechą trzymam się praktycznie od początku, nagraliśmy razem trzy dema! Łasuch doszedł trochę później – po tym, jak debiutował na mojej pierwszej producenckiej płycie.

Łasuch: W międzyczasie, gdy Przemek kleił bity na swoją „Produkcję", ja cały czas pracowałem nad solową pozycją. Creon zgodził się być producentem odpowiedzialnym za całą oprawę muzyczną – tak powstał mój solowy krążek. Nie wracajmy jednak do przeszłości, liczy się przyszłość. Mamy wspólny cel: robić muzykę najlepiej, jak tylko potrafimy. To wszystko!!!

Primo: Mamy świadomość, że Creon to czołówka producentów przynajmniej na Dolnym Śląsku. Od zawsze powtarzam, że to dla mnie zaszczyt rymować do jego bitów. Nie wiem, czy lubi jakieś porównania – ja ich nie lubię. Szanuję Przemka – dla mnie jest on kumplem z osiedla, z którym robienie muzyki sprawia mi przyjemność. Muzyka jest dla nas najważniejsza, bo nas połączyła jakieś 4 lata temu, kiedy to mieliśmy okazję się poznać – naprawdę nikt nas nie werbował – odnaleźliśmy się sami!!!

Ściecha: Creon to rzeźnik, mówi się tu, że ma „najszybsze ręce w mieście". Już na starym Hitachi robił takie skrecze, że wielu dj'ów mających klasowy sprzęt wprawiał w zachwyt, jednocześnie wzbudzając respekt. Primo był szefem i parę razy mi się oberwało, za niestawianie się na spotkania, ale raczej się nie kłóciliśmy. Na poprzednich produkcjach, były większe jazdy.

Primo: Nigdy nie byłem szefem, „to jest ekipa bez lidera" (śmiech), a obrywało ci się za niesłowność.

Krytykujecie konwersję rapu w nieco bezduszny, pozbawiony klasy przemysł. Tego chyba jednak nie da się uniknąć. Nawiązując do tytułu Waszego kawałka – na której półce „Rap marketów" się widzicie?

Primo: Ja sprzeciwiam się tej ogólnopojętej generalizacji i temu, że media próbują wszystko wrzucić do jednego wora, nazywając to rapem. Robię muzykę dla siebie, chciałbym żeby trafiała do odbiorców „tematycznych", dla których tylko wielokrotne jej przesłuchanie ukaże jej prawdziwą wartość. Przyznam się, że wolę być zaszufladkowany niż nieokreślony, więc wybieram półkę pełną nawiązań do prawdziwej szkoły rapu.

Łasuch: Nie widzę się na żadnej półce w „Rap markecie"! Zawsze chciałem robić muzykę dla określonej grupy ludzi. Wolę, ażeby naszą płytą zainteresował się ktoś, kto wie, o co chodzi w tym wszystkim. Prawdę mówiąc, nie zależy mi na słuchaczach, którzy od wczoraj zajarali się rapem. Jeżeli miałbym kiedyś znaleźć się na jakiejkolwiek półce, to jednak wolałbym kameralny sklep muzyczny bądź skateshop, do którego wpada ktoś, kto wie, po co tu przyszedł, a nie ktoś, kto akurat był na zakupach w markecie i przypadkowo trafił właśnie na naszą płytę!

Creon: Ja widzę się na półce między rzodkiewką a selerem (śmiech). Jeżeli miałbym się widzieć na jakiejś półce, to byłaby to półka z prawdziwym rapem. Nie chciałbym znaleźć się między płytami, które zawierają piosenki o zabarwieniu hip-hopowym, a tak naprawdę z hip-hopem nie mają nic wspólnego!

Ściecha: „Rap markety" to określenie tego popędu na rap, tej żądzy wydawania beznadziejnych płyt. To jest, kurwa, właśnie chore, pomijając już to, co się dzieje w czasopismach, radiu, dyskotekach, bo to widzą wszyscy. Rap markety zaczynają się już w głowach młodych „zajawkowiczów", którzy tak naprawdę wiedzą o tym tyle, co maszynista o balecie, a dopiero dalsza część to działania tych, których nie obchodzi przyszłość tej kultury, a jedynie zysk tu i teraz: „potrzebują nas jak seksu nimfomanka i chuj ich obchodzi, co my piszemy na kartkach". Puentując to, jeżeli wyląduję kiedyś na półce, to z dala od weselnej biesiady, przeterminowanych rockandrollowców i kolorowych składanek upalnego lata, tam gdzie zostanie jeszcze paru takich, którzy bez biznesplanu nie na siłę będą tworzyć dobry, prawdziwy hip-hop. Na razie jednak moim produkcjom dobrze jest u mnie w domu i w odtwarzaczach ludzi, którzy szczerze się nimi jarają.

Słyszałem, że pracujecie teraz nad solówkami, zaś Creon bierze się za płytę producencką. Po pierwsze, czy każdy z Was czuje się gotowy wziąć tyle na swoje barki. Po drugie, zdradźcie trochę detali.

Creon: Czuję się na siłach zrobienia płyty producenckiej dlatego, że jedną mam już za sobą. Co do jej szczegółów, mam w planie zaprosić raperów prezentujących w moim mniemaniu konkretny poziom. Chciałbym także współpracować z ludźmi, z którymi nie miałem okazji współpracować wcześniej. Założeniem produkcji ma być przypomnienie zapomnianego ostatnimi czasy klasycznego brzmienia, prezentowanego w Stanach w latach 95-98.

Łasuch: Jeżeli chodzi o jakieś przyszłe projekty, mamy z Primem zamiar nagrać coś w duecie – oczywiście na bitach Creona. Na razie jednak nie będziemy nic na ten temat mówić.

Ściecha: Ja obecnie studiuję we Wrocławiu, trochę zmądrzałem i mam ogromne ciśnienie, żeby nagrywać. Moja solowa płyta tak naprawdę tekstowo mogłaby być skończona, ale ciągle mam jakieś nowe patenty, które chciałbym wykorzystać. Teraz muszę jeszcze przebrnąć przez sesję. A na wakacjach zmelanżuję się, wyluzuję i dokończę dzieła w studio. Jeżeli stwierdzę, że jest to dobre, to puszczę w Polskę, jeżeli coś mi nie będzie pasować, zostawię to dla znajomych i znowu coś nagram. Przez ostatni czas stałem się dosyć samokrytyczny, więc zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Primo: Jeśli chodzi o mnie, przyznam się, że pracuję nad domowym projektem, o którym powiem więcej, jak powstanie coś sensownego. Zrozumiałem, że zbyt długi rozbrat z kartką i długopisem po prostu mi nie służy. Z Łasuchem i Creonem w tej chwili stoimy w miejscu z nowym materiałem, jednak współpraca z nimi jest dla mnie sprawą pierwszoplanową.

Na zdjęciach: 1. Ściecha, 2. Creon, 3. Primo, 4. Łasuch

Wojtas tak zostanie

Wojtas – jeden z tworzących fundamenty rapu w legendarnym Wzgórzu Ya-Pa-3, który wrócił ostatnio sympatyczną, niesprawiedliwie trochę pozbawioną rozgłosu płytą „Moja gra". Bardzo naturalny, spontaniczny rozmówca, z którym zrobiliśmy nostalgiczny i przez naświetlanie paradoksów naszej sceny pesymistyczny nieco wywiad

tekst Flint (CS)



Sam wspominałeś, że młodzi mc mają w tekstach tajerwerki techniczne i coraz bardziej skomplikowany przekaz. Nie obawiasz się, że twój prosty styl to może być dla odbiorców za mało? Oczekiwania wzrosły...
Słuchaj, niestety ja mam taki styl i nie chcę go zmieniać. Jest dla mnie najlepszy, bo w prosty sposób mogę przekazać ludziom to, co mam do powiedzenia. Nie jara mnie specjalnie techniczne, kurwa, świrowanie. Jest to fajne, ale mój styl jest taki, jaki jest. Nie wiem, jak to inni odbierają, ale tak będę to robił.
Nagrałeś udaną płytę, ale jakoś o niej cicho. Jesteś zadowolony z oddźwięku?
Jestem zadowolony z kilku recenzji, które ukazały się w mediach, chociaż było ich niewiele. Jestem zadowolony z opinii moich znajomych, kolegów, koleżanek. Podoba im się, mówią, że to jedna z najlepszych płyt, jakie udało mi się zrobić. To mnie cieszy. Z promocją wyszło niestety tak, że jest słabo. Postaram się to jakoś nadrobić, bo we wtorek skręciłem dwa teledyski – do „Pozmieniało się" i nagranego gościnnie z Fusznikiem „Bez tego nie ma mnie". Teraz będę chciał pokazać je ludziom w telewizji. Mam nadzieję, że będzie to dalej promowane. Dobieram taką muzykę, która pasowałaby do mojego rapu. Będę to robił do czasu, kiedy będę czuł, że to mi się podoba i jest dobre.
Właśnie. Na „Mojej grze" zebrałeś niemal praktycznie całą producencką rap-czołówkę i kilku weteranów rapu na mikrofonach. To często niesamowicie zajęci ludzie. Było trudno ich zmobilizować?
Miałem szczęście, bo udało mi się dobrać takie beaty, które naprawdę mi pasowały od wielu producentów w Polsce. Byłem zaszokowany, niektórzy z nich dali mi beaty za darmo, z szacunku do tego, co zrobiłem na początku i co wciąż dla polskiego hh robię. Problemów nie było zupełnie, wszyscy zgodzili się, by wysłać mi kilka próbek. Powybierałem je, a potem chciałem pokazać na płycie i zrobić dobre kawałki.
A jak rozwiązaliście technicznie kwestię nagrywek? Ludzie przyjeżdżali do Kielc? Słali wokale Internetem?
Nie, nie, nie! Nie używam żadnych elektronicznych rzeczy. Albo ktoś mi wysyłał przesyłkę, albo wsiadałem w samochód i jechałem bezpośrednio do producenta.
Wykonałeś plan i masz na płycie wszystkich, których chciałeś mieć?
Na tej płycie chciałem umieścić kilku gości, resztę kawałków pozostawić zaś jako solowe, bo w końcu jest to płyta solowa. To moje kawałki powinny robić zamieszanie. Mam nadzieję, że na następnej płycie pojawią się kolejni goście, z którymi zawsze chciałem zrobić kawałek i mam nadzieję, że zrobię.
Trudno było przestawić się na pisanie samemu po tylu latach ze Wzgórzem? Miałeś znacznie więcej na głowie...
I znacznie większą kontrolę. Faktycznie, było ciężej, bo to jak pisanie tekstów razy trzy. Zawsze pisaliśmy po zwrotce. Pracowałem nad płytą dwa lata, wybrałem najtajniejsze zwrotki, nagrałem takie kawałki, jakie w danym czasie miałem potrzebę zrobić.
W „Zdecydowanym" opowiadasz ciekawe historie – o parze, którą rodzice usiłowali namówić na aborcję, o typie, który w ostatniej chwili zrezygnował ze skoku. To oparte na kieleckiej rzeczywistości czy na wyobraźni?
To faktyczne jazdy, które się zdarzyły, o których słyszałem. Lubię tak anonimowo przedstawiać sytuację ludzi, których znam.
I nie obawiasz się, że mogą mieć pretensje?
Wszystko jest tak ujęte, że nie. Chyba, że ktoś przez całe życie czuje się dissowanym i wkręci sobie jazdę. A ja nikogo nie dissuję, opowiadam prawdziwe historie zawsze obecne w moich tekstach. Pisałem je już wcześniej. Nie wiem, czy pamiętasz kawałek „Ostrzeżenie". Tam jest sporo fajnych historii...
Pamiętam, jak byliśmy ostatnio w Kielcach. Pęku jadł u Ciebie w domu zupę, z Borixonem umawialiście się zdaje się na kulig. Strasznie spokojnie i rodzinnie sobie żyjecie...
Tak, spokojnie... Jesteśmy w takim wieku, że należy nam się trochę spokoju. Wyszaleliśmy się w młodości. Teraz mamy swoje rodziny, dzieci, spotykamy się razem. Robimy grille, robimy imprezę. Normalnie, jak nasi rówieśnicy.
Jak się spotykacie, to mówicie o kwestiach bieżących, czy raczej wspominacie dawne czasy i początki rapu?
Wszystko naraz, człowieku. Opowiadamy o tym, co teraz, ale i wracamy do fajnych wspomnień. Przez to i klimat jest fajny.
Ale nie żyjecie przeszłością?
Wiesz co? Nie. Robimy wszystko do przodu. Wszystko się zmienia.
A masz jeszcze czas i ochotę, by buszować po Kielcach nocą, tak jak w utworze?
Tak. Zdarzyło mi się to dwa dni temu.
Dobrze było?
Oooo, tak! Bardzo dobrze!
Wiem, że niczego nie żałujesz, ale powiedz szczerze – opłaciła się dekada w rapie? Grasz tyle koncertów, żeby się utrzymać?
Myślałem o tym ostatnio i myślę o tym często, bo sytuacja mnie dziwi. Wydałem płytę, która kosztowała dwa lata pracy, słyszę, że się podoba, staram się ogarniać promocję. W tym momencie mam zaplanowane zaledwie dwa koncerty, po których nie mam już żadnego. Finansowa sytuacja jest kiepska, przez te całe dziesięć lat jest, że tak powiem, lipnie. Powiedziałem sobie, że nie można się przejmować. Robię tę muzykę, lubię ją robić, może nie jest akurat na topie, ale warto to robić choćby dla siebie. Jeżeli są pieniądze do zgarnięcia, jeżeli są przeznaczone dla mnie, wiadomo... Zabieram je do portfela. Nie jest jakoś specjalnie, mam nadzieję, że to się zmieni. Tak czy inaczej, ja planuję następne kawałki. Wiem, że je zrobię.
Jesteś zarejestrowany w ZAiKS-ie? Dostajesz pieniądze za to, że Twoje utwory pojawiają się w mediach?
Tak. Część kawałków z sześciu płyt, które nagrałem, jest w ZAiKS-ie zarejestrowana. Niestety, większej części nie mogliśmy zarejestrować, bo z firmami było coś nie tak, nie miały załatwione do końca biurokratycznych spraw. Nie jest tego za wiele.
Przy okazji „Road hip-hop 2005" miała miejsce historyczna chwila, znowu współpracowaliście z Liroyem. Jaka panowała atmosfera i jak odebraliście się nawzajem po tylu latach?
Przyjechałem do studia do Mazsy z Borixonem i spotkałem tam Liroya, który już dograł swoją zwrotkę. Spotkaliśmy się, można powiedzieć, po latach. Zaczęliśmy wspominać pewne rzeczy, razem zagrane koncerty. Liroy zaczął częściej przyjeżdżać do Kielc, kontaktować się. Czasami się spotykamy na rodzinnym grillu. Częściej są ku temu okazje. Mamy kawałek, jestem zadowolony. Następny planujemy na 2015 r., bo robimy kawałki co dziesięć lat.
Fajny pomysł. Opowiedz o głośnej ostatnio kieleckiej formacji LWWL. Wiem, że zaangażowany jest w nią np. Borixon, ale Ty, zdaje się, działasz na własną rękę?
Tak, ale jakby nie było, też reprezentuję styl LWWL. Pozdrawiam cały skład – Projekt Hamas, wszystkich wariatów i całą Stonkę.
A czym jest właściwie LWWL? To coś więcej niż zespół...
To grupa ludzi, którzy razem imprezują, jeżdżą na wyjazdy i spotykają się co jakiś czas. Robią imprezy, koncerty...
Patrząc trzeźwym okiem weterana – co w rozwoju naszego rapu Ci się podoba, a co niekoniecznie?
Podoba mi się to, że oprócz mnie jest jeszcze kilku, jak to pięknie ująłeś, weteranów (śmiech). Nadal nagrywają rap, widzę, że robią dobre kawałki. Stare zespoły wciąż potrafią nagrywać dobre płyty. Smuci mnie zaś moda wśród młodzieży na zespoły sam wiesz jakie. Ja to nazywam pizdowaty rap.
Nie jarasz się rapem pizdowatym, jarasz za to oldschoolowym. Nieprzypadkowo uderzasz na płycie w ten klimat. Co ze starych dobrych kapet z zachodu poleciłbyś ludziom słuchającym rapu do niedawna?
Poleciłbym płytę Public Enemy „Yo! Bum Rush The Show", poleciłbym N. W. A. „Niggaz4life", poleciłbym Pete Rocka, Slick Ricka, pierwsze płyty Redmana, Cypress Hill, House of Pain, Funkdoobiest. Przede wszystkim, chciałbym, by młodzież wczuła się w klimat starego rapu – Grandmaster Flash, Kurtis Blow, Rocksteady Crew. Żeby zobaczyli breakdance, poczuli zajawkę od początku i zrozumieli, że rap nie zaczął się od 2001 r., tylko wtedy, kiedy ich jeszcze na świecie nie było.
I tego wszyscy możemy sobie życzyć. Dzięki.



kaliber 44
comeback?

Historia Kalibra 44 ma momenty wielkie: premiera pierwszej i drugiej płyty, powiew świeżości na scenie, olbrzymia popularność, ogromna ilość sprzedanych albumów, mnóstwo koncertów. Ma też momenty niespodziewane, które znacząco zmieniły bieg wydarzeń i, wydaje się, nieco zakłóciły rozwój ich kariery

tekst Keb (Czyste Słowa)
rysunek Marek Oleksicki

Pierwszym z nich było niewątpliwie odejście Ś. P. Magika po premierze drugiej płyty. Drugim – wyjazd Joki do USA. „Wiedziałem, co to oznacza dla zespołu" – mówi raper, pytany o tę sprawę. „Ale czasem tak jest, że potrzeba przerwy, jakiegoś odpoczynku" – dodaje. Nie było go długo. Wystarczająco długo, by spowodować zastój we wspólnej działalności formacji, która po premierze trzeciej płyty, nagrywanej po części już bez udziału Joki, osiągnęła w Polsce szczyt popularności. Joki nie było, Dab działał solo, ale marka „Kaliber 44" w żaden sposób nie przeminęła. Nieprzypadkowo wydawca „Czerwonego Albumu", pierwszej płyty Daba, zdecydował się umieścić ten napis na samej górze okładki („To wygląda tak, jakby Kaliber wydał płytę pod tytułem Abradab" – śmieje się raper). Nieprzypadkowo też organizatorzy koncertów chcą mieć tę nazwę u siebie. Teraz, kiedy Joka wrócił, teoretycznie mają do tego prawo.

Pierwszy raz Joka wyjechał do USA na początku 2000 roku, akurat w momencie, kiedy Kaliber wchodził do studia, by zacząć realizację trzeciej płyty. Zdążył nagrać kilka zwrotek, po czym opuścił kraj, a Dab wieńczył dzieło samodzielnie, co wpłynęło na taki, a nie inny kształt „3: 44". Powody wyjazdu? „Lubię zmiany. Lubię, kiedy coś się wokół mnie dzieje. Nie chciałem ciągle siedzieć w jednym miejscu" – mówi raper. Zafascynował go Nowy Jork, znalazł tam pracę i swoje miejsce, zaczął żyć po amerykańsku. Nie odstawił jednak hip-hopu na bok. „Raperem jest się cały czas. Wszędzie się rozwijasz, poszerzasz horyzonty, czerpiesz inspirację z otoczenia. Nie było mnie na miejscu, ale nie przestałem pisać" – wspomina. Tymczasem Dab, poniekąd z przymusu, zaczął przygotowywać płytę solową. Ale tylko poniekąd, ponieważ taki plan miał już wcześniej, po wydaniu drugiego LP z Kalibrem. Trochę to oczywiście trwało, nie tylko dlatego, że został bez Joki. Poznał wówczas dziewczynę, swoją przyszłą żonę, która sporo w jego życiu pozmieniała („Przez rok, zakręcony mocno, jeździłem do niej" – wspomina). Na „Czerwony Album" czekaliśmy dokładnie cztery lata, ale warto było. Dab udowodnił, że nie zgubił formy, wręcz przeciwnie: rozwinął styl, a jednocześnie bardzo wzbogacił swoją muzykę, chociażby o elementy reggae. Nie ukrywa, że ten nurt zaszczepił mu Gutek, z którym zaczął od pewnego momentu regularnie współpracować. Zresztą dwa największe hity z „Czerwonego Albumu": „Miasto jest nasze" i „Rapowe ziarno 2 (szyderap)" to efekt współpracy z Gutkiem właśnie. Drugi z utworów telewizje muzyczne emitują do dziś, choć od premiery albumu minął prawie rok.

Joka spędził za oceanem łącznie 2.5 roku, wiodąc dość szczęśliwe życie rodzinne (tam urodziła mu się córka). Aż postanowił wrócić, gdyż, jak mówi, nigdy nie planował zostać w Ameryce na stałe. Od 2004 roku skład Kalibra 44 jest więc znowu pełny, czy jednak można mówić o reaktywacji zespołu? Nie do końca. Dab, po wydaniu pierwszej solowej płyty, z marszu zabrał się za następną i jej poświęca w tej chwili całą uwagę. „Swoich kawałków mam już kilka, wspólnego nie mamy ani jednego" – mówi. Joka też zamierza wydać solo, chociaż w przeciwieństwie do Daba jest dopiero we wstępnej fazie pracy. Myślą oczywiście o wspólnym albumie, ale to bardzo odległy plan. Sporo pozmieniało się w życiu prywatnym raperów. Obydwaj mają już swoje rodziny, a co za tym idzie – obowiązki. Poza tym mieszkają gdzie indziej: Joka w Katowicach, Dab w Krakowie. Czy uda się pokonać tę przeszkodę? Czas pokaże.

Na razie duet wspólnie koncertuje, a wspiera ich Gutek, który właściwie na dobre dołączył do składu (jest nieodłącznym partnerem Daba na scenie odkąd Joka wyjechał do USA). Nazwa „Kaliber 44" jest jednak trochę nieadekwatna do tego, co można obecnie usłyszeć podziwiając ich na żywo, show składa się bowiem w większości z solowych utworów Daba i materiału Indios Bravos śpiewanego przez Gutka. „Organizatorzy tego nie rozumieją" – mówi Dab. „Nalegają, by pisać na plakatach Kaliber 44, bo ta nazwa ich zdaniem przyciągnie ludzi. Od dawna mamy z tym problem, bo nawet, kiedy Joki nie było, oni chcieli mieć na plakacie nazwę zespołu. A nam zależy na wyszczególnieniu, kto występuje, żeby było jasne, czego można się spodziewać" – tłumaczy. To zresztą nie jedyny problem, jeśli chodzi o koncerty. Nierzadko zdarza się, że organizator imprezy promuje Kaliber jako jednego z wykonawców, przy czym nie informuje o tym samych zainteresowanych. „Czasem zupełnie przypadkowo dowiadujemy się, że gramy w jakimś mieście, chociaż nic o tym nie wiemy. Nie mamy innego wyjścia, jak dowiedzieć się, co to za impreza, skontaktować się z organizatorem i jakoś się dogadać, bo jeśli nie przyjedziemy, będzie na nas. Organizator nie wspomni, że nas nie poinformował. Powie wszystkim, że to my nie przyjechaliśmy" – wyjaśnia zespół. „Ostatnio przeczytaliśmy gdzieś w Internecie, że gramy w Radomiu, chociaż na ten dzień mieliśmy zaplanowany koncert zupełnie gdzie indziej. I trzeba było jakoś to pogodzić" – wspominają.

Popularność pokutuje, bo nie da się ukryć, że Kaliber 44 to pewna i sprawdzona marka, którą zespół wyrobił sobie przed laty, wydając kultowe płyty, jak się później okazało – kamienie milowe w rozwoju polskiego hip-hopu. Na czym polega fenomen K44? Nie da się ukryć – zawsze byli oryginalni. Debiutancka płyta z 1996 roku przyniosła psycho-rap, zupełną nowość na polskiej scenie muzycznej, bardzo odważny eksperyment. Nie mogła przejść bez echa. Drugi album to lżejsze bity i lżejszy, aczkolwiek w dalszym ciągu bardzo oryginalny, styl rymowania (to stamtąd pochodzą takie hity jak „Film" czy „Gruby czarny kot", których publiczność oczekuje na koncertach do dziś). „3:44" to natomiast głównie popis solowych umiejętności Daba, a także spory wkład DJ'ów: Barta i Feel-X'a, którzy stanowią ważny element zespołu, na pewno kluczowy, gdy mówimy o występach Kalibra 44 na żywo. Ostatnimi czasy koncertują bardzo często, warto więc wybrać się do klubu i posłuchać, co całe crew ma do zaprezentowania.

Niegdyś mówiło się o konflikcie między Kalibrem 44 a Warszawskim Deszczem, wynikającym z błędnej interpretacji cyfr „0: 22" przez warszawiaków. Jednak wspólny kawałek z Daba z TDF'em na „Czerwonym Albumie" przekreśla jakiekolwiek spekulacje na ten temat. „Nigdy nic do nikogo nie mieliśmy. Po co mamy kogokolwiek dissować? Im więcej słabych raperów, tym lepiej dla nas, bo będziemy się na ich tle wyróżniać. A im więcej dobrych, to też tym lepiej, bo to nas jeszcze bardziej motywuje" – tłumaczy zespół. „Nie wdajemy się w beefy. Żyj i pozwól żyć innym" – podsumowuje Kaliber.



poe

autostopem przez poe

Łodzianina O.S.T.R.-a i warszawiaka Emade znam z tego, że są w stanie tworzyć rzeczy zadziwiające. Zwiedzanie nowego mikroświata ich autorstwa, POE, jest daleką podróżą w nieznane. Patrzycie na nich, kiedy siedzą sobie za stołem i myślicie: „mili goście". Bzdura, to niebezpieczni twórcy. Ale ja jestem odważnym turystą. Pakuję plecak, w rękę biorę przewodnik. Uwaga, zamierzam zwiedzić ten świat dokładnie!

tekst Flinstone (CS)
foto Paweł Fabjański

Na początek „**Zielony Parlament**". Robi wrażenie. „Dość monumentalny, posępny, napawa niepokojem", czytam w przewodniku. Widać, że Emade lubi przestrzeń i rozmach, a O.S.T.R. sprowadza go na ziemię, nadając surowy, brutalny nieraz rys. Nie od dzisiaj też wiadomo, jak lubi zieleń. Jedna refleksja – jak to jest, że parlamenty zawsze są wystawne? Aż trudno się dziwić, że ludzie mówią: „Ukradnę, bo kradną wszyscy".

Napatrzyłem się. Tylko gdzie teraz iść. Do wyboru „**Wiele Dróg**". Abstrakcyjne skrzyżowanie wielu arterii. Emade przygotował taką nawierzchnię, że aż chce się rozwijać na niej szybkość. Nieściemniony Asfalt. Kawał dobrze ubitej, prostej autostrady i co jakiś czas coś ciekawego na poboczu, żeby się nie zamulić. Ale już dawałem się zwieść plątaninie uliczek O.S.T.R.-a. To perfidny twórca, a ja zawsze naiwnie wierzę, że gdzieś mnie zaprowadzi i szlak nie urwie się w połowie. „Wpadłeś w kleszcze, ja badam nawierzchnię..." Bardzo zabawne. „Możesz być pewien, że niczego nie możesz być pewien". Dokładnie tak. Stoję w miejscu jak muł, gapię się na te rozjazdy. „To dla tych, którym problem sprawia Duplo", komentuje mój dylemat głos z głośniczków przy światłach. Nowoczesna, zaskakująca architektura z lekko zachwianą harmonią. Ciekawie mi ten pejzaż zaczyna wyglądać, choć mało barwnie. Cóż, „Nawet moc manifestów i ambitnych projektów nie jest w stanie ogarnąć szarych, co widzą na czarno". Imponująco, ciut bezdusznie, ale dochodzi mnie głos gitary. Zatem jest „**Nadzieja We Krwi**". Idę dalej.

Cholera, ochłodziło się. Zupełnie zimno. A może to coś ze mną, coś z moją psychiką. Wszystko staje się dla mnie nieco rozmyte. Domy zaczynają mieć swój ciężar i przytłaczać. Beton. Poczucie niepewności, te „schodowe klatki, osiedlowe pułapki" i wielkie graffiti na murze. „Wrogom dedykuję jebać". Klaustrofobiczny rejon. Zaczynam mieć dreszcze. „Mózg twój wymaga rekonwalescencji", podpowiada coś w środku. „**Muszę Stąd Odejść**". Przyspieszyłem.

„Nie zawsze problemy uczą rozróżniać wyobraźnię od ściemy", tłumaczę sobie. Przecież po to artyści tak projektowali tę przestrzeń, żeby serwować przechodniom gamę nastrojów. Rozglądam się, wyrazistość otoczenia zaczyna pomalutku wracać, jest zdrowiej. Wszystko jakby mocniej osadzone w fundamentach, łatwiejsze do zaakceptowania. „To w mieście hałasu Mekka", tłumaczy przewodnik. I rzeczywiście: „Na rausz tu w tych blokach czas już wybił". „**Kochaj żyć**", mówię sobie i otoczeniu, lękliwie się uśmiechając.

W lepszym już nastroju wlazłem na jakiś pchli targ. Czuję się, jakbym był wpisany w jakieś krzykliwe płótno, wszystko dookoła wiruje, miesza się, szybciej i szybciej. To zupełnie nie wygląda na wizję O.S.T.R.-a. Zaczepia mnie jakaś dziewczyna, w ręku trzyma „**Korale**". „Powiem ci, czym karmić sny", obiecuje, a jej głos mimo pewnych zniekształceń jest na tyle zmysłowy, że obietnica brzmi całkiem nieźle. Odgłosy pulsują naokoło mojej głowy, wrażenia pulsują w niej. Ostatkiem sił złażę na bok.

I zaczyna być tak, jak lubię. Wielkomiejsko. Jasno. Zabudowa odrywa się od ziemi, zyskuje oddech. Choć są niespodzianki. Wśród regularnych wieżowców werbli, „skała wrasta w korzeń jak gałąź, tworząc całość z ideą sprzedaną jak talon". Przewodnik uprzedzał o tych abstrakcyjnych innowacjach O.S.T.R.-a. Przewidywalność i klarowność burzą też struktury nałożone przez Dominika Trębskiego. „Przez niedomknięte okno słychać teksty", czytam w nieszczęsnym wydawnictwie dla nieświadomych turystów. „**Wsłuchaj się**". Próbowałem, ale mało słyszałem. Wlazłem do budynku i mieszkania, z którego dochodził dźwięk. Zazwyczaj zachowuję się normalniej, ale co tam. Trafiam na małą libację gościnnych ludzi. „Pół litra, stół, wokół trzech, nic nie wskórasz trza pić jak polane", napiszę później, wspominając ten moment. Za dużo miałem wrażeń, za dużo było tej wódki. Do dziś nie wiem, czy to, co widziałem, działo się naprawdę. Kiedy piłem, był „**Raj Młodocianych Bogów**", potem zacząłem wszystko widzieć jak w starych kryminałach. W powietrzu wisiało napięcie, poczucie tajemnicy, naokoło czerń, biel i trochę odcieni szarości. Czas lał się wolno jak olej. Drzwi zalepione taśmą, brygada dochodzeniowa na patio, detektyw obok mnie, a goście zniknęli. Jakieś obrzydliwe zakrwawione palto. „Tylko nie wiadomo, kto zginął...".

Potem w pamięci jest już cwaniacka, surowo wyglądająca dzielnica. Wszystko przygaszone, przytłumione, ale dalekie od zimna blokowisk. Klimat portowych dzielnic. Jak ja tu się dostałem? I co się ze mną dzieje? Podchodzi jakiś bej – „Bo kiedy mam czystą dyszkę, jaram bez ciśnień", rzuca do mnie prowokacyjnym, bezczelnym tonem. Brzmiało to raczej jak: „**Gdy mam dyszkę**, jestem miły. Inaczej możesz mieć problem". Zdjąłem plecak, wyjąłem z niego portfel, z portfelu banknot. Typ zrobił się gadatliwy, zaczął długą dyskusję. Kiedy odszedł, zauważyłem, że ktoś w czasie rozmowy ukradł mi plecak. „No i lipa, frajerze", wrzasnął z dachu dzieciak mściwie rechocząc. Podatek od naiwności.

Poszedłem dalej i poczułem „**Strach**". Bez hajsu, na jakichś obrzeżach POE, nawet bez tego najgorszego przewodnika. Smutna, przemysłowa, pełna dymu okolica, podobno sam twórca odgrażał się: „Teren zrównam z ziemią, nie pierdol".

Machałem ręką na samochody, aż któryś z litości zatrzymał się i podwiózł mnie tam, gdzie miało być weselej. Muszę odreagować. W międzyczasie zrobiło się ciemno. Dźwięki i neony dopadały mnie zewsząd. To jakaś dzielnica weekendowych zabaw. „**To ja mam flow**", wrzasnął mi nad uchem jakiś koleś, żebym przypadkiem do końca nie zorientował się w rozgardiaszu, choć do tego i tak było daleko. Otaczają mnie niskim głosem szybo wyrzucane nawijki, nisko dudni też cała okoliczna maszyneria rozrywki. Coś cyka, jakby balkony okolicznych restauracji wyłożyć zegarkami. Uciekłem biegiem, docierając pod gmach „**Radio**" 666 FM. To chyba najbardziej klasyczna rzecz na całym POE. Z początku może wydawać się nawet nieco nowojorska w stylu, ale nadbudówki i rozwinięcie bryły to już czysta nowoczesność w wydaniu Emade. Nie mam przewodnika, by sprawdzić, ale kiedy go przeglądałem wcześniej, wydawało mi się, że to radio gra hip-hop, jazz i funk. I dobrze. Pośpiech, muszę zdążyć przed nocą. Wyszedłem za róg rozgłośni i o mało nie upadłem. Znowu „Zielony Parlament".

Ale jak to może być? Jak oni tak zakrzywili tę czasoprzestrzeń? Ze zdziwieniem zauważyłem, że plecak jest na moich plecach. Przecież koleś mi go ukradł. A może nikt nic nie ukradł, bo nikogo nie było, a ci ludzie to tylko cyfrowe hologramy zrodzone w mózgu O.S.T.R.-a? W świecie, gdzie dźwięk staje się wizją, a sen rzeczywistością, to możliwe? Nie mogę o tym myśleć, mózg nie wytrzyma ciśnienia. Bagaż mam, ale pieniędzy za cholerę, ostatnia dyszka faktycznie znikła. Po POE przedzierałem się głównie pieszo, ale do domu wracałem autostopem. Trzeba uzasadnić jakoś tytuł reportażu. Ale to tylko jedna z wielu rzeczy, które należałoby uzasadnić.

halifax

najtrudniej jest w kalifornii



Niespełna trzy lata to czas, jaki wystarczył grupie Halifax, by zelektryzować punkową młódź nie tylko w rodzinnych Stanach Zjednoczonych. Powstały jesienią 2002 roku w kalifornijskim mieście Thousands Oaks Halifax ma na swym koncie demo CD „Start Back at Start" i EP-kę „A Writer's Reference". Fonograficzny dorobek młodych emo punkersów powinien niebawem powiększyć się o pierwszą pełnometrażową płytę, której premiery zapewne nie tylko ja wypatruję. Aby dowiedzieć się nieco więcej o nadchodzącym albumie, „gniewnych piosenkach" i kondycji sceny w Kalifornii, pozwoliłem sobie zamienić kilka zdań z wokalistą Halifax, Mikiem Hunauem

rozmawiał Sebastian Rerak

Nie chcę zaglądać Wam w metryki, ale sprawiacie wrażenie bardzo młodych ludzi. Czy założyliście zespół, będąc jeszcze w szkole?
W pewnym sensie. Kiedy Halifax powstał, niektórzy członkowie chodzili jeszcze do liceum, inni byli w college'u. Nasz gitarzysta Chris, który był jednym z założycieli, szybko skończył szkołę. Wszyscy rzuciliśmy naukę tak szybko, jak tylko było to możliwe, żeby zająć się muzyką.

No właśnie, większość z Was nie należała do pierwszego składu Halifax. Czyżby początki grupy były tak turbulentne?
Tak, na początku przewinęło się przez zespół kilku różnych muzyków. Ludzie, którzy zakładali Halifax, bardzo szybko odeszli i dziś nie mają nic wspólnego z muzyką. Tylko Chris pozostał jedynym oryginalnym członkiem grupy. Ja dołączyłem nieco później, ale postanowiłem wraz z Chrisem kontynuować to, co zaczęliśmy. Po prostu czuliśmy się szczęśliwi, mogąc grać piosenki, które napisaliśmy. Chris zadecydował, że musimy dalej się rozwijać. A więc zaczęliśmy komponować nowe utwory i znaleźliśmy nowych muzyków – dobrych znajomych jeszcze ze szkolnych lat. I tak to się potoczyło.

Dziękuję teraz bardzo szczerej odpowiedzi. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy powstawał Halifax, miała miejsce eksplozja sceny emo. Czy nie startowaliście trochę na jej fali?
Nie wydaje mi się. Jeżeli chodzi o samą ideę tej muzyki, to tak, miała ona na nas duży wpływ. Myślę, że największym źródłem inspiracji były dla nas wówczas zdarzenia, jakie miały miejsce w naszym życiu. Każdemu przytrafia się tak wiele negatywnych rzeczy, sam przeszedłem przez niejedną ciężką chwilę. Z takich sytuacji na pewno czerpaliśmy wiele inspiracji. Sporo naszych wczesnych, gniewnych piosenek kojarzonych jest ze stylem emo. Nie mają one jednak zbyt wiele wspólnego z popularnością jakiejś sceny, po prostu te utwory powstały w naturalny sposób. Aktualnie przygotowujemy nową płytę, na której odeszliśmy nieco od takiego grania. Wprawdzie znajdzie się na niej kilka tego rodzaju numerów, ale generalnie całość będzie o wiele bardziej urozmaicona.

Skoro już wspomniałeś o płycie, to musisz przyznać, że trochę opóźnia się jej premiera.
Właśnie rozmawiałem na ten temat z ludźmi z wytwórni. Album ma się ukazać 14. września – to oficjalna data premiery. Myślę, że wytwórnia pozbiera się na czas. Taką mamy nadzieję.

Czy to prawda, że Wasz perkusista Tommy odwiedził kiedyś właściciela wytwórni Drive Thru Records w jego biurze i oznajmił: „Któregoś dnia podpiszesz kontrakt z moim zespołem"?
Tak, tak (śmiech). To oczywiście był tylko żart i Richard (szef Drive Thru – przyp. aut.) nie potraktował tego całkiem na serio. Tak naprawdę Tommy nie miał na myśli Halifax, tylko swój poprzedni zespół, w którym podówczas grał. Przyszedł do biura Richarda, bo akurat odbywał praktyki w firmie. Swoją drogą to zabawna historia.

Pierwszym wydawcą Waszej EP-ki „A Writer's Reference" była wytwórnia No Milk Records. Utrzymujecie z nią jeszcze jakiś kontakt?
Tak! Uwielbiam tę wytwórnię, jest naprawdę świetna. No Milk Records to mały label z New Jersey. Prowadzą ją fantastyczni, bardzo pracowici ludzie. Dali nam szansę, ponieważ uwierzyli w nasz zespół. Bardzo nam pomogli, wydając tę płytę. Sporo im zawdzięczamy.

Dlaczego w takim razie postanowiliście wznowić „A Writer's Reference" nakładem Drive Thru?
Ponieważ nie mieliśmy dość materiału na pełnowymiarową płytę. Byliśmy krótko po podpisaniu kontraktu z Drive Thru i bardzo chcieliśmy wydać jakiś materiał, żeby mieć dobry start w nowej wytwórni. Postanowiliśmy zrobić jeszcze mastering i zremiksować utwory, dorzucić akustyczną wersję jednej z piosenek oraz videoclip. Ogólnie sporządziliśmy zupełnie nowe wydawnictwo. Poza tym oryginalny nakład wyprzedał się w całości i No Milk Records nie dysponowało już ani jedną kopią. My tymczasem chcieliśmy, aby większa liczba ludzi miała możliwość usłyszeć tę płytę.

Pochodzicie z Kalifornii, stanu uchodzącego za zagłębie amerykańskiego punk rocka. Czy wysoki poziom lokalnej sceny ułatwia Wam funkcjonowanie?
Ze wszystkich stanów w USA chyba właśnie w Kalifornii najtrudniej jest cokolwiek osiągnąć. Przemysł płytowy i scena muzyczna w Kalifornii to jeden wielki wyścig. Ilekroć gramy koncert na własnym terenie, musimy się sporo napocić, żeby ściągnąć na niego ludzi. Możemy grać gdziekolwiek w całych Stanach i przyciągać publikę, ale w rodzinnym stanie jest najciężej. Teraz sytuacja jest już całkiem niezła, ale nadal jest to chyba najtrudniejszy rynek dla nas. Miejscowe zespoły nie mogą się cieszyć silnym lokalnym wsparciem.

Być może ludzie w Kalifornii są zbyt zblazowani z powodu nadmiaru muzyki.
Ludzie w Kalifornii mają specyficzne podejście. Mówią: „O, gra mój ulubiony zespół! Może pójdę go zobaczyć!". Tymczasem gdzie indziej w kraju dzieciaki myślą na zasadzie: „Gra zespół, którego nie znam i który niezbyt mnie rusza, ale i tak pójdę go zobaczyć". Młodzież przychodzi na koncerty, bo po prostu jest ciekawa muzyki. W Kalifornii trzeba się sporo natrudzić, aby ściągnąć dzieciaki na gig.

Co jest najlepszą formą promocji dla zespołu takiego jak Wasz – Internet, studenckie radio-rozgłośnie czy po prostu koncerty?
Wszystko po trochę. Na pewno Internet jest świetną i szeroko dostępną formą informowania ludzi o swoim zespole. Niemniej każdy środek jest dobry, a najlepszą rzeczą, jaką my możemy robić, są koncerty. Na koncertach ludzie mogą zobaczyć, jaki naprawdę jest dany band.

Teraz zresztą też jesteście w trasie. Notabene razem z From First To Last, zespołem, który ma dosyć podobne podejście do muzyki. Tyle, że brzmi nieco ciężej.
Tak. I wszystko na tej trasie idzie nam naprawdę znakomicie. Każdy koncert jest wyprzedany, a publika jest niesamowita.

A wzięliście ze sobą jakieś mixtape'y z ulubionymi nagraniami?
Nie, ale ja mam ze sobą swojego iPoda. Na nim słucham muzyki.

Co można znaleźć na Twoim iPodzie?
Niemal wszystko. Słucham mnóstwa muzyki – od Led Zeppelin, poprzez Becka i Muse po Story Of The Year i Weezer.

Na koniec poproszę jeszcze o krótką rekomendację nadchodzącego albumu Halifax.
Album na pewno będzie skierowany do szerszej publiki niż nasza EP-ka. To nie będą tylko szybkie i ciężkie piosenki, ale i kawałki nieco wolniejsze lub bardziej popowe. Przygotowujemy teraz znacznie bardziej zróżnicowaną muzykę. Nadal jest to jednak po prostu rock'n'roll!!! Adresujemy nową płytę do szerokiej publiki i mam nadzieję, że jak najwięcej ludzi będzie miało okazję jej wysłuchać.

HALIFAX
A WRITER'S REFERENCE
DRIVE THRU RECORDS

Muzyka Halifax lokuje się gdzieś w połowie drogi między Taking Back Sunday a From First To Last. Pozostając w kręgu emo punka, Kalifornijczycy potrafią zagrać zarówno z hardcore'owym pazurem, screamo-histerią, jak i popową melodyką. Wszystko to nie tylko trzyma się kupy, ale jest też bardzo dobrze zaśpiewane na dwa wokale, balansujące między czystą artykulacją a wrzaskiem. Halifax jest także ciut „cięższy" od kilku znanych tuzów takiego grania, co mnie akurat zdecydowanie odpowiada. No i chwała chłopakom za to, że zamiast wciskać na rynek po raz kolejny ten sam produkt, zadbali o mastering, dodatkowy miks i kilka bonusów (akustyczna wersja piosenki „Sydney", teledysk do tego numeru i wywiad na video). Polecam i wyczekuję kolejnej demonstracji możliwości Halifax. Tym razem już w peł[illegible]




robert rodriguez

Od lewej: Eva Mendes i Johnny Depp: „Pewnego razu w Meksyku", Robert Rodriguez na planie filmowym. W tle: Bruce Willis w „Sin City".

desperado kina

Nakręcił najtańszy film dystrybuowany w amerykańskich kinach. Wylansował Salmę Hayek, a z Antonia Banderasa uczynił symbol latynoskiego macho. Quentin Tarantino nazywa go bratem, a role w jego filmach przyjmują największe gwiazdy. Reżyser, scenarzysta, operator, montażysta, producent i autor muzyki. Człowiek-orkiestra, Robert Rodriguez

tekst Kuba Demiańczuk

O tym, że w przyszłości będzie kręcił filmy, mały Robert postanowił już jako dwunastolatek, po obejrzeniu „Ucieczki z Nowego Jorku" Johna Carpentera. Dobry wzór, który pewnie w jakiś sposób ustawił zainteresowania chłopaka. Pewnie niejeden z nas chciał kiedyś nakręcić film. Ale Rodriguez dopiął swego. W czasie studiów na University of Texas w Austin Rodriguez nakręcił krótkometrażowy film „Bedhead" (1991), w którym wystąpili członkowie dość licznej rodziny reżysera. Filmik, choć skromny, został zauważony i doceniony, jednak wcale to Rodriguezowi nie ułatwiło pozyskania pieniędzy na pełnometrażowy debiut. Zatem postanowił sfinansować go sam. Trzeba mu przyznać, że się poświęcił: brał udział w płatnych testach rozmaitych medykamentów. Przeżył. Dorabiał rysując strip komiksowy „Los Hooligans" do pisma „Daily Texas". Funduszy starczyło na nakręcenie „El mariachi". Oszczędności można by się od Rodrigueza uczyć: film kosztował 7000 dolarów. Za takie pieniądze w wielkich wytwórniach nikt nawet nie przeczyta scenariusza. Na szczęście ambitny reżyser nie był od nikogo zależny, sam film napisał, wyreżyserował, nakręcił i zmontował, do głównych ról zatrudniając ponownie grupkę znajomych. Początkowo nawet nie myślał o wprowadzeniu go do kinowej dystrybucji. Koszty chciał odzyskać sprzedając gotowy produkt do sieci wypożyczalni video w Meksyku. Pokazał go za to na prestiżowym festiwalu kina niezależnego w Sundance, gdzie „El mariachi" zrobił furorę i zdobył nagrodę publiczności. Gdzieś po drodze dorwali go przedstawiciele studia Columbia i pełnometrażowy debiut Rodrigueza trafił na ekrany, notując swoisty rekord: stał się najtańszym w historii filmem (i pewnie jest to rekord już nie do pobicia) rozpowszechnianym przez wielką wytwórnię w amerykańskich kinach i jednocześnie pierwszym hiszpańskojęzycznym, który wszedł do szerokiej dystrybucji. O jego twórcy nagle zrobiło się głośno. Rodriguez założył też wtedy własne studio produkcyjne Los Hooligans (teraz Troublemaker Studios), dzięki czemu mógł w dalszym ciągu zachować niezależność wobec wymagających potentatów.

Kolejny film nie był zbyt obiecujący. „Roadracers" (w polskiej telewizji pokazywany jako „Wyścigowcy") to przeciętna historyjka o zbuntowanej młodzieży lat 50. Nieco na serio, a nieco parodia kultowego „Buntownika bez powodu" z Jamesem Deanem. Wyróżniał się głównie jedną z pierwszych ról Salmy Hayek. Pewnie kariera Rodrigueza stanęłaby w miejscu, gdyby nie pomysł na nakręcenie kontynuacji „El mariachi", tym razem w gwiazdorskiej obsadzie i z o wiele większym budżetem. „Desperado" trudno nazwać sequelem – to raczej nowa wersja pierwowzoru, wariacja na ten sam temat – ale powszechnie zalicza się go jako środkową część trylogii meksykańskiej (ostatnia to oczywiście „Pewnego razu w Meksyku", o którym później). Prosta z założenia opowieść o nieustającej zemście w czysto latynoskim stylu: gwałtownej i krwawej. Rodriguez, obdarzony ogromnym poczuciem humoru, całą historię przerysował jednak do tego stopnia, że film jest po części komedią. Spory w tym wpływ Quentina Tarantino, który z Rodriguezem zaprzyjaźnił się już wcześniej. Podobno zaprosił go do reżyserowania tych fragmentów „Pulp Fiction", w których sam występował. W każdym razie Tarantino pojawił się w obsadzie „Desperado" obok Antonio Banderasa, Salmy Hayek, Joaquima DeAlmeidy, Steve'a Buscemiego i Danny'ego Trejo (ten charakterystyczny aktor o twarzy psychopatycznego zabójcy kobiet jest swoją drogą kuzynem Rodrigueza). Stylizowane, niemal baletowe strzelaniny, charakterne do bólu postacie, znakomite, cyniczne i jednocześnie parodystyczne dialogi, świetne zdjęcia – to zadecydowało o ogromnym powodzeniu „Desperado". Rodriguez wyrobił sobie markę, określił swój reżyserski styl i zdobył sławę. I ani myślał spocząć na laurach.

Przyjaźń i współpraca z Quentinem Tarantino zaowocowały kolejnymi filmami. W nowelowych „Czterech pokojach" (1995) Rodriguez zakasował nawet swojego przyjaciela. Jego „Rozrabiaki", historyjka o dwójce dzieci, które w pokojowym hotelu znajdują martwą prostytutkę, była najlepszym fragmentem filmu. Rok później Rodriguez postanowił pobawić się w horror. Scenariusz „Od zmierzchu do świtu" napisał Tarantino, przyznając sobie jedną z głównych ról: Richarda Gecko, jednego z dwóch braci – bandytów (drugiego zagrał George Clooney), którzy porywają rodzinę pastora (Harvey Keitel), by dostać się do Meksyku. Po przekroczeniu granicy wszyscy trafiają do obskurnego baru „Titty Twister", który okazuje się wylęgarnią wampirów. Bardzo śmieszne i bardzo brutalne – takie efekty daje połączenie stylów Tarantino i Rodrigueza. Znowu imponuje obsada: oprócz wyżej wymienionych zagrali tu m.in. Juliette Lewis, Cheech Marin (połowa słynnego w latach 70. komediowego duetu Cheech i Chong, znanego głównie z ról wiecznie ujaranych podstarzałych hippisów), jedna z legend nurtu blaxploitation Fred Williamson i reżyser niskobudżetowych horrorów Tom Savini (nakręcił m.in. remake „Nocy żywych trupów"). A także Salma Hayek, już po raz czwarty. Przegapiliście uroczą Meksykankę w „Czterech pokojach"? To przyjrzyjcie się uważnie tancerce na kanale porno, które „Rozrabiaki" oglądają w hotelu.

Wyjątkowo udane „Od zmierzchu do świtu" na krótko skierowało zainteresowanie Rodrigueza w stronę horroru, stąd jego kolejny film, „Oni" („The Faculty", 1998). Tym razem reżyser wziął na warsztat kosmitów, którzy opanowali college w małym amerykańskim miasteczku. Wyszło z tego całkiem udane widowisko, niezbyt docenione przez krytykę, ale na pewno warte obejrzenia, choćby ze względu na elementy parodii (Rodriguez jest zbyt inteligentny, żeby nakręcić zwyczajny horror dla młodzieży). Obsada znów imponująca: od Roberta Patricka i Famke Jannsen, po młode gwiazdy, wówczas stojące u progu kariery: Elijah Wooda, Josha Hartnetta i Ushera. I nie zapominajmy o Salmie Hayek. W ten sposób kariera Rodrigueza rozwijała się w dobrym kierunku: z obiecującego reżysera stał się gwiazdą kina popularnego i wszystko miało być tak pięknie, gdy nakręcił trylogię o „Małych agentach" (Spy Kids). Pierwszą część tłumaczy jeszcze chęć spełnienia marzeń Rodrigueza, który zawsze chciał nakręcić familijny, kolorowy i pełen przygód film. To jeszcze się udało, pierwsza część „Małych agentów" ma swój urok i nawet da się oglądać. Drugą część tłumaczy sukces kasowy pierwszej (zresztą największy finansowy sukces Rodrigueza). Trzeciej nie tłumaczy już nic. I nawet Salmy Hayek nie było, choć w obsadzie roiło się od gwiazd.

Na szczęście mali agenci podrośli i Rodriguez wrócił do dorosłego kina. Odzyskał zaufanie fanów zamknięciem trylogii o Desperado, czyli filmem „Pewnego razu w Meksyku". Tym razem do wątku sensacyjnego dołożył nieco polityki i jeszcze więcej humoru, głównie dzięki kapitalnym rolom Johnny'ego Deppa i wracającego po latach filmowego niebytu Mickeya Rourke'a. Po tym filmie po raz kolejny widać, ile Rodriguez zawdzięcza Sergio Leone – i nie chodzi tu tylko o tytuł... Mogłoby się jednak wydawać, że reżyser już nic nowego nie wymyśli. „Pewnego razu w Meksyku" to film udany, świeży, ale mimo wszystko wykorzystujący sprawdzony już schemat. Wtedy Rodriguez dokonał niemożliwego: zekranizował „Sin City", kultowy komiks Franka Millera, wyrafinowane graficznie dzieło, na pozór nie do przeniesienia na ekran.

Miller wielokrotnie odrzucał rozmaite propozycje dotyczące adaptacji jego komiksu. Rodriguez po prostu nakręcił jedną scenę i wysłał ją rysownikowi, mówiąc jednocześnie, że jeśli się spodoba, to zrobią wspólnie adaptację, a jeśli nie, to będzie pamiątka. I w ten sposób narodziło się filmowe „Sin City", wyreżyserowane wspólnie przez Rodrigueza i Millera, z gościnnym udziałem Quentina Tarantino i zapierającą dech w piersiach obsadą. Tarantino wyreżyserował fragment filmu za jednego dolara, rewanżując się tym samym Rodriguezowi, który za taką samą kwotę napisał muzykę do drugiej części „Kill Billa". „Sin City" właśnie wchodzi na nasze ekrany, więc nie będę zdradzał zbyt wielu tajemnic i smaczków filmu: większy tekst poświęcony ekranizacji komiksu Millera znajdziecie wkrótce na naszej stronie internetowej. Warto dodać, że Rodriguez już planuje kolejne dwie części. Nic dziwnego – krytycy i widzowie zgodnym chórem twierdzą, że to jego najlepszy film. Oby tak dalej, bo od lat reżyser udowadnia, że można zachować absolutną niezależność i własny styl robiąc komercyjne kino.



100 BULLETS

brian azzarello

w cieniu agenta gravesa

Agent Graves, Minutemani, wszechświatowy spisek... Polscy czytelnicy szybko dali się wciągnąć w mroczny świat przedstawiony przez Briana Azzarello i Eduarda Risso w serii „100 naboi". Ale scenariusze Azzarello to nie tylko ten cykl. Właściwie w ciemno można brać wszystko, co napisze. Nazwisko tego scenarzysty na okładce komiksu jest z reguły gwarancją wysokiego poziomu literackiego

AGENT GRAVES

tekst Kuba Demiańczuk

Azzarello wpisuje się świetnie w nurt scenarzystów, którzy tworząc własne, niezależne komiksy, zajmują się jednocześnie „mainstreamem", wnosząc w życie superbohaterów nową jakość. Jego kariera jest błyskotliwa, zważywszy, że zaczął pisać scenariusze w drugiej połowie lat 90. Rozpędu jego twórczości dało jednak spotkanie z argentyńskim rysownikiem, Eduardem Risso. W 1998 roku wspólnie zrobili dla Vertigo mini-serię „Johnny Double". Jej tytułowy bohater to prywatny detektyw z San Francisco, który przyjmuje proste z pozoru zadanie: mieć oko na nieco zbuntowaną córkę milionera. Double popełnia jednak parę błędów – jak zresztą większość postaci kreowanych przez Azzarella, ale o tym będzie jeszcze mowa – po pierwsze, daje się rozwydrzonej panience uwieść. Po drugie, wplątuje się w nie do końca legalną akcję wydobycia pieniędzy z dawnego konta należącego do Ala Capone'a. A skoro robi się takie rzeczy, to Johnny Double nie powinien się dziwić, że cała afera okazuje się mistyfikacją i prowokacją... W tym komiksie Azzarello pokazał już, na co go stać: postacie z krwi i kości, solidna intryga, znakomite dialogi. Prawdziwa petarda miała jednak wybuchnąć wkrótce.

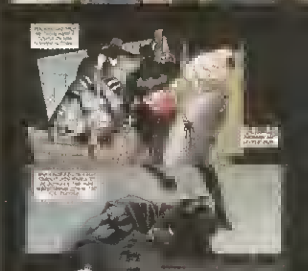
W 1999 roku zadebiutowało (ponownie w Vertigo) „100 naboi". Z miejsca zostało uznane za jedną z najciekawszych serii amerykańskich. Nie bezpodstawnie. Azzarello splata tu intrygę tak misternie, że nawet Van Hamme ze swoją „XIII" może się schować. Kolejne odcinki komiksu przedstawiają nowe postaci i odsłaniają – powoli, czasami wręcz niepostrzeżenie – kolejne elementy układanki. A sprawa wygląda mniej więcej tak: zaczyna się od tego, że tajemniczy agent Graves oferuje przypadkowym ludziom możliwość zemsty za krzywdy, których doznali. Każdemu daje teczkę, w której jest pistolet i sto pocisków. Czystych, nie do namierzenia. Jeśli obdarowany zdecyduje się zrobić z nich użytek, żadne śledztwo nie powiąże sprawcy ze zbrodnią.

Już po kilku epizodach zaczyna odsłaniać się grubsza intryga. Pojawia się potężna organizacja, zwana Trustem: trwające od kilkuset lat porozumienie trzynastu rodzin, rodzaj mafijno-gospodarczej instytucji o niezbyt jasno – jak na razie – określonych celach. Jej ochronę przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi (trudno utrzymać status quo, gdy ma się do czynienia z potężnymi i wpływowymi ludźmi) stanowili tzw. Minutemani, perfekcyjnie wyszkoleni zabójcy, często pozostający w ukryciu („aktywuje" ich hasło „croatoa"). W pewnym momencie Trust postanowił się jednak Minutemanów pozbyć. Graves jest właśnie jednym z nich, zbuntowanym przeciwko organizacji i knującym teraz intrygę na własną rękę. Aktywuje obecnych Minutemanów i przeciąga ich na własną stronę, ale co tak naprawdę kryje się za jego spiskiem, nie wiemy. Jeszcze. I szybko się pewnie nie dowiemy. Seria, zgodnie z tytułem, jest zaplanowana na 100 odcinków, a tymczasem w Stanach ukazał się niedawno dopiero 61. W Polsce zaś ostatnio pojawiła się pierwsza część zbioru „Farbowany detektyw", a więc mieliśmy możliwość przeczytania zaledwie trzydziestu paru epizodów. Jedna trzecia cyklu, a jestem przekonany, że nie poznaliśmy choćby 10 procent prawdy o Truście, Gravesie, Minutemanach i innych bohaterach serii.

„100 naboi" to perfekcyjnie zaplanowana i świetnie funkcjonująca całość. Znakomity scenariusz (nie wiem, czy ktoś pisze lepsze „uliczne" dialogi, na szczęście w miarę dobrze i płynnie tłumaczone w polskim wydaniu), zaludniony arcyciekawymi, prawdziwymi postaciami. Świetne, ostre rysunki Risso i kapitalne okładki Dave'a Johnsona zapewniają tekstom Azzarello odpowiednią oprawę. Scenarzysta, jakby mało mu było knucia spisków i budowania misternej fabuły, bawi się jeszcze z czytelnikami na innym poziomie, sugerując, że jego bohaterowie uczestniczyli w historycznych wydarzeniach. Oto przykład, najbardziej charakterystyczny, ale i najlepszy. Przypomnijcie sobie odcinek „Dola idola" („Idol Shatter", w polskim wydaniu opublikowany w drugiej części „Straconego jutra"), w którym agent Graves spotyka w szpitalu słynnego niegdyś baseballistę, któremu też wręczył teczkę... Sportowiec ów miał zemścić się za śmierć swojej ukochanej żony, a jego celem stał się prezydent Kennedy. I niby nie jest to nigdzie wprost powiedziane, choć zabójstwo JFK jest tu oczywiste (a zamach baseballisty zupełnie niezależny od wyczynu Lee Harveya Oswalda). No to teraz podrzucę Wam kolejny trop: baseballista to Joe DiMaggio. Jego żona to Marylin Monroe. Jeśli macie czas i lubicie tego typu teorie spiskowe, to poszperajcie w Internecie i biografiach bohaterów. Drobne fakty z ich życia się zgadzają, a na pewno natkniecie się też na rozmaite tezy, jakoby JFK odpowiadał za śmierć MM. Nikt nie twierdzi, że to DiMaggio własnoręcznie zabił Kennedy'ego (fani „Archiwum X" wiedzą zresztą, że zrobił to niejaki Palacz), ale teorie dotyczące zabójstwa prezydenta mnożą się ciągle, nawet czterdzieści lat po jego śmierci. Do tego ogródka Azzarello dorzuca własny kamyk. I jak zwykle jest to świetna robota. A przy okazji dowód na to, jak daleko sięgają wpływy Trustu. O tak, „100 naboi" to komiks, w którym naprawdę wszystko się może okazać prawdą lub kłamstwem.



Siłę serii Azzarella i Risso docenili nie tylko czytelnicy, ale i krytycy. „100 naboi" zostało dosłownie obsypane nagrodami Eisnera (najważniejszymi wyróżnieniami przyznawanymi komiksom). W 2001 numery od 15. do 18. („Co ma wisieć, nie utonie") zostały uznane za najlepszą opowieść w odcinkach (Best Serialized Story). 2002 to nagrody dla najlepszej serii komiksowej, najlepszego rysownika i najlepszego twórcy okładek. 2004 – ponownie najlepsza seria. Jeśli doliczyć do tego przynajmniej osiem innych nominacji (m. in. za najlepszą nową serię w roku 2000 oraz indywidualne nominacje dla Azzarella, Risso i Johnsona), a także kilka również istotnych, choć mniej prestiżowych nagród im. Harveya Kurtzmana, to już daje całkiem pokaźną kolekcję wyróżnień.





Jednak nie samymi „100 nabojami" Azzarello żyje. Wysoką klasę i mocną pozycję na komiksowym rynku pokazują jego inne prace. Dla Marvela narysował jeden odcinek „Spider-Man: Splątana sieć", a także dwie ważne mini-serie we współpracy z Richardem Corbenem: „Cage" i „Banner" (ta ostatnia, opowiadająca oczywiście o Hulku, ukazuje się obecnie u nas). Jednak na dłużej związał się z DC. Dla tego wydawnictwa (przypominamy, że to jego częścią jest Vertigo) stworzył pojedyncze historie do kilku antologii komiksowych, m.in. „Gangland", której zresztą był redaktorem, a także western „El Diablo" z rysunkami Danijela Zezelja. Od 2000 roku objął we władanie serię „Hellblazer" – napisał wówczas scenariusze do blisko trzydziestu kolejnych epizodów. Swoją drogą, przygody Johna Constantine'a mają szczęście do dobrych scenarzystów - serią zajmowali się m.in. Garth Ennis i Warren Ellis, ale o tym opowiemy kiedyś w osobnym artykule.



Wreszcie w 2002 roku Azzarello podpisał z DC kontrakt na wyłączność. Mógł dzięki temu spokojnie tworzyć dalsze odcinki „100 naboi", ale jednocześnie dostał spore pole do popisu wśród superbohaterów. „Szczerze mówiąc, to nie była łatwa decyzja" – wspominał Azzarello w jednym z wywiadów. „Nie czuję się najlepiej z perspektywą wyłączności, ale DC zaproponowało pracę nad takimi projektami, że w końcu nabrało to sensu".

Jak do tej pory szefowie wydawnictwa nie mogą narzekać. Azzarello napisał m.in. znakomicie przyjęte epizody Batmana, opublikowane potem w zbiorze „Broken City". Nie mogło być inaczej, skoro rysunkiem zajął się tu ponownie Risso, a ten tandem to prawdziwa kura znosząca złote jajka. Napisał znakomitą historię „After the Storm", w której zetknął Batmana z jedną z czołowych postaci Wildstorma (kolejnego, obok Vertigo, „sublabelu" DC), czyli Deathblowem. Stroną wizualną zajęli się tu Lee Bermejo, Tim Bradstreet i Mick Gray. Z Jimem Lee Azzarello stworzył kilka epizodów przygód Supermana, rozbudowując świat Człowieka ze Stali w pięcioczęściowej mini-serii „Lex Luthor: Man of Steel" (rysunki ponownie Bermejo).



Ostatnio zaś ukazało się wydanie komiksu „Sgt. Rock: Between Hell and Hard Place" osadzonego w realiach II wojny światowej, z ilustracjami jednej z legend amerykańskiego komiksu, Joe Kuberta. I właściwie każdy z tych komiksów był co najmniej ciepło przyjęty zarówno przez krytykę, jak i czytelników.

A Azzarello? Pisze dalej, unika gwiazdorstwa, mieszka z żoną w Chicago, a w wolnych chwilach pali cygara i ogląda mecze baseballowe. Z pewnością nie powiedział jeszcze w komiksie ostatniego słowa. I nie chodzi tu tylko o tak oczekiwane zakończenie „100 naboi".



txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak

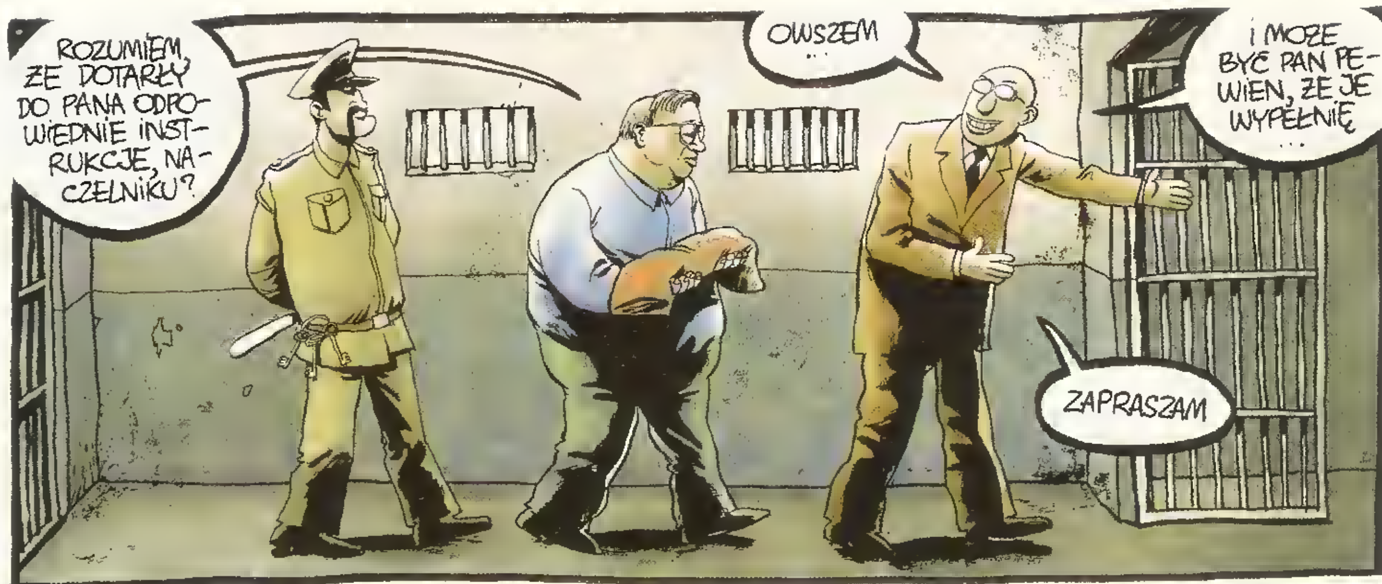











ROZUMIEM, ŻE DOTARŁY DO PANA ODPOWIEDNIE INSTRUKCJE, NACZELNIKU?
OWSZEM ...
I MOŻE BYĆ PAN PEWIEN, ŻE JE WYPEŁNIĘ ...
ZAPRASZAM

PANOWIE! IDZIE NOWA DUPENCJA!
ZAMAWIAM PIERWSZĄ KOLEJKĘ!
TE! NOWY! NAKRĘCIMY COŚ RAZEM? MOŻE PORNOLA!?
TRZEBA PRZYZNAĆ, ŻE PRZYGOTOWALI MU GORĄCE POWITANIE! MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE JEGO SERCE TO WYTRZYMA - HE! HE!
SIE WIE! CAŁY WCZORAJSZY WIECZÓR ROBILIŚMY PRÓBĘ OKRZYKÓW!




HENIEK, DAJ SPOKÓJ - JUŻ POSZLI ...
ALE JA JESZCZE NIE DOSZEDŁEM ...
A... TO CO INNEGO...
POD BUDĄ
WOLNA GRUPA BUKOWINA
PAWLIKOWSKA JASNORZEWSKA
POEZJ


11
12
13
WSZYSTKO GOTOWE?


TAK JEST! MOŻNA WPROWADZIĆ NOWEGO!
13
WIĘC OTWIERAJCIE!


13
OTO WASZ DOM NA NAJBLIŻSZE LATA ...

I ŻEBY WAM SIĘ NIE NUDZIŁO -KOLEGA ...

OJAPIERDOLĘ ...







C.D.N.

MEETING OF STYLES

Manuel to gość, który wymyślił i przeforsował pomysł międzynarodowego meetingu graffiti – Meeting of Styles. Opowiedział nam, jak ta impreza rozwijała się na przestrzeni lat:

Ja, Manuel.

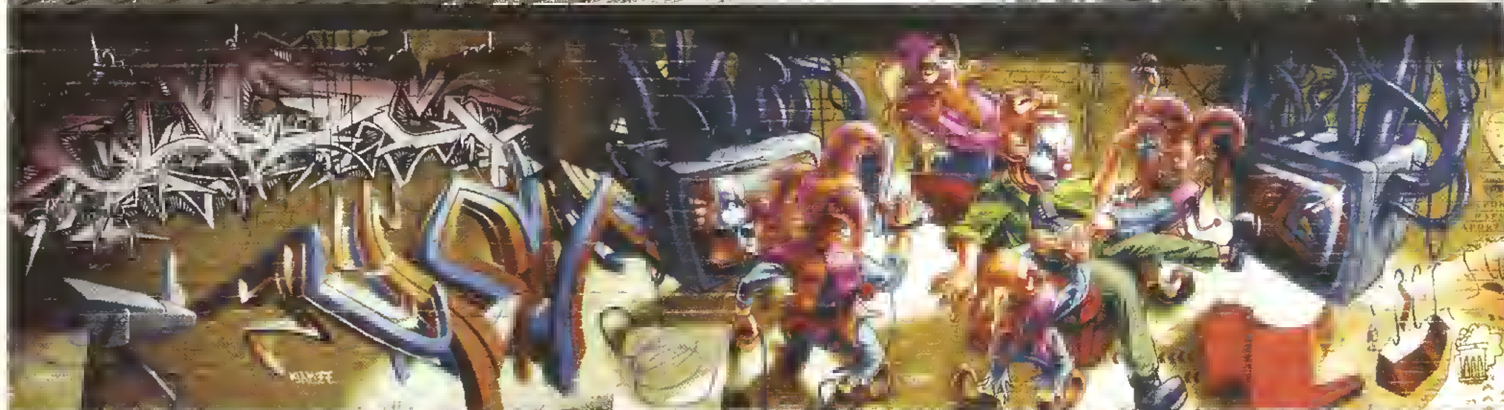
- Jestem starym writerem. Zaczynałem od tagowania w 1984 roku. Szybko wkręciłem się w pociągi i byłem aktywny do 1992 roku. W międzyczasie wszedłem konflikt z prawem i zostałem ukarany. Powiedziałem sobie: „skoro nie chcecie mojej sztuki, to dostaniecie jej jeszcze więcej". Już w 1994 roku zacząłem organizować niewielkie graffiti jamy w mojej okolicy. Moim zdaniem to bardzo ważne, by kultura miała swoje forum, na którym można prezentować nowe techniki i style.

WallStreetMeeting

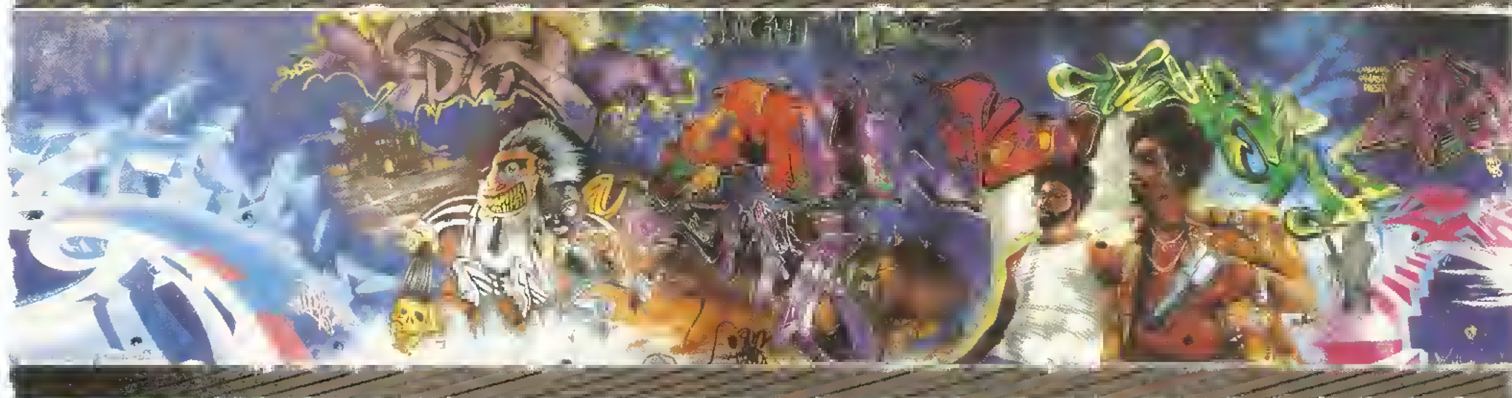
Jeśli chodzi o MOS, to wszystko zaczęło się na początku lat 90-tych, kiedy stały się dostępne słynne tereny Schlachthof w Wiesbaden (Niemcy). Pod koniec lat 80-tych funkcjonująca tam rzeźnia została zamknięta. Lokalni writerzy szybko odkryli ten spot, gdzie można było malować bez umiaru. W tym samym czasie grupa zaangażowanych ludzi założyła centrum kultury alternatywnej. W połowie lat 90-tych rada miasta postanowiła wyburzyć istniejące budynki. Powiedzieliśmy sobie: „Yo! Trzeba działać. Musimy coś z tym zrobić!". Aby przeciwstawić się szaleńczym planom rozbiórki założyliśmy organizację „Int. WallStreetMeeting". W 1997 roku po raz pierwszy zorganizowaliśmy Wall Street Meeting z udziałem prawdziwych legend, jak MODE2, BLADE, DARE, TOAST, LOOMIT, WON i innymi. W ciągu kolejnych lat impreza rozrosła się. W 1997 roku mieliśmy 1500 widzów w ciągu dwóch dni, a w roku 2000 było ich już 10 tysięcy! Mimo tego na jesieni 2001 roku miasto zaczęło wyburzać budynki. To był punkt zwrotny. Uznaliśmy, że należy podtrzymać tradycję naszej imprezy i zorganizowaliśmy MOS.















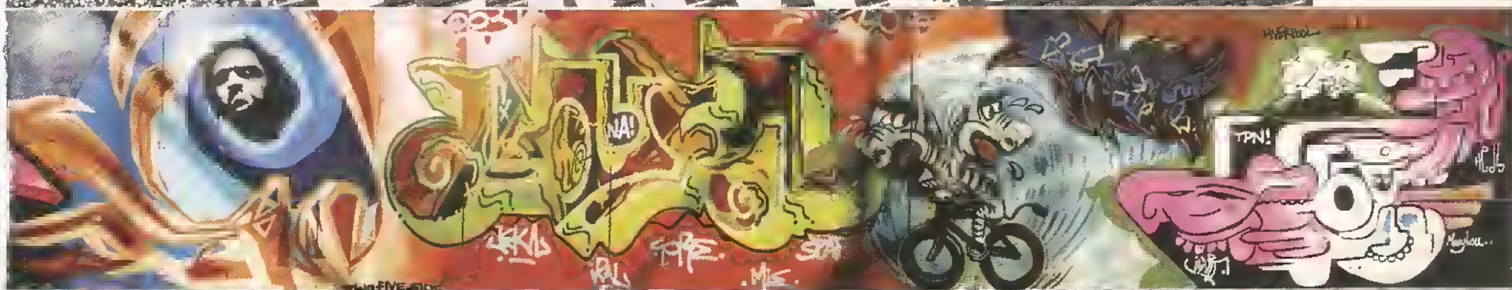
MEETING OF STYLES



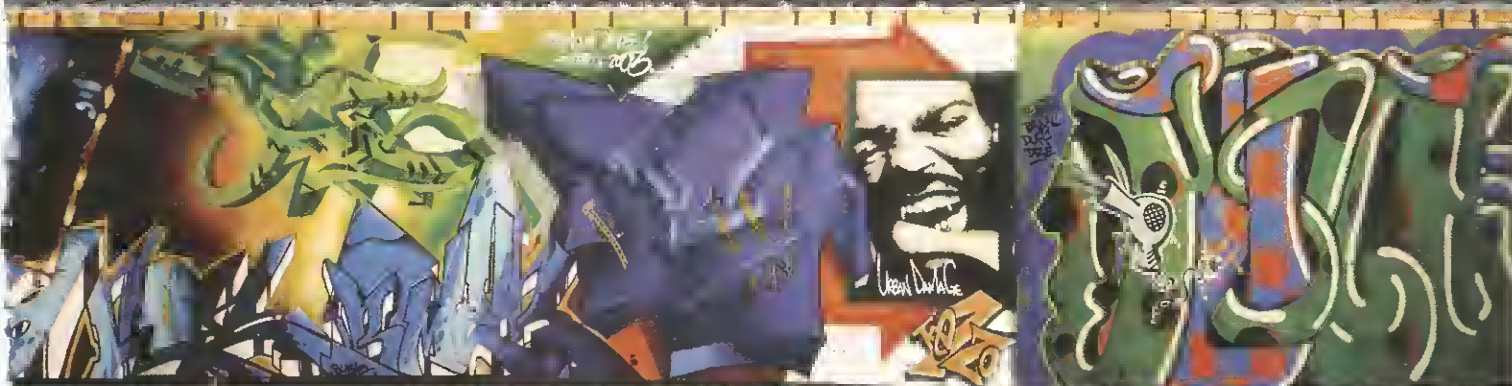








TPN!



URBAN DAMAGE





FIBER

Meeting of Styles

MOS przyczynił się do zbliżenia całej sceny. Impreza nie tylko przyciągnęła widzów do niektórych artystów i ekip. Dzięki niej niektórzy stali się sławni poza granicami swoich krajów. Ja również zmieniłem się dzięki MOS. Od kiedy organizuję tę imprezę, dużo podróżuję. Poznałem ludzi z całego świata i bardzo mi się podoba kosmopolityczny aspekt przedsięwzięcia. Zmieniło się również moje podejście do kultury, komercji, polityki i życia w ogóle. Kultura potrzebuje takich wariatów, którzy nadstawiają karku dla ideologicznych projektów. To okropnie ciężka praca i muszę się borykać z wieloma problemami.

Sponsorzy

Sponsorzy, to aspekt, który zabiera ci najwięcej energii. Już dwukrotnie zmienialiśmy fundatora puszek. Teraz na szczęście mamy jednego, na którego można liczyć. Drugim wyzwaniem jest zaspokojenie sponsorów, bez konieczności sprzedawania własnej duszy i atmosfery imprezy. Zawsze staramy się przynajmniej pokrywać koszt farb oraz pomagać artystom w opłacaniu podróży i zakwaterowania.

Polska strona MOSu

Tegoroczny Meeting Of Styles odbędzie się w dniach 22-24 lipca na stacji Łódź Kaliska. Jest tam długa ściana z rusztowaniem. Blisko znajduje się również scena, gdzie odbędzie się konkurs breakdance. Ceremonii otwarcia rozpocznie się w centrum handlowym w śródmieściu Łodzi. Wszelkie szczegóły znajdziecie na stronie www.meetingofstyles.com

W Polsce byłem już kilka razy. Podobają mi się nie tylko dziewczyny, ale również klimat. W tym kraju odczuwa się nadejście nowej ery. W sferze graffiti dostrzegam tu połączenie wszystkich żywiołów.

Co mogę radzić Polskim writerom? Nie pozwólcie podzielić sceny. Nie traktujcie sławy i współzawodnictwa zbyt poważnie. Nie chodzi tylko o rozgłos ale również o zabawę, wyrażanie siebie, dzielenie się pasją i miłością dla kultury z innymi. Polska rozwija się i rośnie w siłę. Róbcie swoje.

Podziękowania:

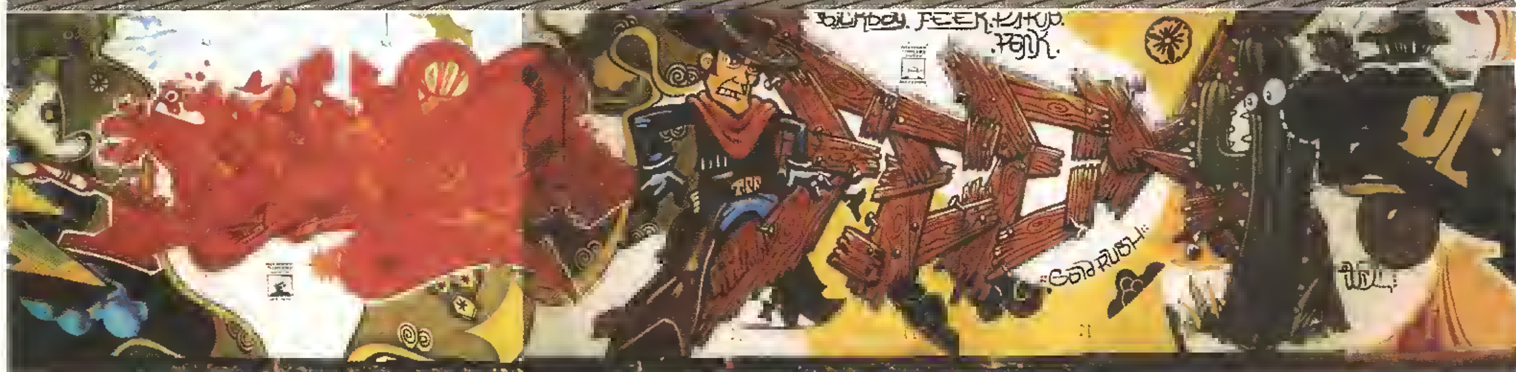
Wszystkim, którzy nas wspierają, pomagają nam, sponsorom, widzom, artystom i działaczom. Bez nich to wszystko nie byłoby możliwe. Dziękuję również mojej ukochanej córeczce – Lea'i.

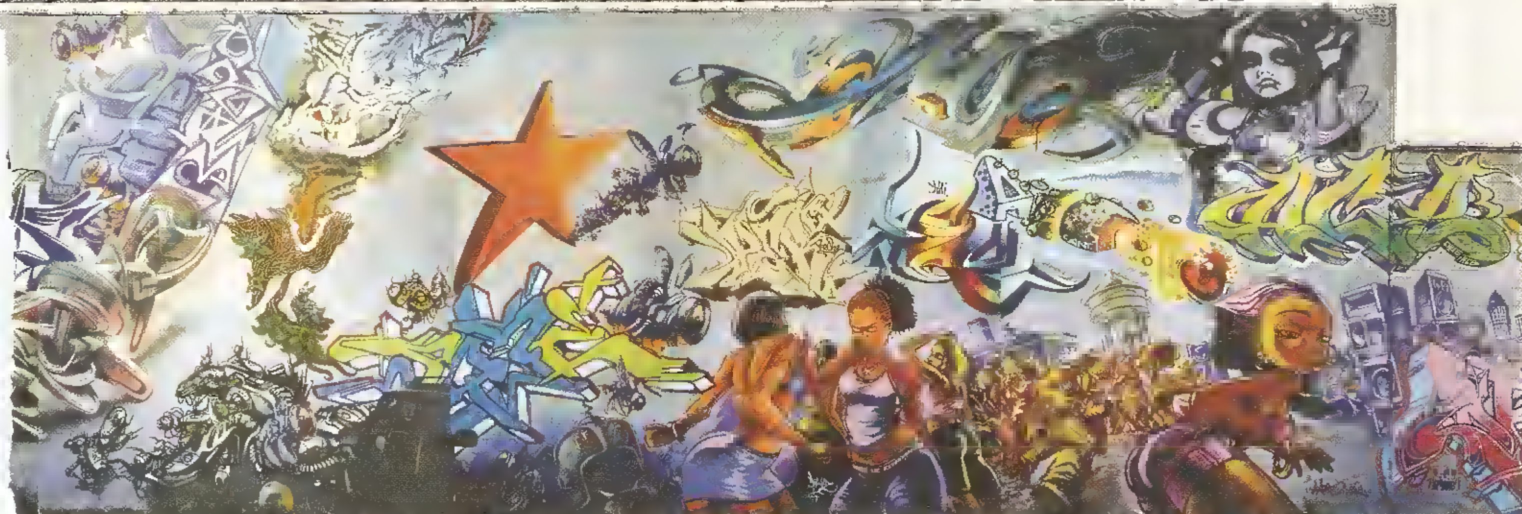
MEETING OF STYLES



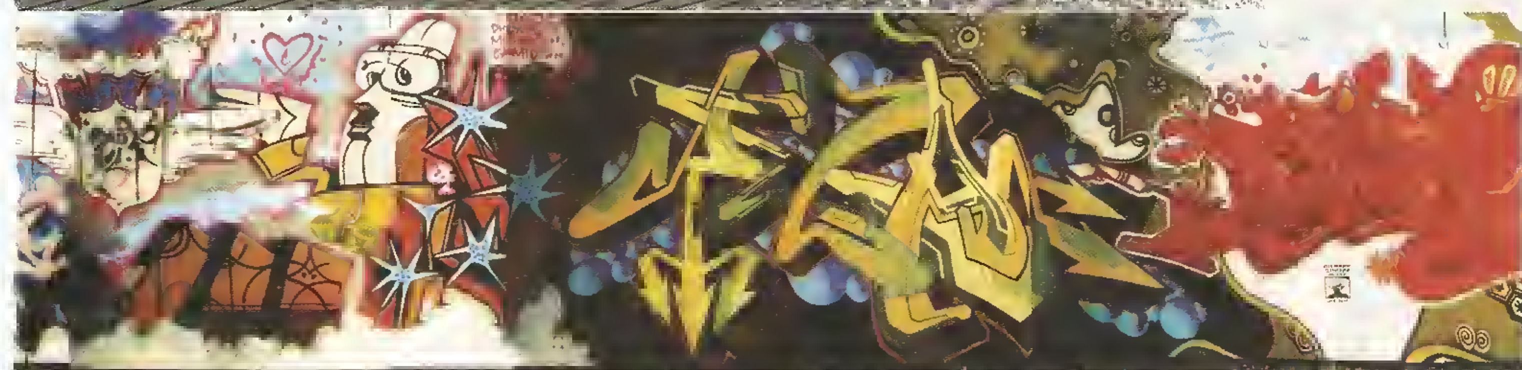


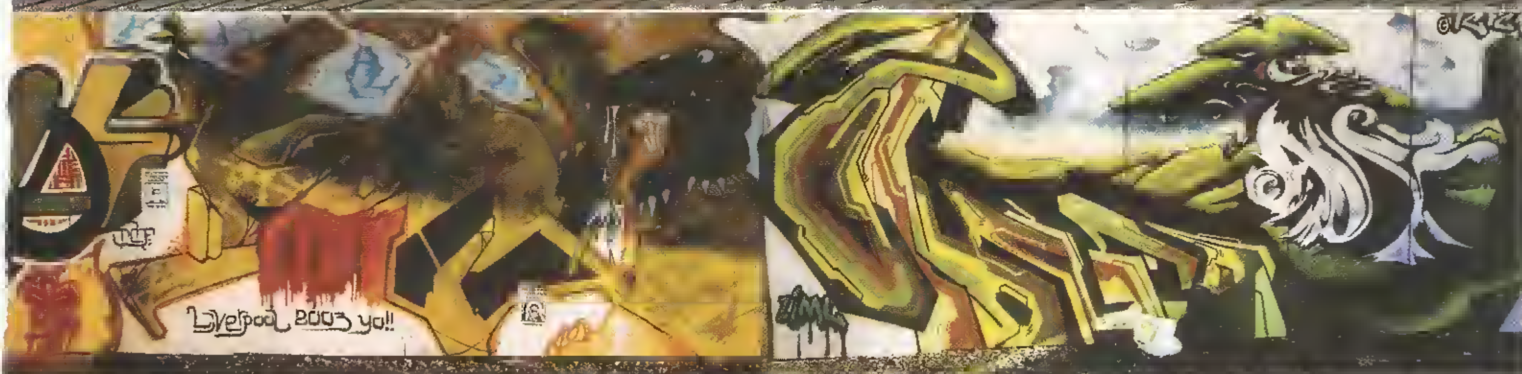










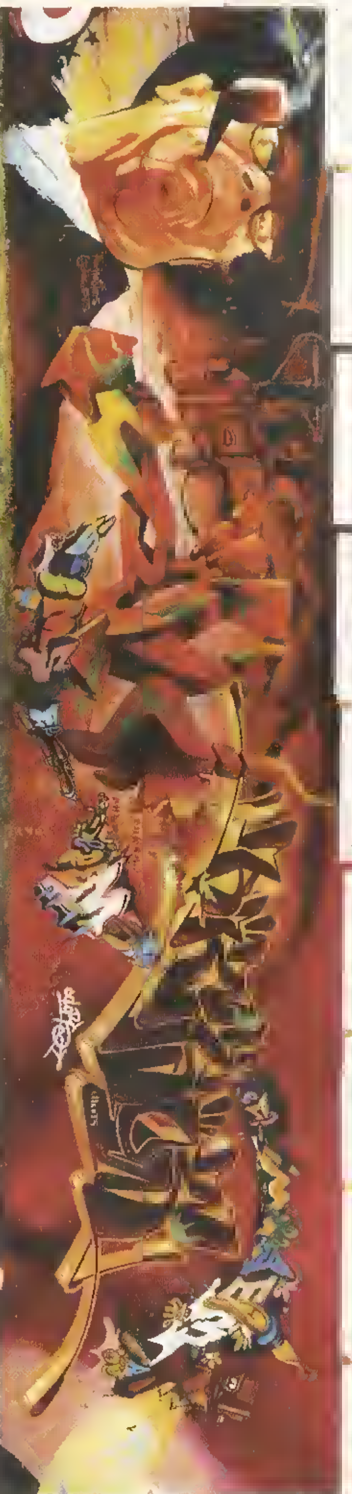

Liverpool 2003 yo!!

MEETING OF STYLES










C175
CHROM SPORT
www.chrom.com.pl

breakdance

bitwa o polskę

20 maja 2005 podczas wieczornego koncertu z serii RBK Hip Hop Tour 2005 poznaliśmy triumfatorów turnieju breakdance RBK Bitwa o Polskę zorganizowanego przy okazji tegorocznej trasy. W ścisłym finale zmierzyły się cztery spośród najlepszych polskich grup breakdance'owych: Azizi z Rybnika, WHSB z Białegostoku, Kingz of Warsaw z Warszawy i Asskickers z Polic



Cetowy z Azizi Prze Crew - czteroosobowe Azizi pozamiatało na imprezie i w doskonałym stylu i humorach zdobyli główną nagrodę...

tekst i foto Wojtek Antonów / WZRR

Przed finałami w skateparku Sprite-Kamuflage w centru handlowym Blue City w Warszawie odbyły się zaciekłe eliminacje, na które stawiło się 12 czołowych ekip tancerzy z całej Polski. Grupy walczyły o wejście do ścisłego finału, w którym było miejsce tylko dla czterech z nich. Sam pomysł na zorganizowanie eliminacji w innym miejscu niż finały pozwolił na rozegranie ich w „kameralnej" atmosferze, bez zgiełku towarzyszącego hip-hopowemu koncertowi z wieloma sławnymi grupami i fanami, którzy nie za bardzo interesują się breakdance'em. Tak więc spokojnie i na luzie, między samymi zainteresowanymi można było rozstrzygnąć, kto zawalczy o miejsca na podium i nagrody. A było o co walczyć: pierwsze miejsce to 2000 pln i nagrody rzeczowe o wartości 5000 pln ufundowane przez RBK, pozostałe miejsca odpowiednio mniej, ale wierzcie mi, też nieźle.

Sędziami całej imprezy byli zaproszeni specjalnie na tę okazję tancerze z Hiszpanii – Moysex i Bboy KO oraz zasłużony polski bboy i członek grupy Stylowa Spółka Społem – Decu. O odpowiednią muzykę zadbał DJ Domel, najlepszy polski dj grający dla breakdancerów. Jak zwykle nie obyło się bez drobnych opóźnień, ale nikt nie narzekał, bo Skatepark Kamuflage nadaje się nie tylko do jazdy na deskorolce, ale też w tym przypadku doskonale spełnił funkcję wielkiego danceflooru i wszyscy wykorzystali czas na dobrą rozgrzewkę czy po prostu spotkanie ze znajomymi i pomachanie razem. Oczywiście wszystko udało się dopiąć na „ostatnie guziki" i RBK Bitwa o Polskę odpaliła...

Eliminacje polegały na walkach jawnie wylosowanych ekip ze sobą – kto wygrywa, przechodzi dalej, a następnie grupy walczą z tzw. „drabinki". Ograniczenie ilości zawodników do czterech w zespole pozwoliło na dynamiczne i sprawne pojedynki, w których każdy mógł pokazać co potrafi i zawalczyć – walki dzięki temu były ciekawe i zróżnicowane. Najbardziej zaciętym pojedynkiem był baraż o wejście do finału między Ready to Battle a Asskickers, wygrany przez tych ostatnich. Najbardziej niespodziewanym werdyktem była wygrana Kingz of Warsaw ze Spasiba Breakers, a najmniej problemów z przeciwnikami mieli załoganci z Azizi. Wspomniani Kingz of Warsaw z Warszawy radzili sobie nienajgorzej, jednak, jak wspomniałem, werdykt sędziów w ich walce ze Spasiba nie przekonał mnie, ale prawdą jest, że w końcu mozemy mówić o ekipie breakdance z Warszawy, która tańczy. Powodzenia chłopaki. Poza tym, WHSB z Białegostoku wyrośli na ekipę, która już teraz potrafi stawić czoła każdej ekipie w Polsce, a reszta też radziła sobie dzielnie, więc poziom imprezy stał na przyzwoitym poziomie.

I tak po zakończeniu eliminacji bboye przenieśli się do warszawskiego klubu Stodoła, gdzie na zainstalowanej scenie odbył się wielki finał, podczas którego zatriumfowali tancerze z Rybnika, czyli Azizi. Na drugim miejscu znaleźli się WHSB, na trzecim byli Warszawiacy, a na czwartym Asskickers.

Zarówno eliminacje jak i finały, pomimo iż odbyły się w innych sceneriach i innych klimatach, udały się świetnie, co potwierdzają zadowoleni zawodnicy, znajomi i kibice. Po finałach odbył się pierwszy z tegorocznych koncertów z serii RBK Hip Hop Tour 2005, ale to już zupełnie inna historia...


Asskickers z Poñc w pierwszej finałowej walce z WHSB...


Kingz of Warsaw w ataku...


Grupowe zdjęcie uczestników finałów RBK Bitwa o Polskę. Elooooooo...


[illegible]minacje w Sprite-Kamuflage skatepar[illegible] dla wtajemni[illegible] naprawdę zainteresowanych

trick miesiąca

Krzysiek Stasik/bs. flip/Paryż
foto: Gabor Nagy











toy story

czyli o zawodach słów kilka...

To będzie już kolejny tekst na ten sam temat, znowu inspiracją są różnego rodzaju fora internetowe (o dzięki wam, hejtersi). Wydarzenia rozgrywane na zawodach Etnies European Open odbiły się szerokim echem w całej deskorolkowej Polsce. Szczególnie amatorzy nocnych posiadówek przy Internecie upodobali sobie ten temat, aby na różnego rodzaju forach dawać upust swej frustracji i niezadowoleniu. Oto bowiem okazało się, że ich idole z Polski nie pokonali złych przybyszów z Europy. Według nich, „nasi prosi tylko lansowali się w skateparku", nie robiąc nic poza tym. Widząc to, rodzimi internetowi eksperci skazali polski skateboarding niemalże na śmierć i uznali, że nic dobrego w naszej deskorolce się już nie wydarzy.

Zwykle ignoruję tego typu sprawy, nie wypisuję ripost na forach (chyba że dla żartu) ani nie przejmuję się tym wcale. Zdaję sobie sprawę, że poziom intelektualny bywalców takich miejsc jest tak mały, jak średnia ich wieku (w granicach dziesięciu-jedenastu lat). Teraz jednak nie wytrzymałem i muszę napisać coś o zawodach w skateboardingu.

W normalnych sportach, takich jak koszykówka, lekkoatletyka czy tenis, zawody są najważniejsze, a przynajmniej na to wygląda. Sami sportowcy w wywiadach mówią tylko i wyłącznie o swoich planach dotyczących startów, o ciężkich treningach i miejscach na podium. Istotą sportu jest rywalizacja. Co prawda, pojęcie to bardzo różni się teraz od swojego antycznego pierwowzoru, ale dalej chodzi mniej więcej o to, aby pokonać przeciwnika. Tymczasem, moi drodzy, z założenia skateboarding i jemu pokrewne zajęcia (przynajmniej z założenia) nie są typowymi sportami. Poczytajcie wywiady ze znanymi postaciami i jeżeli znajdziecie tam chociaż jedną wzmiankę o zawodach, to będę bardzo zdziwiony. Dla deskorolkowca takie słowa byłyby wręcz czymś niepożądanym. Deskorolkowcy są przecież „jedną wielką rodziną", a nie wrogami.

Jeżeli byliście kiedyś na jakichś zawodach skateboardowych, to czy widzieliście zwyczajne obrazki dla innych dyscyplin, takie jak rozgrzewanie się zawodników robiących pompki i przysiady, czy widzieliście jakiegoś trenera, czy wreszcie widzieliście, żeby ktoś się porządnie zdenerwował z powodu przegranej? Coś mi się wydaje, że takich obrazków na kontekście deskorolkowym nie uświadczy się, a to wszystko dlatego, że tak naprawdę większości skateboarderów nie zależy na wygranej w zawodach. Gdyby tak bowiem nie było, czy widzielibyśmy takie obrazki jak olewających na całego imprezę Aliego Boulalę i Arto Saariego? Oni też zostali pojechani przez polskich internautów. Podobnie jak polscy prosi, „tylko się lansowali i nic nie robili". Powiedzieć, że Polaczki są kiepscy, to można jeszcze ścierpieć, ale żeby uważać, że takie nazwiska są nic nie warte, to już trzeba być po prostu półinteligentem.

Ten, kto się orientuje w deskorolce, wie, że tak naprawdę najlepszym odzwierciedleniem poziomu jazdy jest nagrane video danego skatera. To wtedy można się najlepiej skupić, z dala od publiki i tysiąca wpatrzonych par oczu. Miejscówki są tysiąc razy trudniejsze od skateparków i każdy trik wykonany na spocie jest o wiele bardziej zajawkowy od numeru ze skateparku. Oczywiście są też ludzie, którzy jeżdżą tylko na sztucznych torach, wszystko zależy od podejścia do sprawy. Wydaje mi się, że głównie tacy amatorzy skateparków przybyli do Krakowa na zawody. Ludzie ci mieli obcykane w małym palcu skateparki i po prostu dobrze się w nich czują. Jednak też nie widziałem w nich wielkiej ochoty na wygraną, według mnie oni cały czas się dobrze bawili. Bo czy klasyczny sportowiec chlałby całą noc, by potem po nieprzespanej nocy startować w zawodach? A właśnie tak wielu z nich robiło. Skaterzy przyjechali na zawody nie po to, by je wygrać, ale by pojeździć sobie na deskorolce.

I o to można mieć żal do naszych: że występowali w tych zawodach jak za karę, na ich twarzach nie widać było ani trochę uśmiechu, tylko ogromne wkurwienie, że muszą jeździć w skateparku, jakby ktoś im kazał. Natomiast tego, że „nie podjęli walki z obcym najeźdźcą", zarzucać im nie można, bo z jakiej niby racji. Każdy wystąpił za swoje pieniądze (ew. za kasę sponsora), więc nie wiem, skąd ta nienawiść pod ich adresem. Chcieli wydać tę kasę i jeśli nie pojeździli, to ich sprawa, a nie setek internetowych krytyków.

Zrozumcie, że deskorolka była po to wymyślona, aby się dobrze bawić, a nie stwarzać sobie sztuczne problemy z jej powodu. W Polsce wygląda to niestety żałośnie. Zamiast łączyć, u nas skateboarding jest podzielony na różne obozy: Warszawka kontra Niewarszawka, punki kontra rapowcy, zawodnicy kontra streetowcy i tak w kółko. Zacznijcie wreszcie zajmować się własnymi sprawami i ćwiczcie triki, zamiast rozliczać innych.

tOi Oi







total chaos

mój setup

TOMEK SZKIELA

Odłożyłem słuchawkę po rozmowie z Tojbą, a że prosił, co by było szybko, to zaczynam pisać od razu. Taki jestem – kolega fajny. Mój Setup. No kurde, szpada... U mnie jest tak, że, delikatnie mówiąc, ułożyło mi się i sponsorują mnie firmy, które i tak bym kupował w sklepie. Wygląda to w sposób następujący.

Toż wstydem byłoby wyskoczyć na lans z inną deską niż GIRL bądź CHOCOLATE. Marka to uznana prosto z San Francisco – krainy kangurów i misiów koala oczywiście. Deska nie powinna być zbytnim wężcem, ale też i nie winna być kwadratowa. Najlepiej coś koło 7,75. Z tej samej stajni wjeżdżają także trucki ROYAL i kółka FILLMORE. Royale oczywiście niskie, max rozkręcone i najlepiej jakieś superkolorowe, bo wtedy lans sięga zenitu. Co do kółek, to mimo że naprawdę chciałbym się wieźć się z takimi wąziutkimi kółeczkami, jakie zakładają sobie polscy skejt-lanserzy, to ja po prostu nie umiem na takich jeździć. Czuję się, jakbym jeździł na żyletkach. Poza tym robię z nich kwadraty w przeciągu pół godziny – bo pańcia lubi rzucić wheelslide'em. Najchętniej założyłbym sobie dwa podłużne walce, ale jako że takich nie ma, to muszę poprzestać na szerokich pięćdziesiątkachjedynkach klasy „średniotwarde".

Co ponadto? Śrubki montażówki – takie, jakie znajdę w mojej siatce ze złomem. Łożyska? No, tutaj mogę się rozgadać. Bardzo chciałbym poprzeć nasz polski przemysł łożyskowy, ale kiedy zakładałem bardzo popularne swojego czasu „turbówy", to miałem je góra tydzień. Jak wiadomo, tydzień to mało, tak więc od jakiegoś czasu korzysłam z łożysk superlansiarskich, czyli amerykańskich. Najlepiej abec5 i najlepiej z jakimś bajerem – w końcu amerykańskie muszą być jakieś lajniejsze. No i na koniec buty. Buty są zawsze LANDO i powinny być starymi, pogiętymi szmatławcami. Tak, wiem, co powiesz, Drogi Czytelniku: „taki lans w starym, śmierdzącym kapciu?!". Ale niestety, podobnie jak w przypadku kółek, w takich po prostu najlepiej się jeździ. Ale nadrabiam łożyskami. Poza tym do klubiwa zawsze idę w nowych. I mam na ręku koraliki. Tak czy srak, lans jest – czy stary kapeć, czy błyszcząca koza nówka funkiel.

Trzeba powiedzieć jeszcze jedną istotną rzecz. Bardzo ważne jest, abyś dobierał sobie taką gralikę na desce, która będzie Ci pasować do stroju. Najlepszym sposobem na osiągnięcie tego celu jest posiadanie wszystkich ubrań w jednym kolorze albo po prostu posiadanie całej szafy ubrań identycznych – wtedy staniesz się szybko dobrze rozpoznawalny na miejscówie i zyskasz szacunek u współjeżdżców. To tyle a propos mojego setupu, co prawda nadal czekam na ofertę od KFC, ale oni chyba nie są jednak zainteresowani. Więc na razie zostaje to, co jest.

Pozdrawiam i życzę miłej lektury jakiegoś wywiadziwa ze znanym raperem.



antyranking



W tym numerze rozpoczynamy antyranking skateparków. W naszym pięknym kraju jest ich w bród, ale za to dobrych mamy jak na lekarstwo. Dlatego idąc naprzeciw naszym wspaniałym budowniczym, ogłaszamy listę najgorszych skateparków w kraju (ze znalezieniem takowych problemów nie będzie, najtrudniej będzie wyłonić czołówkę beznadziejnych parków).

W tym numerze prezentujemy absolutną rewelację, coś tak kiepskiego, co sprawi, że jazda na nim będzie udręką. Każde zawody przeprowadzone na nim będą z góry skazane na pojechanie na Internecie. Proszę państwa, przed Wami firmowy skatepark firmy Tech Ramps – tzw. skatepark do wypożyczenia. Będąc ostatnio na dwóch imprezach (w Krakowie i Rzeszowie) widziałem, jak wygląda kontest rozgrywany na tym sprzęcie. Mam nadzieję, że były to ostatnie wydarzenia na owym wypożyczonym torze...



Materiał – sklejka z mega wystającymi drzazgami. Przeszkody – mix konstrukcji przeznaczonych na deskorolkę, rolki, bmx, skutery śnieżne, snowboard, hulajnogi i spadochroniarstwo artystyczne. Estetyka wykonania – wygląda, jakby był zrobiony przez ślepego stolarza, brzydsze nawet niż Jutrzenka. Charakterystyczną cechą tego skateparku jest to, że nie nadaje się on do niczego, poza tym ma szczęście do bycia wystawianym na wyjątkowo dziurawym asfalcie (wiem, że to przypadek, ale fatum nie wybiera). Całość – żenada.

Apel do organizatorów zawodów – pod żadnym pozorem nie wypożyczajcie tego „cuda", chyba że chcecie znaleźć się w rankingu na najgorszy kontest w Polsce.

kite newsy

◆ Warriors of the Wind 3-5 czerwca

Właśnie zakończyły się zawody Warriors of the Wind! Trwały od soboty do niedzieli i były przeplatane wiatrem, deszczem i słońcem. Dobra organizacja i spoko muzyka. Zawodnicy także dopisali, pokazując swoją inwencję na sliderze i kickerze oraz demonstrując ekstremalne kiteloopy. Rozegrane konkurencje: Freestyle, „Slider/Kicker", „kiteloop".

◆ Siemens Kite Cup 2005 1-3 lipca

Trzydniowe zawody na campingu „Chałupy 6" (Półwysep Helski) również okazja do zapoznania się z najnowszym sprzętem kitesurfingowym oferowanym przez polskich dystrybutorów. Swój udział w testach potwierdziły liczące się na polskim rynku firmy: Slingshot, Naish, Flysurfer, RRD, Takoon, Skywalker, Best, North, F--One, Cabrinha, Liquid Force, SU2.

◆ Zawody Quiksilver/Naish/Samsung „Warriors of the Wind" 2

Druga edycja rozegranych już zawodów, o których przeczytaliście wyżej. Jeżeli wiatr dopisze, może być naprawdę interesująco.

◆ Kite4life lipiec-sierpień

Będzie to cykl imprez, również wieczornych, połączonych z zawodami. Niestety, szczegóły nie są nam znane, wiadomo jednak, że wszystko rozegra się na campingu Solar, Chałupy 4.

◆ Polish Kiteboarding Challenge 30 lipca

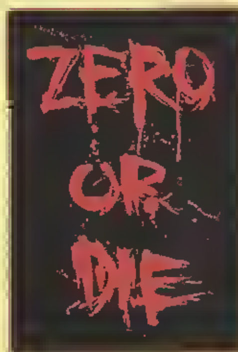
Wyścig kite'owy Rewa – Chałupy!!! Pomysł jest świeży. Cała impreza odbędzie się w ostatnich dniach lipca i wystartuje w niej około 30-40 raiderów. Race będzie polegał na jak najszybszym przepłynięciu odcinka z Rewskiej Łachy do Chałup. Będzie to pierwsza tego typu impreza w Polsce.

◆ Puchar Polski w Kitesurfingu 10-15 sierpnia

Niestety, lokalizacja imprezy nie została jeszcze ustalona, ale na pewno miejscówka zostanie wybrana spośród Juraty, Łeby i Sopotu.

total chaos

recenzja sk8



Zero „New blood”

Oto wreszcie światło dzienne ujrzało najbardziej mroczne video na świecie. To, co tam znajdziecie, to prawdziwe „krew, pot i łzy”, czyli dokonania ekipy Zero okupione wieloma wywrotkami i nerwami zdolnymi doprowadzić do choroby psychicznej. Chłopaki z tego teamu (a także Mystery) nie oszczędzają się wcale przy próbach trików na największych rzeczach w historii filmów. Jednak efekt, jaki uzyskali, według mnie, nie umywa się do ich poprzednich dokonań. Po pierwsze, sam autor Jamie Thomas nie zmienił nic w montażu. Video wygląda idealnie, tak samo jak każda produkcja spod znaku Zero. Ma to też swój urok, wiadomo czego można się po niej spodziewać i fani tego typu rzeczy nie będą zawiedzeni.

Triki w „New blood” są przegięte. Nie, to raczej rzeczy, na których są robione po prostu nie trzymają się powszechnych standardów, są dwukrotnie większe. Na początku jest to szokujące, później, wraz z kolejnymi przejazdami, niestety zobojętniałem i każdy trik wydawał mi się czymś bardzo zwyczajnym. Co innego, gdy ogląda się przejazd, gdzie wszystko toczy się na zwykłych murkach, a kilka ostatnich sztuczek jest niewyobrażalnych. Tutaj każdy trik jest przegięty i dlatego pod koniec film się nudzi.

Nie pomyślcie, że video to nie podobało mi się. Jestem wielkim fanem dokonań Thomasa i spółki, ale oczekiwałem od nich większej kreatywności niż tylko crooked na długiej poręczy. Mam wrażenie, że droga, którą obrali, prowadzi donikąd (albo raczej do śmierci), bo przecież w końcu zabraknie im poręczy. Wyjątkami są części Jamie Thomasa, który pokazuje, jak bardzo jest wszechstronny i odnajduje się na każdym terenie oraz Chrisa Cole'a, który osiągnął mistrzostwo w kontroli nad deską: bs. 360 flip z ogromnych schodów, 270 ollie backside na nose blunt slide na poręczy mówią same za siebie. Mimo moich narzekań spokojnie polecam wszystkim obejrzenie nowej produkcji Zero, chociażby żeby zobaczyć, jak bardzo napracowali się chłopaki i ile poświęcenia ich to kosztowało. Zajebista jest też wstawka Mystery (jak głosi napis, video wkrótce) przy dźwiękach Moby'ego. „New blood” to kawał solidnego hard core'u.

tOi Oi

wyniki zawodów

◆ W weekend we Wrocławiu odbyły się zawody TERRA-VITA-BROTHERHOOD SKATE JAM. Pierwsze miejsce zdobył **Marcin Jakubowski**, drugi był **Bartek Milczarek**, a trzeci **Kuba Bączkowski**. Wśród juniorów najlepszy był **Michał Kulczyński**.

◆ Wyniki Dibo ArtDeRue Contest:

01. Tomek Dworzak (Kraków) i Karol Furmańczyk (Warszawa)
02. Grzegorz Górski (Kraków)
03. Łukasz Szuba (Opole)

Best trick: Łukasz Szuba – grab przez cały funbox na płaskie

◆ Wyniki Etnies European Open:

Finał:

01. Chris Pfanner, Austria
02. Lukas Danek, Czechy
03. Fredu Austbo, Norwegia
04. Fabian Neugebauer, Niemcy
05. Steve Forstner, Austria
06. Phillip Schuster, Austria
07. Thibaud Fradlin, Francja
08. Enrico Petralia, Szwecja
09. Thomas Weber, Niemcy
10. Jeremy Weber, Niemcy
11. Armin Lowenstein, Niemcy
12. Kilian Heuberger, Niemcy

◆ Best trick:

01. Manuel Margreiter, Austria (bs. nose blunt slide, bs. flip na płaskie)
02. Chris Pfanner, Austria (bs. feeble zejście bs. 180)
03. Peter Molec, Słowacja (switch crooked, switch bs. feeble)
04. Lukas Danek, Czechy (fs. boardslide przejście na ts. lipslide)

◆ Preeliminacje:

01. Enrico Petralia
02. Thomas Meind
03. Dimitir Stathis
04. Henrik Peccatas
05. Daniel Spigie
06. Martin Chudik
07. Krzysiek Poskrobko
08. Jan Tomsowski
09. Willierd Mandereau
10. Oskar Oglecki
11. Przemek Cymbalski
12. Krzysiek Stasik
13. Tomek Warzecha
14. Denis Lauter
15. Jan Paul Hoffmann
16. Michał Kulczyn
17. Amadeusz Kraj
18. Maxim Habanet
19. Karol Furmańczyk
20. Grzesiek Górski

I Międzynarodowe TARGI Mody Hiphopowej Hip-Hop Ulicznej Street wear oraz Sportów Extremalnych 6-8 maja CIESZYN

TARGI ODZIEŻY I SPORTÓW EKSTREMALNYCH 6-8 maja Cieszyn

Po raz kolejny w Cieszynie odbyły się targi, które ściągają producentów i dystrybutorów sprzętu sportowego oraz młodzieżowej odzieży. Dzięki temu mogą oni zaprezentować swoje kolekcje kolegom z branży, szerszej publiczności i mediom, a przy okazji nawiązać kontakty towarzyskie i zawodowe. A żeby szary człowiek przy okazji takich targów nie nudził sie za bardzo, organizatorzy pomyśleli o całym mnóstwie towarzyszących imprezie atrakcji. Przede wszystkim, na samych targach można było posłuchać dobrej muzyki granej przez z adapterów przez didżejów, wziąć udział w szalonych konkursach, dostać naklejki i inne fajne gadżety albo po prostu napić się darmowego piwa :) Swoje stoiska wystawiły takie marki jak Matin Cemper, Billabong, Tribal Gear i inni, obecni byli też przedstawiciele firm 100%, Etylina, Malita. Swoje kramy rozstawiły ponadto firmy zza naszej południowej granicy. Tak więc było kolorowo i wesoło, pozdrawiamy wszystkich.

Wracając do wyżej wspomnianych atrakcji, to przy okazji targów zorganizowano np. snow-jam (w maju??!!). Przywieziono ciężarówkę śniegu, oraz prosty rail ze snowparku w Wiśle i w tych skromnych warunkach rozegrano szybki jib-jamik. Chłopaki rzucali się strasznie, zarówno narciarze jak i snowboarderzy, klimat był wybitnie undergroundowy i fajnie – muzyka i światła były z samochodów, zawodników dopingowała spora grupka kibiców, niezła akcja.

Wieczorem oczywiście było afterparty, na którym królował zespół psycho funk, Łąki Łan. Szalone chłopaki. My też tam byliśmy i z nimi szaleliśmy. Było bardzo wesoło.

Następnego dnia targi trwały w najlepsze, pierwsze kontakty zostały nawiązane, a do tego odbył się jam deskorolkowy, na którym pokazał się i wygrał Karol Furmańczyk, ale nie ma niestety co o tym dżemie pisać. Dlaczego? Z powodu skateparku – odsyłam Was do rankingu antyskateparków w dziale Total Chaos. Wieczorem znowu było afterparty, na którym tym razem grał DJ Hype, który miksował dla gości kozacką muzykę i wszyscy bawili się bardzo dobrze.

Niedziela zaczęła się bólem głowy i okazała ostatnim dniem targów. Wszystko dobre, co się dobrze kończy... o ile się wszystko pamięta, a z tym różnie bywa :)

W każdym razie targi odzieży i sportów ekstremalnych uważamy za zamknięte, wesołe i udane. W imieniu organizatorów już teraz zapraszamy wszystkich na przyszłoroczną edycję, a im samym dziękujemy za pomoc okazaną naszej ekipie. Co złego, to nie my :)



Krzysiek Stasik/nose slide/Paryż, La Defense
foto Gabor Nagy

aeon tour
europa w 8 dni

Wielu z Was marzy zapewne o odwiedzeniu chociażby jednej z widzianych w skate'owych filmach miejscówek. Ten sen o deskorolce na najlepszych europejskich spotach spełnił się kilku osobom. A konkretnie polskiemu teamowi Soul Distribution, czyli Michałowi Jurasiowi, Krzysiowi Stasikowi, Marcinowi Jakubowskiemu, Przemkowi Cymbalskiemu oraz licznym przyjaciołom z całego kraju

tekst Gabor Nagy

Cała przygoda miała na celu zwiedzenie paryskich miejscówek. Na szczęście Francja nie graniczy bezpośrednio z naszym państwem, a teleportacja jest wciąż rzeczą niemożliwą, więc po drodze zawitaliśmy jeszcze do Berlina, Kolonii, Frankfurtu, czeskiej Pragi... I tak mały trip przekształcił się nam w ośmiodniowy skate-wypad po Europie! Nie ukrywam, że nad naszym wyjazdem od samego początku wisiały czarne chmury. Problemy z busem, datą, rezerwacją hoteli nie były jednak w stanie zatrzymać naszej napalonej na skateboarding piętnastki. Niestety, w wielu fajnych miejscach głównym wrogiem deskorolki okazywał się deszcz. Tak było już pierwszego dnia, kiedy to z imponującą prędkością 60 km/h pędziliśmy autobahnem w kierunku Berlina.

BERLIN

Niemiecka stolica dała nam popalić. Super spoty, wszystko mokre, no i do tego trzygodzinne zabawy w „harcerzo-tropicieli" krytego skateparku. Po kilometrowych wędrówkach, błądzeniu po najskrytszych zakamarkach Berlina i spotkaniu żywych niedźwiedzi (oczywiście za ogrodzeniem) dotarliśmy do celu. Na przywitanie kasjer zażądał od nas 5 euro za wstęp, co dla naszych przeliczających wszystko na kebaby Iourowiczów okazało się sumą lekko zawyżoną. Postanowiliśmy więc wejść stosując metodę „panie, ja nic nie czaję", co okazało się strzałem w dziesiątkę. Fajnie, bo za darmo. Chłopaki pokazali Niemcom, co znaczy prawdziwy skateboarding. Kraju – front blunt na rureczce, Żbiku – k-grind, pivot na hubbie. Wizytę w skatehali zakończył Kacper swoim Ironi heelflipem transferem na piramidzie. Resztki sił postanowiliśmy wykorzystać na schnącej Baustelle, gdzie Michał Juras skleił hardflipa z dwóch wielkich schodów.

KOLONIA

Następny wschód słońca przywitaliśmy już w Kolonii. Tam, na wielkiej marmurowej Dom Platte, zaczęło się kręcenie sekw oraz poznawanie przyległych, znanych z filmów czy zdjęć, miejscówek. Fotografa Tomka Podgórnego postanowili poznać bliżej tutejsi plastikowi gangsterzy, nie przewidzieli jednak, że nie był tu całkiem sam. My nie wpadliśmy na myśl, że za jakieś 30 minut powrócą z napompowanymi tureckimi kolegami, dzierżąc w dłoniach noże. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, a ten dzień owocował jeszcze triczkami z siedmiu schodków. Cymbi – laser heelflip, nollie vaerial heel, Marcin Jakubowski – kombinacje heelflipów na drugą nogę. Kolejny dzień dobiegł końca, a my ruszyliśmy w drogę, trochę naokoło, ale znienawidzony kierowca Was doskonale wiedział, co robi. Jak że przez sen zdążyliśmy zahaczyć o Holandię, Belgię i...

PARYŻ

Po zakwaterowaniu w hotelu „Formula", ruszyliśmy metrem w stronę Le Dome. Tutaj na pierwszy ogień poszedł double set, z którego Krzysiek Stasik skleił na luzie flipa, bs. flipa i naprawdę mało brakowało mu do zlądowania sw. heela. Stamtąd nasze deski przeniosły nas pod wieżę Eiffela, gdzie Daniel kręcił sekwy z Michałem Jurasiem, który po raz kolejny zakończył dzień stylowym hardflipem z piątki. Dzień następny to La Defense.



Marcin Jakubowski/sw. heelflip/Stalin, Praga
foto Tomek Podgórny

Tu zainspirowani futurystyczną architekturą zaczęliśmy dusić bardzo nietypowe tricki. Przemek Cymbalski zrobił bs 5-0 bigspin out na szynach pod górę, Krzysiek Stasik bs nosegrind pop out, a pozostała część ekipy dusiła stromy bank. Po kilku godzinach skate'owania zostaliśmy wyproszeni przez..... no tak, przez policję. Wtedy ruszyliśmy na Bercy, czyli idealny spot z murkami, schodami, po prostu wszystkim, co rozbudza skate'owe serducho. Przemek C. zdusił ogromnego flipa i bs. flipa z kamiennych bloków, a następne chwile poświęcone zostały kręceniu sekw. Tego wieczora Was powiózł nas ze swoją wieczną Jachą na La Defense... Tutaj szok, Krzysiek noseslide na hubbie, a Amadeusz bs. tailslide!!! Triki te poleciały zaledwie w ciągu dziesięciu minut naszego pobytu tam, a Was mało co nie dostał ataku szału. Ostatni dzień to głównie pogoń za nowymi miejscami do jazdy, ale tak naprawdę nie wystarczyło nam zbytnio sił na jazdę. Do busa i jazda w kierunku Frankfurtu! Na miejscu przywitał nas jak zwykle deszcz, a także fani piłkarscy, których ukochany klub dostał się do pierwszej ligi, więc nici z jazdy. Dodam tylko, iż Krzysio i Michał Juraś skleili na doublesecie nollie flipa (ten pierwszy) oraz nollie, nollie hallcab, kickflipa (drugi).

PRAGA

Czechy, Praga, Stalin, marmur, gdzie tylko sięgnąć okiem, wspaniałe miejsce do kręcenia sekw i odpoczynku po ośmiu dniach skate-tripu. Marcin Jakubowski skleił tutaj sw. heelflipa z marmurowej skoczni przez gap, a Cymbi ochoczo zajął się jazdą pod otaczające go kamery. Tak bardzo się rozkręcił, że nawet padający z nieba deszcz nie pohamował jego zapału. Wielka ulewa z piorunami towarzyszyła nam już do końca podróży, czyli aż do samych domowych drzwi. Do następnego razu. Mam nadzieję, że jeszcze wybierzemy się gdzieś razem;)

etnies european open

kraków 3-5 czerwiec 2005

Na początku czerwca na trzy dni Kraków stał się centrum europejskiej deskorolki. Wszystko to dzięki firmie Etnies, która zdecydowała się zorganizować swoje zawody w tym pięknym mieście. Przed odbyciem się kontestu trwały długie spekulacje, kto przyjedzie, czy tym razem prosi dopiszą i jak będą wyglądać duże europejskie zawody w polskiej scenerii...

Krzysiek Poskrobko podczas swojego przejazdu zrobił pop shove it 5-0

tekst pc skate
foto Wojtek Antonów/WZRR

Miejsce zmagań zostało wybrane idealnie. Hala Wisly okazała się niewielkim pomieszczeniem (w porównaniu do tych wielkich z Munster czy Dortmundu), które w czasie finałów było wypełnione po brzegi. Organizatorzy dzięki temu uniknęli pustek na trybunach, jakie często można zobaczyć na rodzimych zawodach. Skalepark, mimo że nie był największy, to bardzo dobrze spełniał swoje wymagania. Startujący znaleźli w nim wszystko, czego można oczekiwać od dobrego toru – były murki, raile, gapy itd. Dopełnieniem tych typowych skateparkowych przeszkód były manual pady i wygięta rurka do wallie. Zajebistą rzeczą było to, że projektanci parku nie przesadzili z wysokościami konstrukcji, praktycznie każdy mógł wskoczyć na wszystko i tylko od wyobraźni zależał sposób doboru przeszkód do trików.

Pierwszy dzień (piątek) spokojnie można było nazwać dniem polskim. Zgodnie z regulaminem był to czas przeznaczony na preeliminacje, w których startować musieli nieznani szerszemu gronu skaterzy (czyli wszyscy Polacy). Do tych kwalifikacji zgłosiło się około pięćdziesięciu zawodników, z których do właściwych eliminacji miało wejść tylko dwudziestu. Każdy ze startujących w piątek miał do dyspozycji dwa przejazdy po 45 sekund. Prawie wszyscy Polacy jeździli bardzo nerwowo, jakby pierwszy raz stali w skateparku. Po części było to prawdą, bo przecież poza otwartym raz na rok Mentorem nie uświadczysz u nas prawdziwego skateparku. Wyszedł więc z Polaków brak objeżdżenia na tego typu imprezach, tylko naprawdę nieliczni pokazali, że można jeździć na zawodach na luzie, zwłaszcza, że publiczność w pierwszy dzień prawie wcale nie przyszła i widzami byli tylko startujący. Nawet





Chris Astrom w sobotę był nie do zatrzymania. Kick flip fs. boardslide.



Tak wyglada 360 flip robiony ze 100% skutecznością. Oto niemiecki Freddy Kruger Fabian Neugebauer.

najprostszy grind, kiedy go robił nasz rodak, wyglądał na strasznie trudny. Niestety, bez skateparku w każdym większym mieście będzie tak dalej. Kiedy natomiast do przejazdu podchodzili zawodnicy zagraniczni, od razu widać było różnicę poziomów. Odbiło się to wyraźnie na wynikach preeliminacji, gdzie wszystkie czołowe miejsca zajęli przyjezdni.

Choć ogólne wrażenie, jakie pozostawili po sobie Polacy, było nienajlepsze, to nie można powiedzieć, że wszyscy z naszych rodaków pojechali nieciekawie. Znalazło się wśród nich kilku, którym nie była straszna publika i skatepark. Krzysiek Stasik, mimo że nie prezentuje typowo zawodniczego stylu jazdy, pokazał kilka zajebistych trików. Jak zwykle bardzo szybko i żywiołowo jechał Bartek Milczarek, który jako jedyny starał się kombinować z doborem przeszkód w swoim przejeździe. Bartek nie robił typowych numerów typu „croocked na murku, flip na banku i 5-0 na murku", tylko pokazał, że deskorolka jest zabawą, a triki są tylko dodatkiem do jazdy. To, co pokazał Krzysiek Poskrobko, zdziwiło chyba nawet jego samego. Reprezentant Białegostoku w piątek jeździł po prostu jak natchniony, według mnie zaprezentował najlepszy przejazd dnia (m. in. pop shove it 5-0 na hubbie – szok!!!), cała publika w czasie jego rundy szalała. Krzysiek jechał na totalnym luzie, spokojnie i bez ciśnień. Szkoda tylko, że pod koniec dnia doznał poważnej kontuzji, która skutecznie uniemożliwiła mu start w następnej rundzie. Warto wspomnieć o jednej rzeczy. Listy startowe wpisywali Niemcy pracujący w Etniesie i dzięki temu wśród startujących znaleźli się m.in. Aziemysław Cybulański z Opoła, Marlin Jakvbowski z Wrocławia i wielu innych, których nazwiska przypominały obrazy Pabla Picassa.

Sobota była dniem właściwych eliminacji. Ci, którzy narzekali na poziom imprezy w piątek, musieli zamknąć mordy na kłódkę. To, co pokazali goście plus dwudziestka wyłoniona z preeliminacji, przeszło najśmielsze wyobrażenia. Przyjechali wszyscy, którzy mieli być, zabrakło tylko kontuzjowanego Bastiena, był za to Arto Saari, Ali Boulala i Penny (choć ten nie wyszedł ani na chwilę z baru). Ta ostatnia trójka była cały czas obserwowana przez żądnych sensacji małolatów, którzy oczekiwali od nich co najmniej salta na nose grind. Niestety, żaden z nich tego nie zrobił i zostali pojechani w Internecie:) Polscy zawodnicy byli po prostu przerażeni poziomem. Kilku z nich (chociaż startują na każdych zawodach w Polsce) w ogóle nie wyszło, gdy czytano ich nazwiska. Wszyscy inni (nie-Polacy) nie mieli takich problemów i prawie każdy pokazywał prawdziwe szoki. Chris Planner z Austrii latał po całym skateparku, śmiejąc się przy tym od ucha do ucha, terminator Frederick (Shrederick) Austbo zapierdalał przez kilka godzin non stop, myląc się przy tym może z pięć razy, wszystko inne było robione perfekt. Zawody w Krakowie ujawniły „nową wschodzącą gwiazdę" europejskiej sceny, Fabiana Neugebauera. Koleś ten po prostu rządził przez cały czas. Kick flip, bs flip czy 360flip robił zawsze i wszędzie. Nie zawiódł też człowiek-wrona, czyli Chris Astrom. Ten Szwed, mimo że wyglądał jak strach na wróble w połączeniu z koszem na śmieci, rozpierdolił cały skatepark. Trudne, techniczne triki w jego wykonaniu wyglądały jak zwykłe ollie przez deka. Dobrze wypadł cały team Cliche, a w szczególności Austriak Philip Schuster, który robił triki na zawołanie. Danny Wainwright ciekawie wykorzystał luźno stojący grind box, wszyscy robili na nim grindy i slide'y, a on go przeskoczył. Cholera, to było największe ollie, jakie widziałem w życiu... Jak wypadli Polacy w sobotę? Blado. Ci, co zdecydowali się wystąpić, mieli jeszcze większy stres niż dzień wcześniej. Tylko Krzysiek Stasik z Rzeszowa coś pokazał, był jedynym Polakiem, który dostał się do półfinału.

Niedziela przywitała większość skateboarderów ogromnym kacem i nową formułą rozgrywania zawodów. Półfinały i finały miały formę jam session. W trzyminutowym przejeździe brało udział trzech zawodników. Bardzo to uatrakcyjniło zawody, bo startujący nakręcali się nawzajem swoimi trikami, jeden zrobił flipa, a następny już po nim robił bs. flipa i tak cały czas. Tego dnia widać było prawdziwie światowy poziom. Ci, którzy przyszli zobaczyć w Krakowie skateboarding z profesjonalnych filmów, nie zawiedli się ani trochę. Można było zobaczyć wszystko – od technicznych wyjebek po karkołomne kaskaderskie wyczyny (takie jak skoki z ogromnych trybun w stromy bank jednego z Niemców). O poziomie zawodów może świadczyć fakt, że dotychczasowi wymiatacze, tacy jak Astrom, Saari czy Margreiter musieli ustąpić pola młodszym, zdecydowanym na wszystko newcomerom. W finałowym czteroosobowym jamie wystąpili: Neugebauer, Austbo, Lukas Danek i Chris Pfanner.



Zwycięzca Chris Pfanner robiący ollie transfer to 5-0

Niestety, już na początku przejazdu poważnie wywalił się Fabian i musiano na chwilę przerwać jazdę, żeby znieść go ze skateparku. Finał został więc rozegrany przez trzech ziomów. To, co oni wyprawiali, przechodzi ludzkie pojęcie: flip bs. lipslide przez całą rurkę, bs. flip i fs flip przez ogromny transfer, transfer przez funbox na smith i lip to tylko garstka tego, co działo się w ciągu tych trzech minut. Praktycznie do chwili ogłoszenia wyników nie było wiadomo, kto wygra. Od razu po finałach rozegrano best trick contest, w którym Manuel Margreiter nie dał szans nikomu (bs flip przez piramidę na płaskie, bs. nose grind i bs. nose blunt na największym railu). Chwilę później ogłoszono wyniki, po których okazało się, że trzecie miejsce zajął Norweg Austbo, drugie Czech Danek, natomiast pierwszy jest czarnoskóry Austriak Pfanner. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak się cieszył z pierwszego miejsca na zawodach, nic zresztą dziwnego, w końcu trzy tysiące euro piechotą nie chodzi...

Zawody te były bardzo Polsce potrzebne. Mam nadzieję, że powoli pozbędziemy się kompleksów i wejdziemy do deskorolkowej Europy. Jeżeli tak się stanie, to na pewno bardzo przyczynią się do tego organizatorzy tej imprezy, czyli firma Etnies i jej polski dystrybutor Cool Sport. Były to jedne z fajniejszych zawodów, na jakich byłem.



paul rodriguez
cudowne dziecko

Żeby osiągnąć wysoki pułap w obojętnie jakiej dziedzinie, najpierw trzeba niestety dużo się napocić. Jak to się mówi, „bez pracy nie ma kołaczy". Jest też uprzywilejowana grupa ludzi, która czegokolwiek by się nie dotknęła, zamienia się to w złoto. Są to tzw. „wielkie talenty", ludzie obdarzeni przez Boga nadnaturalnymi zdolnościami (patrz herosi z Mitologii)

tekst Pc skate

Bez wątpienia należy do nich cudowne dziecko skateboardingu Paul Rodriguez, który nim jeszcze osiągnął wiek pełnoletni, stał się sławny dzięki swym deskorolkowym dokonaniom. Przyszły superstar urodził się jako syn dosyć znanego komika Paula Rodrigueza. Junior, zamiast rozśmieszać ludzi, od małego zaczął jeździć na deskorolce. Na początku jako sześciolatek szusował na skateboardzie po całym domu, niszcząc wszystkie meble. Ojciec był zmuszony kupić mu lepszy sprzęt, tylko po to, aby wygonić syna z domu, żeby ten nie niszczył jego ulubionego stołu. Tak Paul trafił z deską na ulicę...

Już od samego początku dał się poznać jako osoba, której nauka trików nie zajmuje zbyt dużo czasu. Piętnastoletniego małolata od razu pod skrzydło wzięła firma E's. Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłem reklamę E'sa w jakimś magazynie i od razu był to szok – trikiem Paula na niej był chyba nollie croocked, czyli coś, co tylko najlepsi w tamtych czasach robili. Po takim początku od razu zwrócił uwagę na siebie całego skateboardingowego świata. Nikt poza jego kolegami go nie znał, ale każdy czekał na następne fotosy Paula. Te oczywiście z miesiąca na miesiąc były jeszcze lepsze, ale dalej nie wiadomo było, skąd się wziął ten młody Latynos.

Kiedy doszedł do tego teamu, był u szczytu popularności, sponsorzy wręcz dobijali się do niego drzwiami i oknami. Wybrał najbardziej ekskluzywne marki w skateboardingu – stał się członkiem deskorolkowej elity. Nowe triki robił na zawołanie, każde nowe zdjęcie było kolejnym szokiem, wszyscy chcieli mieć go na swoim filmie. P-Rod wybierał propozycje bardzo dokładnie. Zdecydował się wziąć udział w jednej z produkcji Transworld Skateboarding. „In bloom", bo o tym projekcie mowa, tylko umocnił pozycję Rodrigueza na rynku. Jego przejazd jest już klasyką (podobnie jak cały film). Dla najmłodszej fali skejcików stał się on guru. Swoją drogą, nieraz wprawiała mnie w zachwyt jego naturalna lekkość wykonywania trików, obojętnie na jaką nogę – wszystko wyglądało równie łatwo.

Powoli dziecko Paul zamieniało się w dużego Rodrigueza. Z czasem przybył mu na szyi kajdan i coraz większa pewność siebie. Stał on się gwiazdą X Games i temu podobnych rzeczy, mimo tego nie stracił jeszcze zaufania „prawdziwych streetowych deskorolkowców".

Następny przejazd w filmie „Yeah right" tylko umocnił jego silną pozycję. Jeżeli przypominacie sobie ten wysyp trików przy instrumentalu Nasa, to na pewno nie zapomnieliście też ostatnich sztuczek ze schodów – szok.



To wszystko zmieniło się, gdy światła dzienne ujrzał film firmy City Stars pt. „Street Cinema". Rodriguez miał tam oczywiście najlepszy przejazd. Jednak nie był to zwyczajny part w filmie. Ktoś taki jak Paul nie mógł mieć „zwyczajnego" wejścia. Tym czymś niezwykłym był kawałek, jaki wybrał sobie do przejazdu. Piosenką tą był jeden z utworów Jackson 5, ten sam, przy którym śmigał na „Video days" największy talent deskorolki wszechczasów, Guy Mariano. Nic zresztą dziwnego, że porównano go właśnie do Guya. Podobnie jak on, Paul był gówniarzem, który swymi skillsami przewyższał swoich starszych kolegów. Po ukazaniu się filmu „Street cinema" Rodriguez z miejsca stał się topowym prosem. Jego dewizą stały się techniczne triki, które robił, na czym tylko chciał. Nie ograniczał się tylko do małych murków, ale w swej jeździe atakował również miejscówki znane z harpagońskich filmów – raile, gapy, schody.

Film ten oprócz Paula wykreował też jego ekipę SHS, a trzeba powiedzieć, że należeli do niej m.in. Mike Taylor czy Spanky. Wszyscy oni jeździli dla tej samej firmy (City Stars) i jak mówili, byli jej częścią. Na pewno znacie z filmów ich słynne boisko szkolne, gdzie na ławeczkach robili nieskończenie długie sekwencje. Był czas, że P-Rod miała nagrywki tylko stamtąd, zmieniały się tylko sposoby ułożenia plastikowych stolików, na których robili przeróżne numery.

Nic dziwnego, że Paul stał się idolem młodego pokolenia deskorolkowców. W wywiadach mówił, że liczy się dla niego tylko jazda i koledzy (chodziło o kolegów z teamu SHS), a najważniejszy jest jego rozwój jako deskorolkowca. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna: po kilku miesiącach Paul opuścił tonący statek (jakim okazał się City Stars) oraz swoich ziomów i znalazł przystań w teamie Girl.

Podobnie jak po filmie „Street Cinema" (choć nie tak szybko) po ukazaniu się „Yeah right" Paulowi znudzili się dotychczasowi sponsorzy. Mimo że miał naprawdę najlepszych i wypłacających największe czeki sponsorów deskorolkowych, jemu ciągle było mało. Zapomniał chyba, jak mówił, że jedyne, co się liczy, to być w teamie z kolegami. Najpierw opuścił w City Stars ekipę SHS, a później bez żalu rozstał się z Girl Family i znalazł miejsce w nowopowstającej ekipie Plan B, która jest niczym innym jak deskorolkowym Dream Teamem – zbieraniną najlepszych skaterów. Jakby jeszcze tego było mało, (już) pan Rodriguez podpisał kontrakt z Mountain Dew i od zeszłego roku stał się oficjalną twarzą tego napoju (podobnie jak Britney w przypadku Pepsi). Następną marką, która zapragnęła mieć u siebie Paula, jest Nike. W tej chwili ma on już, jako jedyny deskorolkowiec, swój własny model buta.

W tej chwili nie można powiedzieć, że P-Rod jest tylko czołowym skaterem świata, jest on już gwiazdą pop-kultury – chadza na bankiety ze znanymi osobistościami (i to wcale nie sceny niezależnej) i chyba śladem swojego ojca chce być postacią z gazet. Ostatnio wieść niesie, że nasz bohater dogadał się z producentem pryszniców (tak, to prawda!) i ma wystąpić w telewizyjnym show, w którym będzie promował najnowsze technologie łazienkowe.

Mimo tego nie pomyślcie, że Rodriguez po wylansowaniu się w szerszym gronie zaprzestał jazdy. Nic z tych rzeczy; nadal każdą wolną chwilę poświęca na jazdę, magazyny aż pękają od jego nowych zdjęć i dalej utrzymuje on swój szalony progres. Spokojnie można mu więc wybaczyć romanse z „wielkim światem i jego pieniędzmi" i po prostu rozkoszować się jego skateboardingiem.

modest myśliwski

nowa twarz



Ile masz lat i jak długo jeździsz?
16, 4 lata na popychawce.
Skąd pochodzisz?
Warszawa GCW
Czy to, gdzie mieszkasz, ma jakiś wpływ na twoją jazdę?
W pewnym stopniu tak, mieszkam w większym mieście i mam jako takie miejscówki, o które trudno w naszym kraju.
Sponsorzy?
GE Clothing, Amok skateboards.
Co najbardziej lubisz w skateboardingu?
Wolność, nikt ci nic nie narzuca, robisz, co chcesz.
Czego w nim nie lubisz?
Chorej rywalizacji i nieuzasadnionych uprzedzeń.
Ulubiony trik?
Stylowy flip, bs. tail, sw. heel.
Czego się teraz uczysz na desce?
Tego, czego nie umiem.
Osiągnięcia?
Czyste sumienie.
Ulubiony film deskorolkowy?
Wszystkie Zero, Lordz – They don't..., DC Video.
Ulubieni deskorolkowcy
Chris Cole, Brian Wenning, Rodrigo TX, Jo Lorenz, Tommy Sandoval
Ulubiona miejscówka?
Stalin.
Co Cię inspiruje?
Przyroda, hehe.
Jak przełamujesz strach, czy jest coś, czego byś nigdy nie zrobił na desce?
Próbuję sobie wytłumaczyć, że to wszystko zależy ode mnie, a nie od deski czy poręczy. Nie ma takiej rzeczy, której nie można zrobić, tylko trzeba do tego dojść, w szczególności patrząc na nowe filmy. Choć wiem, że wielu trików nie zrobię w tym życiu.
Zainteresowania?
Fotografia, grafika, sztuka i sztuki, medycyna sądowa.
Muzyka?
Każda ambitna.
Film fabularny?
„Sens życia według Monty Pythona".
Switch czy normalnie?
Switch.
Skatepark czy street?
Street.
Lubisz zawody?
Nie, ale zawsze można spotkać na nich znajomych.
Co to jest styl na deskorolce i kto go posiada?
Styl to sposób, w jaki wykonujesz triki, na pewno posiada go Gustlik i skaterzy, których wymieniłem wcześniej.
Co jest ważniejsze – styl czy umiejętności?
Obie rzeczy w tym samym stopniu.
Co sądzisz o polskiej deskorolce?
Jest w porządku, choć jesteśmy za mało tolerancyjni. Ostatnio się rozwija, zobaczymy jeszcze, czy w dobrą stronę.

Bs. crooked grind
Warszawski Muranów
foto WZRR

Syndrom
up in the smoke tour

Długi weekend to świetna okazja, by urządzić deskorolkowy wyjazd. Sposobność tę wykorzystała firma Syndrom, której team-riderzy w tym właśnie czasie pojechali na podbój południowej Polski



Goly wraca do formy
frontboard na wrocławskim osiedlu



Dominik Jaskółka
bs. flip z wybitki na królowej polskich miejscówek, Paderewie

tekst tOi Oi
foto Wojtek Antonow / WZRR

Dlaczego akurat taki tytuł tej relacji? Dlatego, że nasze przygody i ich okoliczności idealnie pasowały mi do losów Cheecha i Chonga, bohaterów komedii o tym tytule.

W skład gangstersko-hippisowskiego crew weszli:

Michał „Jagson" Zabielski – człowiek, który zna całą historię graczy amerykańskiej rap gry: jeżeli chcecie się dowiedzieć, kogo dissuje 50 Cent, albo z kim aktualnie Game nagrywa wspólny kawałek, spytajcie Michała.

Dominik „Lil' D." Jaskółka – młody, ale zadziorny gangster ze Wschowy. Jego pewność siebie jest tak duża, jak wachlarz trików. Dominik rządził na każdej miejscówce, jeśli tylko mu się chciało...

Tomek Milan – rzeszowski odłam gangu, spec od manuali i wariackich flipów.

Tomek „Ten Typ Popek" Szymański – od razu po urodzeniu włączono mu tryb „slow" w odtwarzaczu i tak mu zostało do dziś. Funkcja ta wyłącza się, gdy Tomek jeździ na deskorolce.

Tomek „Go wee" Goławski – lubi zwrócić na siebie uwagę zajebistym trikiem, jego specjalność to hand raile.

Gościnnie pojechał jeszcze niezrzeszony (internetowy) gangster Modest Mikołaj Maksymilian Myśliwski lubiący robić tylko „duże rzeczy". Skład uzupełniały osoby fotografa i osoby piszącej te słowa.

Plan wyjazdu był następujący: w ciągu czterech dni zwiedzimy trzy miasta. Zaczynamy ze wschodu i podążamy na zachód. Pierwszym przystankiem miał być Rzeszów. Jego rezydentem jest Tommy Milan, który miał pokazać nam wszystkie ciemne strony jego miasta. Oprócz tego, w mieście tym miały się odbyć zawody w piątek, więc czwartek przeznaczyliśmy sobie na street, a w piątek część z nas miała startować w zawodach.

Trasa Warszawa – Rzeszów upłynęła nam pod znakiem mijanych procesji, gdyż był to dzień święta kościelnego. W ciągu jednego dnia widziałem ich więcej niż w całym swoim życiu, jedna nawet przeszła centralnie przez nas. Siedzieliśmy w samochodzie na środku jezdni, w środku gra muzyka, a na zewnątrz tłum ludzi śpiewający religijne pieśni – wszyscy patrzą się na nas. Czułem się co najmniej jak w reality show. Po dotarciu do Rzeszowa pierwsze kroki skierowaliśmy na główną miejscówkę tego miasta, Pomnik (monument ten jest łudząco podobny do organów rozrodczych kobiet). Znajduje się tam kilka bardzo ciekawych rzeczy: dość duże schody, platformy do manuali i znana w Polsce hubba. Czwartek był pierwszym z kilku dni, w których żar po prostu lał się z nieba. Pogoda ta i zmęczenie po podróży sprawiły, że lepsze triki zaczęły wychodzić dopiero wieczorem. Wtedy to poszliśmy sprawdzić miejscówkę leżącą naprzeciwko Pomnika. Tam Goły zrobił najpierw bardzo fajną sekwencję na schodkach, a później po drugiej stronie budynku znalazł łamaną poręcz, na której wykonał fs. boardslide.

„Lil' Mo", czyli Modest, próbował zrobić nad nią ollie, ale przy którejś próbie źle wylądował i doznał kontuzji, co wyłączyło go z jazdy na jakiś czas. Następnie udaliśmy się na zasłużony odpoczynek, zastanawiając się, co ze sobą przyniesie następny dzień. Piątek rozpoczął się jeszcze większym upałem. Miejsce zawodów (asfalt) dosłownie pływało, postanowiliśmy zatem poczekać na zmianę temperatury i pojechaliśmy na zadaszony spot, w którym można było schować się przed słońcem.

Naszą oazą cienia była tajna platforma Tomka Milana. Na tej długiej, ale niewysokiej przeszkodzie każdy z Syndromiarzy zrobił po jakimś triku, oczywiście prym wiódł sam gospodarz, który pokazał triki, jakich się na co dzień w Polsce nie widzi... Powrót na kontest okazał się powrotem do miejskiego bagna i to nie ze względu na obecność różnych szumowin – takich jak nasz gang – tylko na grząską

nawierzchnię. Nieliczni śmiałkowie, którzy nie bali się utopić, jeździli po skateparku, ale nasza ekipa zdecydowała się pójść na marmurowy pomnik, gdzie Goly zrobił zajebistą sekwencję i pop shove it z ośmiu schodów.

Po południu wszyscy byli już myślami na następnym przystanku naszej wycieczki, czyli katowickiej Paderewie. Na miejsce dotarliśmy jednak w nocy, więc eksplorację tego terenu przełożyliśmy na sobotę. Wśród nas były osoby, które jeszcze nie były na słynnym Pomniku Trudu Górniczego. Dlatego skoro świt, jeszcze przed pianiem koguta, ekipa Syndrom zameldowała się na miejscu. Ten Typ Popek i Jagson po prostu nie mogli wyjść z zajawki i mimo niewyobrażalnego gorąca katowali murki. W pewnym momencie wydawało się nam, że żar lecący z nieba zamienił się w lawę lub ogień piekielny. Na Paderewie widać było obłoki pary unoszące się nad marmurem. Było chyba ze sto stopni. Ale nasz gang razem z licznie przybyłymi lokalami dawał radę przez cały dzień, przerywając jazdę tylko na wycieczki do sklepu po picie. Byliśmy pod wrażeniem tego, jak lokalni skaterzy wykorzystują miejscówkę. Widać było, że świetnie się na niej czują. To był chyba najlepszy dzień wyjazdu, szkoda tylko, że było aż tak gorąco. Respekt dla Paderewy. Wieczorem, gdy słońce trochę opadło, pojechaliśmy na katowicką hubbę przy hotelu Silesia. Znajduje się tam bardzo stromy i dość wysoki murek przy jedenastu schodach. Strachu przed nią nie poczuł Modest, którego „cudownie" wyleczył z kontuzji widok murka. Po kilku próbach odjechał po udanym bs. 50/50. Niestety, zapadający zmrok uniemożliwił mu spróbowanie czegoś innego.

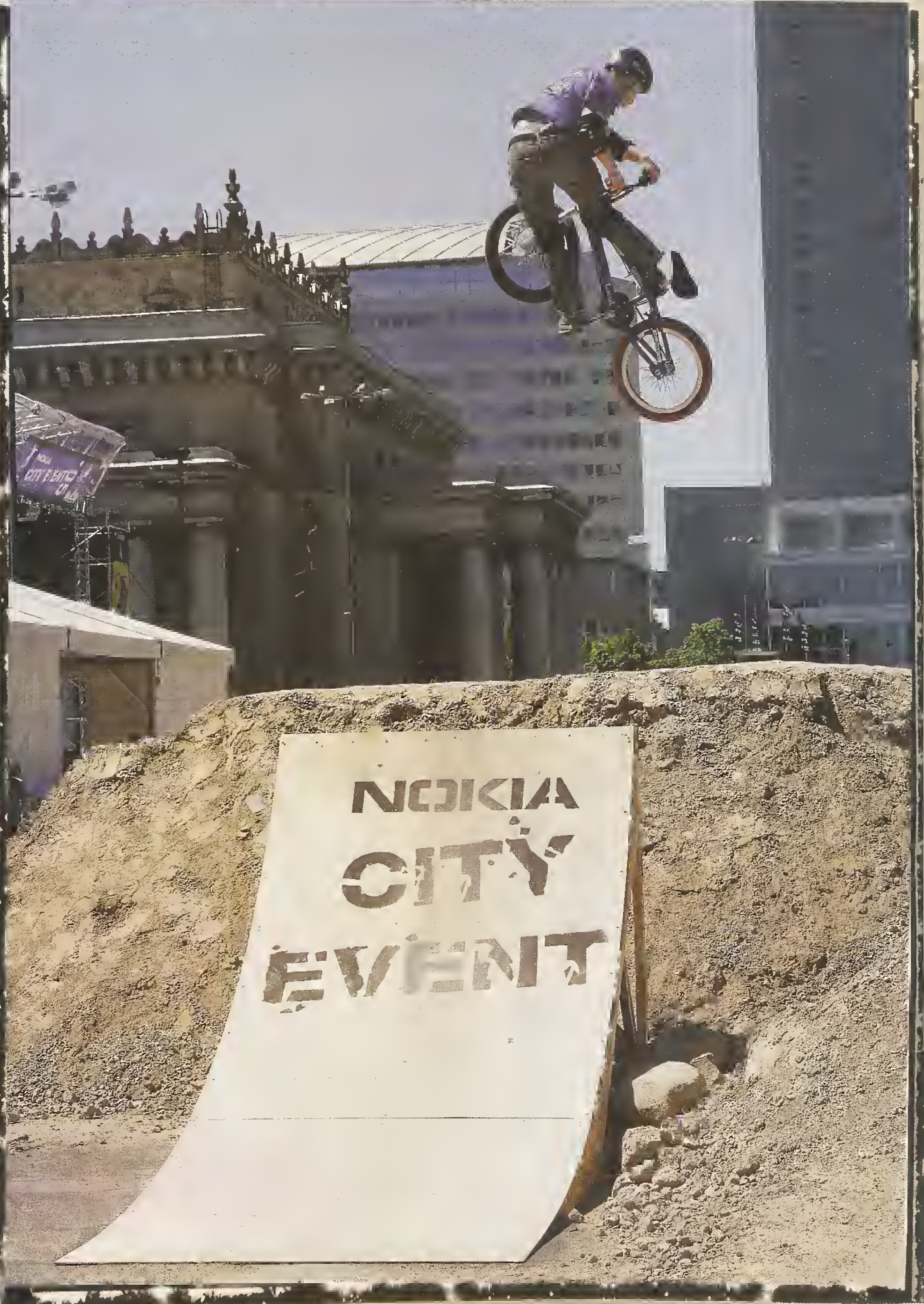
Po hammerze Modesta zapakowaliśmy się w samochody i zaczęliśmy się gubić na drodze do Wrocławia. Po szczęśliwym znalezieniu drogi w bardzo szybkim tempie znaleźliśmy się w tym mieście, które słynie z hucznych imprez. Po dotarciu na miejsce i sprawdzeniu, czy aby mit o Wrocławiu nie jest przesadzony (nie jest!), trzeba było się obudzić, a potem wstać z łóżka. Mimo pozornej łatwości, nie było to aż takie proste. Opcją zdecydowanie na niekorzyść było inferno pogodowe na ziemi, które w niedzielę osiągnęło swoje apogeum. Tego dnia we Wrocławiu odbywała się całkiem przyjemna imprezka kulturowo-deskorolkowa. Była to wystawa fotograficzna (o której możecie przeczytać gdzie indziej) połączona z zawodami deskorolkowymi. Kontest zdominowali lokale (oczywiście Marcin Jakubowski i Kuba Bączkowski), którzy pokazali, jak dobrze czują się w swoim skateparku. Wielki szacunek dla wszystkich, którzy wystartowali, bo oprócz stresu do pokonania mieli upał. Zawody miały całkiem niezły poziom. W best tricku niektórzy decydowali się na duże loty z quater pipe'ów, co jeszcze podgrzało atmosferę (a i tak, jak wiadomo, było gorąco). Wygrał oczywiście Marcin, oczywiście Jakubowski, oczywiście nie dzięki lotom z quatera tylko nollie heelflipom.

Syndromiarze spokojnie czekali na koniec zawodów, aby pojechać na streetowe miejscówki. Niestety, Wrocław nie jest w nie zbyt bogato wyposażony. Na szczęście był z nami Mietek, który pokazał nam bardzo ciekawy spot w postaci pawilonu handlowego, w okolicy którego znajdowały się duże (chyba jedenaście ich było) schody i dwie poręcze przy nich: jedna niższa, bardzo stroma okrągła rurka, druga była obudowana, kwadratowa i trochę wyższa. Najpierw ten, który nas tam zaprowadził, zrobił pewniutki feeble na rurce, później Amadeusz Kraj z Opola zrobił fs. board. Wtedy obudził się Goly, który cały wyjazd czuł się niespełniony. Do gustu przypadła mu wyższa poręcz. Najpierw zrobił tam megastylowy fs. board, a później fs. nose slide.

W tym momencie dzień chylił się ku końcowi i powoli trzeba było się zbierać do swoich miast. Tutaj normalnie relacja z wyjazdu powinna się skończyć, ale nie w naszym „Up'n smoke tour". My musieliśmy wyjazd zakończyć jakąś przygodą. I rzeczywiście stało się – nagle w ciemnej puszczy pod Bełchatowem w samym środku nocy padł nam samochód. Niestety, jesteśmy gangsterami-hippisami, a nie mechanikami, dlatego otworzyliśmy maskę i zaczęliśmy robić głupie miny. Robienie głupich min trwałoby pewnie jeszcze tydzień, gdyby nie pewien typek (dzięki, ziom!), który sam nas zagadnął. Okazał się elektrykiem, miał wszystkie potrzebne przyrządy, sprawdził nam wszystko po kolei pod maską, spytał, czy nie jesteśmy pod działaniem środków odurzających, wystawił samochodowi diagnozę i pojechał. A my musieliśmy jeszcze czekać długie godziny na stacji benzynowej najpierw na ładownie się akumulatora, a później (gdy okazało się, że jest on nieżywy) na otwarcie sklepu z częściami. To była długa i ciężka, ale za to chociaż gorąca noc...



Nieustraszony Modest, pogromca wielkiej hubby w Katowicach bs. grind


NOKIA
CITY
EVENT



nokia city event

warszawa 2005

Po raz kolejny wielka firma rozkręciła wielką imprezę w wielkim mieście. Mowa o Nokia City Event, która odbyła się 21 maja w Warszawie. Koncerty, breakdance, malowanie graffiti, capoeira, rolki, dziki tłum ludzi, piękna pogoda i najciekawsze zawody dirt BMX w tym sezonie – to wszystko zdarzyło się właśnie tego dnia

tekst Bugi
foto Wojtek Antonów / WZRR

Zacznijmy od terenu, gdzie wszystko się odbywało. Pod warszawskim Pałacem Kultury i Nauki od strony ulicy Świętokrzyskiej przygotowano wielki „plac zabaw" dla wszystkich spragnionych muzyki, sportu, elektronicznych gadżetów i innych atrakcji. Tak więc zainstalowano dużą scenę ze wszystkimi multimedialnymi bajerami, na której występowali artyści i sportowcy. Kto występował? Do udziału zaproszono hip-hopowców ze składu Zipera, którzy wystąpili jako pierwsi. Po nich były pokazy breakdance w wykonaniu grupy Crazy Squad. Na estradzie pojawili sie też „fanatycy" brazylijskiej capoeiry, którzy w wesołym korowodzie, grając na swoich bębenkach, toczyli pokazowe walki i popisywali się akrobatyczną sprawnością.

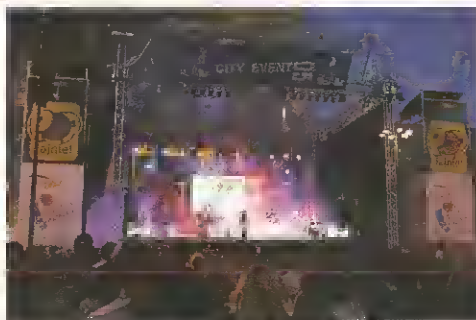
Wszystkich jednak przebił zespół Łąki Łan, grający muzykę funk w jego najbardziej psychodelicznej odmianie. Psychodelicznie też wyglądały ich stroje – wokalista np. przebrany był za pszczółkę, klawiszowiec za kosmo-robin hooda i tak dalej. Ogólnie Łąki Łan stworzyli kolorowy i funkowy show, który przez moment porwał zgromadzoną pod sceną publikę. Gwoździem, a raczej gwoździami muzycznego programu imprezy były występy Sidneya Polaka i Sistars. Sidney chwilę kazał na siebie czekać, po czym wskoczył na scenę i zagrał swoje hity z „Chomiczówka. Chomiczówka" na czele, po czym przyszedł czas na „Sistarsy" i to już był ogólny szał. Dziewczynki (te z publiczności) mdlały, krzyczały, w ogóle było jak na koncercie The Beatles. Po koncertach wystrzelono 50000 sztucznych ogni i było pięknie. Uff, no to tyle o śpiewaniu i atrakcjach na scenie...

Czas na atrakcje sportowe. A było tego sporo. Nokia zainwestowała w te atrakcje, nie ma co. Nad całym terenem górowała wieża ze ścianką do wspinaczki, na której toczyła się zaciekła walka we wchodzeniu na czas. Co by tu powiedzieć o wspinaczce? Nie znam się na tym, ale ja to bym tak szybko na górę nawet windą nie wjechał, a niektórzy na taką ściankę na samych rękach wchodzili w kilkanaście sekund. Respekt dla wspinaczy. Dalej był skatepark dla rolkarzy i deskorolkarzy. Niestety nie można o nim powiedzieć, że był idealny. Mniejsza o przeszkody, chodzi o to, że nawierzchnia przypominała bardziej molo w Sopocie niż skatepark. Obok parku usytuowany był tor dla trialowców na ich rowerach bez siodełek. Dodajmy do tego rampę dla rolkarzy stojącą nieopodal i mamy obraz ekstremalnego parku z marketingowych marzeń. Co do rolek, to na rampie rozegrał się całkiem konkretny kontest, zawodnicy fruwali sobie bardzo konkretnie, za co zostali nagrodzeni czekami na ładne parę złotych i innymi nagrodami. Pierwsze miejsce na rolkach zajął Piotr „Niwy" Niwiński.

I na sam koniec, czyli na deser, powiedzmy o tym, co na Nokia City Event udało się najlepiej. Otóż na ulicy wzdłuż Pałacu usypano w linii trzy super hopy dla rowerzystów, tworząc w centrum miasta najprawdziwszy na świecie tor do dirtu. BMX'owcy, z którymi rozmawiałem o tych skoczniach, nie mieli do nich zastrzeżeń, co oznacza, iż były one takie dokładnie jak trzeba. Na tym torze rozegrano poważne zawody, na których pojawili się poważni zawodnicy i posypały się poważne triki – superman seat grab, back loop, tailwhip, cała masa 360tek i innych lotów. Było nieźle. Jeżeli inne elementy Nokia City Event były udane, to o BMX dirt competition możemy powiedzieć, że było bardziej niż udane – to był po prostu kozak:) Dirt wygrał oczywiście Janusz Pietruczuk, zawodnik znany i lubiany w Polsce.

Podsumowując, można powiedzieć tylko jedno: czekamy na następne imprezy tego typu, promujące zdrowe i ciekawe zajawki, chcemy więcej! Pozdrowienia dla organizatorów, biorących udział i wszystkich obecnych na Nokia City Event!!!









kitesurfing

letnia zajawka

O kiteboardingu każdy już coś słyszał: że powstał w połowie lat 90. w wyniku połączenia tego, co najlepsze z kilku dyscyplin sportowych, że jest łatwy, przyjemny i idealny do uprawiania w polskich warunkach, ale o tym możecie przeczytać nawet w „Vivie". Ja postaram się Wam przedstawić możliwości, jak zacząć, gdzie się szkolić, jak wybrać najlepszą ofertę, na co zwrócić uwagę



tekst Szczepson

Najłatwiej i najbezpieczniej rozpocząć naukę w szkółce pod okiem instruktora, w przeciwnym wypadku może ona (nauka, nie szkoła) boleć lub nawet zakończyć się w szpitalu. Na terenie Polski mamy Zatokę Pucką, jeden z najlepszych terenów w Europie do uprawiania kiteboardingu. Płytka, w miarę ciepła woda i dość równy wiatr w połączeniu z fachowym instruktażem gwarantują bardzo szybkie postępy. Szkoły znajdują się wzdłuż linii brzegowej zatoki na każdym campingu od Rewy, poprzez Puck, aż do Juraty.

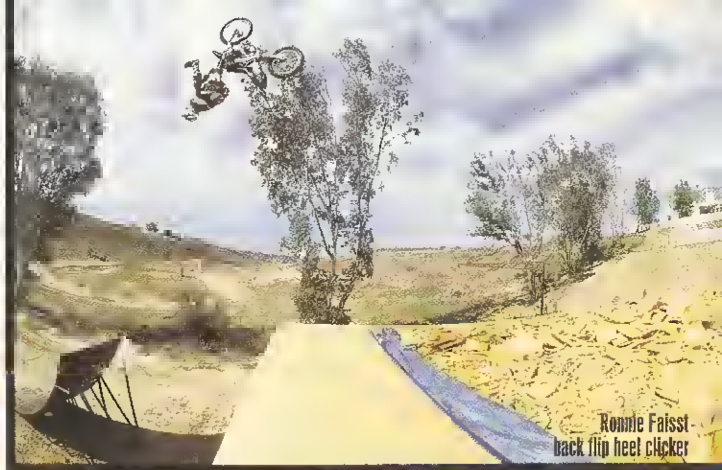
Jako że ten sport nie jest trudny, nie dajmy się zwieść opinii, iż instruktora od kursanta różnią dwa tygodnie praktyki. To prawda, że tego sportu można nauczyć się w dwa tygodnie, ale żeby zostać dobrym instruktorem potrzeba o wiele więcej praktyki, szczególnie nie mając wcześniej do czynienia ze sportami wodnymi. Więc tu już mamy pierwszy wyznacznik dobrej szkółki – to taka, gdzie pracują doświadczeni instruktorzy, najlepiej posiadający uprawnienia do szkolenia. Ale czy to wystarczy?... W każdej z takich szkółek pracują różni ludzie. Nauczanie jest sprawą indywidualną, więc doradzałbym wybór miejsca, w którym mamy się szkolić nie na podstawie reklam i folderów, lecz tego, co prezentują swoimi osobami instruktorzy tam zatrudnieni. Jeżeli jesteśmy na miejscu i akurat nie wieje, doradzam przejechać się lub przejść po campingach, porównać oferty różnych szkółek, porozmawiać z instruktorami, jak i z ludźmi, którzy w danej szkółce się uczą. Da nam to pełniejszy obraz instytucji, której powierzamy swoje zdrowie. Zwróćcie na to uwagę przy wypełnianiu umowy-zgłoszenia. Co, jeśli musimy zdecydować się na wybór jeszcze przed wyjazdem? W takiej sytuacji doradzam odwiedzić różnego rodzaju windsurfingowo-kiteboardingowe fora dyskusyjne, na których znajdziemy zarówno adresy szkół, jak i komentarze wystawiane danym instytucjom.



Teraz pora skonfrontować oferty cenowe. Podstawowy kurs pierwszego stopnia kosztuje 350-450 PLN. Warto zwrócić uwagę, jaki czas kursu zawiera taka oferta, gdyż różnią się one między sobą o 3 do 5 godzin. Jeszcze jeden aspekt, pod jakim warto taką ofertę przeanalizować, to w jak licznych grupach prowadzone są zajęcia. Zwykle grupy liczą 2-4 osoby. Wtedy warto przemyśleć temat i zainwestować kilkadziesiąt złotych więcej i wybrać opcje szkolenia indywidualnego, na której korzystamy znacznie więcej, a instruktor zajmuje się tylko nami. Cenniki poszczególnych szkół wraz z opisem szkolenia znajdziecie na ich stronach internetowych lub bezpośrednio w ich siedzibach. Wykaz szkółek dostępny jest na stronie www.kiteforum.pl. Tam też znajdziecie wiele informacji dotyczących nurtujących Was tematów.

Starałem się przedstawić jak najpełniej możliwości nauki kiteboardingu istniejące w naszym kraju. Zawsze pozostaje jednak pewna doza niepewności, ale największe prawdopodobieństwo zadowolenia mieć będziemy, gdy wybieramy się do konkretnych ludzi, bo to oni są ważni. 

motocross
freestyle


Ronnie Faisst - back flip heel clicker

FMX, czyli Freestyle Motocross to dyscyplina sportowa polegająca na wykonywaniu skoków i innych trików na motorze crossowym. Oto krótkie wprowadzenie do cyklu artykułów, które przybliżą Wam tajniki i najciekawsze postacie tego sportu...

tekst KukuŁ

Motocross w Polsce istnieje od dawna. Posiadamy kilku naprawdę zdolnych zawodników, takich jak Marek Dąbrowski czy Łukasz Kędzierski. Jednak patrząc na polską scenę FMX, nie widać nikogo i pewnie jeszcze przez pewien czas nic się nie zmieni. Polska jest krajem, gdzie co roku sprzedaje się dużo motocykli. W zeszłym roku nabywców znalazły chyba wszystkie Yamahy R1 czy Hondy Fireblade. Trzeba było zamawiać i czekać po trzy lub cztery miesiące na motory szosowe, nie mówiąc już o chopperach i innych jeżdżących „kotwicach". Problem w tym, że do Polski sprowadza się mało motorów crossowych. Wystarczy pójść do salonu Hondy: jedyne, co zobaczymy, to masa motorów szosowych, chopperow i jedna Honda CR250 z 2004, a czasem nawet z 2003 roku w cenie jak za 2005. Sprowadzane crossy są za drogie i dlatego większość ludzi woli kupić enduro. I tutaj tkwi problem. Motocykle enduro, takie jak Yamaha WR czy Honda CRF są dobre, a nawet bardzo, ale do lasu czy na polanę. Ciężko jest na nich skakać, jednak można je zarejestrować i pojechać na przykład do szkoły czy do pracy, bądź wpisać w koszty firmy, ale nadal nie poskaczemy na tym przyzwoicie.

FMX w Polsce raczkuje, bo wszyscy wolą motory czterosuwowe z lampami niż dwusuwy bez możliwości rejestracji, ale za to idealne do zabawy. W Polsce, jak i na świecie, jest ostatnio moda na czterosuwy w motocrossie, bo są niby wytrzymalsze, nie trzeba robić mieszanki i lepiej idą od dołu, są bardziej ekologiczne – no, można by powiedzieć, że mają same zalety, ale nie do końca. Wystarczy popatrzeć na pierwsze lepsze zawody we freestyle'u: czy chociaż jedna osoba jeździ tam na czterosuwie? Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że w ostatnich dziesięciu latach, patrząc na wszystkie zawody w motocrossowym freestyle'u, nie było ani jednego czterosuwu! O czymś to świadczy – dokładnie o tym, że tego typu motory w ogóle się do tego nie nadają, tutaj pole do popisu mają dwusuwy.

Kultowy motor do freestyle'u to Honda CR250 z aluminiową ramą. Jest to idealny motor do zabawy w powietrzu, na dodatek najlepiej wyglądający. Wystarczy spojrzeć na maszyny chłopaków z najbardziej hardcore'owej ekipy, jaką jest „Metal Mulisha". Pierwsze salta zostały wykonane przez Mike'a Metzgera na Gravity Games właśnie na CR250 i to różne odsłony tego motoru będą przedstawiane w przyszłych artykułach o FMX. Każdy, kto ma zamiar zacząć zabawę z motocrossem, a na dodatek pewien jest tego, że najlepiej będzie się czuć w powietrzu, powinien kupić motor dwusuwowy na początku o pojemności 125cc, a później 250cc.

Artykuł ten ma na celu pokazanie, że nie zawsze to, co nowsze, jest lepsze. Są pewne dyscypliny sportów motorowych, gdzie nie liczy się nowa technologia. Takim sportem jest FMX. Można kupić z ogłoszenia crossa z 1995 roku za 4000 zł, doprowadzić go tanim kosztem do porządku i zacząć naukę, wykonać pierwsze skoki, a nawet utrzeć nosa lamusom na nowiutkich maszynkach. Wszystko zależy od chęci i treningu, no i od tego, czy macie JAJA, bo to nie jest zabawa dla mięczaków.

W następnym artykule przybliżymy Wam kilka podstawowych trików oraz bio pewnego pro ze słonecznej Kalifornii.



tu kupisz slizg ↘

informacje dotyczące zamieszczenia loga (tel. 0-prefix-22 825 49 07)

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 PLN | 6 PLN | 12 PLN miesięcy

opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P waluta PLN kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata: na okres od miesiąca numery archiwalne + koszt przesyłki

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

tu kupisz slizg

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

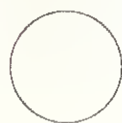
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 PLN | 6 PLN | 12 PLN miesięcy



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P | waluta PLN | kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

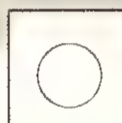
ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne +koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata



ODCINEK DLA ODBIORCY





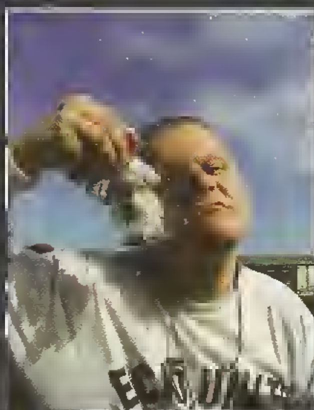
RBK hip-hop Tour w Warszawie

21 maja – byliśmy na pierwszym koncercie z serii RBK w Warszawie. Pezet, O.S.T.R., JWP, Vienio i Pele, Lil Dap z Group Home, do tego b-boye, o których możecie przeczytać w środku tego numeru. Było nieźle, pozdrowienia dla wszystkich! Eloooo!



50. Międzynarodowe Targi Książki

Jak co roku święto książek przyciągnęło do Pałacu Kultury tłumy czytelników. Gościem honorowym targów była Szwajcaria (Helweci zorganizowali m.in. małą, ale świetną wystawę rodzimego komiksu), a swoje książki podpisywało wielu znakomitych gości. Kolejki łowców autografów ustawiały się m.in. do Henninga Mankella, Matthew Pearla, Andrzeja Sapkowskiego, a także twórców komiksowych, wśród których znaleźli się Tomek Leśniak i Rafał Skarżycki.





Juwenalia SGGW na Ursynowie

Wśród wielu imprez z cyklu Juwenaliów warto wyróżnić tę zorganizowaną przez SGGW na Ursynowie. Zaskakujące okazało się zestawienie wykonawców z Asfalt Records (Tworzywo Sztuczne, Łona, O.S.T.R. – ale tylko na freestyle'u), Afro Kolektywu (dobrze przyjęty premierowy materiał i – podobnie jak w wypadku Tworzywa – żywe instrumenty) i... Papa Dance. U szczecinian zwykle rolę cheerleadera pełni hypeman Rymek (na zdjęciu z herbą), ale tym razem wyręczył go DJ Twister, któremu nie dowieziono gramofonu. Obok głównej sceny można było obejrzeć tańce, pokazy rycerskie, a nawet zjeść prawdziwy studencki hit – suchą bagietę z czymś na kształt leczo. **(flint)**



Rap-piknik w Chudowie

Niewiele map odnotowuje istnienie Chudowa, ale to nie przeszkodziło Majkelowi (KGK, na zdjęciu z Kecajem i Puzzlem) w zorganizowaniu tam niedzielnego undergroundowego rap-pikniku. Poza gronem wykonawców związanych w przeróżny sposób z osobą Majkela (Skorup, Koligacja Gie-Ka, Ania Sool, Kubańskie Pomarańcze), usłyszeliśmy przyjezdnych. Najlepiej zaprezentował się Conkretny Element (Sosnowiec) z Benkiem na czele, Skwer Korporacja z Elbląga oraz W.O.C.C., czyli Tetris, Pogo i spółka (rewelacyjny występ). Najbardziej rozgrzał freestyle'owy pojedynek z cyklu Południe vs. Reszta Świata. Były skillsy i ogrom pańczy. Obecnością zaszczycił contest barwny jak zawsze WSZ. **(keb)**



Częstochowa

Był kiedyś taki mecz w Częstochowie, w którym księża pokonali raperów 2:0. To było rok temu, w tym roku raperom po bramkach Pelsona i Romka z THS-u udał się rewanż. Ale i tak wszystkich pogodzili oldboje Stali Mielec, którzy wygrali mini-turniej. Wieczorem w Częstej była koncertowa imprezka, a dochód z meczu i koncertów poszedł na wakacje dla potrzebujących dzieciaków. Z tego miejsca specjalne pozdrowienia dla pomysłodawcy tego szczytnego zamieszania, księdza Rafała, który walkę na boisku przypłacił poważną kontuzją. Trzymaj się, Rafał.







tom_penny

the team is_the best part